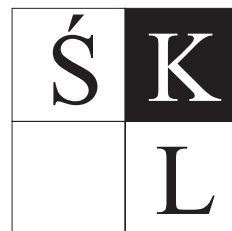


ŚWIĘTOKRZYSKI KWARTALNIK LITERACKI



KIELCE 2025 NR 1-4 (83-87)

ISSN 1429-849-X

ISBN 978-83-972321-4-3

NAGRODZONY PRZEZ MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA ŚWIĘTOKRZYSKIEGO
Literatura – kieleckim sztandarem (Dziotł Kuncewicz)



Alicja Obara: Dworek Laszczyków w Kielcach



ALICJA OBARA. Kielczanka. Z wykształcenia biolog, ekolog, oligofrenopedagog.

Z zawodu nauczycielka. Całe swoje życie zawodowe poświęciła pracy z dziećmi niepełnosprawnymi intelektualnie.

W latach 1998–2014 radna Rady Miejskiej w Kielcach, przewodnicząca komisji zajmujących się edukacją, kulturą i promocją miasta. Laureatka Nagrody Miasta Kielce w 2024 roku.

Fotografią interesuje się od dziecka, amatorsko z licznymi sukcesami zajmuje się od około 12 lat.

Członek nadzwyczajny Stowarzyszenia Twórców Fotoklub RP.

WYSTAWY INDYWIDUALNE

2018 – **W krainie baśni, mchów i paproci** – Wojewódzki Dom Kultury im. Józefa Piłsudskiego w Kielcach;

2022 – **Sny** – Poczytalia na dVoRcu Mediateka Miejskiej Biblioteki Publicznej w Kielcach;

2023 – **Ślady mijającego czasu** – Ośrodek Myśli Patriotycznej i Obywatelskiej w Kielcach;

2023 – **Mors est quies viatoris – finis, śmierć jest spoczynkiem podróżnego** – Ośrodek Myśli Patriotycznej i Obywatelskiej w Kielcach;

2023 – **Za oknem** – Poczytalia na dVoRcu Mediateka Miejskiej Biblioteki Publicznej w Kielcach;

2024 – **Kwiaty Polskie** – Ośrodek Myśli Patriotycznej i Obywatelskiej w Kielcach;

2025 – **Ślady mijającego czasu – W DOMU** – Ośrodek Myśli Patriotycznej i Obywatelskiej w Kielcach.

WYSTAWY ZBIOROWE I PRZEGLĄDY FOTOGRAFICZNE KRAJOWE I MIĘDZY-NARODOWE

2015 – **Czarownice** – wspólnie z: CK Foto, w: Muzeum Historii Kielc;

2016 – **Oblicza Teatru** – wspólnie z: CK Foto w: Teatr Lalki i Aktora Kubuś w Kielcach;

2015, 2017, 2018, 2019 – **Wystawa Fotografii Artystycznej w ramach projektu Teatr Mama, Tata i Ja** – kolejno w BWA, Wzgórze Zamkowe: Instytut Dizajnu, Ośrodek Myśli Patriotycznej i Obywatelskiej, Miejskie Centrum Kultury w Ostrowcu Świętokrzyskim, Galeria Echo Kielce;

2020, 2022, 2024 – Międzynarodowe Biennale Fotografii SPACE DEFINITION – Biuro Wystaw Artystycznych w Kielcach;

2021, 2022, 2023, 2024 – OGÓLNOPOLSKI PRZEGLĄD FOTOGRAFICZNY PONIDZIE – Buskie Samorządowe Centrum Kultury;

2024 – Zdobywczyni I miejsca w KONKURSIE FOTOGRAFICZNYM „ŻEROMSKI-ŻEROM-SZCZACY-ŻEROMSZCZYŻNA”.

Autorka ilustracji do tomików poetyckich Janusza Cygana i Katarzyny Puchalskiej.

Prywatnie żona Wojtka, mama Marcina i Michała, babcia Kubu i Mani.

ŚWIĘTOKRZYSKI KWARTALNIK LITERACKI

ISSN 1429-849-X
ISBN 978-83-972321-4-3
KIELCE 2025 NR 1-4 (83-87)



Wydawca: Oddział Świętokrzyski Związku Literatów Polskich
Adres redakcji: 26-110 Skarżysko-Kamienna, ul. Juliusza Słowackiego 25
tel. 693 212 303, e-mail: nyczaj@pro.onet.pl

Numer przygotowany dzięki pracy Kolegium Redakcyjnego
Dziękujemy Dyrekcji
Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Witolda Gombrowicza w Kielcach
za udostępnienie numeru na Portalu Świętokrzyska Biblioteka Cyfrowa

Redaguje Zarząd Oddziału Świętokrzyskiego ZLP, stanowiący Kolegium Redakcyjne, w składzie:
IRENA NYCZAJ – redaktor naczelna
ELŻBIETA KWASOWSKA-JACHIMOWSKA – sekretarz redakcji
KRYSTYNA CEL, ELŻBIETA MUSIAŁ, GRZEGORZ RAK – członkowie kolegium redakcyjnego

Konsultacja: STEFAN JURKOWSKI

Korekta: IRENA NYCZAJ
Opracowanie komputerowe: PAWEŁ NYCZAJ

Opublikowanie tekstów i zdjęć w „ŚKL” nie wiąże się z otrzymaniem przez autora jakiegokolwiek gratyfikacji. Jednocześnie Redakcja dziękuje za nieodpłatne przekazanie autorskich materiałów do druku.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych; zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów, a także zamieszczania fragmentów dłuższych utworów.

Zdjęcia niepodpisane pochodzą z archiwum „ŚKL”.

OD REDAKCJI 5

Elżbieta Musiał: Świadoma sztuka.....	5
Irena Nyczaj: Drodzy Czytelnicy!	6

WYDARZENIA 7

Powstanie Oddziału Świętokrzyskiego Związku Literatów Polskich z siedzibą w Skarżysku-Kamiennej.....	7
Irena Nyczaj: Uroczystość odsłonięcia popiersia Stanisława Nyczaja w kieleckiej Alei Sław	8
Laudacja Jana Chruślińskiego	9
List Marka Wawrzekiewicza.....	10
Spotkanie z Elżbietą Musiał i jej nowym poematem TOTUM	12
Elżbieta Musiał: Poezja i oratorium w Skarżysku-Kamiennej.....	13
Henryk Jachimowski: Fragment z <i>Pieśni o Ziemi</i>	14

Twórczość 15

Krystyna Cel: Wiersze	15
Jan Chruśliński: <i>Jakucja</i> (Rozdział nowej powieści)	17
Bożena Gniazdowska: Wiersze	21
Δάφνη Μαρία Γκυ-Bouβιάλη / Daphnie Maria Guy-Vouvali: Wiersze (również w języku greckim, w tłumaczeniu Aresa Chadzinikolau)	22
Elżbieta Jach: Miniatury	24
Stefan Jurkowski: Wiersze	26
Kazimierz Kochański: Wiersze.....	29
Leszek Kumański: Mesjasz (Fragment nowej powieści)	31
Cezary Łutowicz: Warszawska cioteczna babcia (opowiadanie)	33

Elżbieta Musiał: Fragmenty poematu.....	37
Joanna Nowocień: Wiersze	39
Irena Nyczaj: Jakub stwarza świat (opowiadanie)	42
Anna Partyka-Judge: Wiersze	46
Grzegorz Rak: Wyprawa do Radości (Fragm. nowej powieści) ..	47
Emilia Tesz: Felietony.....	49
Zyta Trych: Wiersze	51
Bogusław Wiłkomirski: Prolog do nowej powieści	54
Maciej Wódz: Wiersze	57
Barbara Wrońska: Wiersze (również w języku angielskim, w tłumaczeniu Elżbiety Kwasowskiej-Jachimowskiej)	59
Szczęśny Wroński: Wiersze.....	62
„Twarze współczesnych poetów polskich. Odsłona pierwsza” ...	66

SZKICE — ESEJE — RECENZJE 68

Specjalnie dla „SKŁ” Marek Wawrzekiewicz:	
Poetyckie podróże w przestrzeni, czasie i wyobraźni	68

Krystyna Cel:	
By przetrwali w pamięci (o powieści J. Chruślińskiego) ..	72
W ogrodzie słów (o <i>Mgnieniach</i> E. Jach)	72
Algorytmy naszego istnienia (o <i>TOTUM</i> E. Musiał)	75
Czas miniony i czas obecny w powieści Grzegorza Raka ...	77
Julia Grzodecka: Gdy proza śni o wierszach	78
Andrzej Gnarowski: Poezja świata adogmatycznego (o poezji Stefana Jurkowskiego)	80
Stefan Jurkowski: Posłowie do <i>Strun gniewu</i> I. Nyczaj	83
Liryczny realista (o <i>Chwili jawy</i> M. Wawrzekiewicza)	85
Elżbieta Musiał: Ukryj mnie Luizo	88
Epizod na miarę życia	92
Grzegorz Rak: Po spektaklu w Żeromskim	94



Alicja Obara: Rezerwat Karczówka

Elżbieta Musiał

Świadoma sztuka

Jak wyrazić świat, jak wyrazić w nim człowieka? Jak na język sztuki przetłumaczyć na przykład głębokie relacje między naturą a sztuką? Czy do aktu twórczego wystarczy wtedy zaangażować zmysł obserwacji i wolę kreacji? Jeśli patrzymy na kwiaty, patrzymy jednocześnie na kosmos, z którego siłami i rytмами kwiaty współdziałają. Kwiaty są więc medium w podróży do rozumienia i doznań. By jednak całą złożoność chwili (wszechrzeczy?) otworzyć i pojąć w jednym błysku rozumienia, potrzebna jest świadomość, świadomość siebie i chwili. A świadomość jest niczym innym, jak obserwacją ulotnych doznań, własnych emocji i zjawisk psychicznych zachodzących w umyśle. Kognitywne zdolności twórcy są nie do przecenienia w działaniach artystycznych. Mogą być zarówno samowyzwalaczem (impulsy), jak i polem twórczym, na którym zapadają wybory, np. co do formy i technik. Sztukę trzeba wykoncypować! Sztuka świetnie rozumie siłę ludzkiego rozumu, który wykorzystuje w działaniu posiadaną wiedzę i doświadczenie. A użycie osobistych filtrów prowadzi do jednostkowych, oryginalnych rozstrzygnięć – do dzieł, które przyjmują wymiar sztuki. A że są one emanacją świadomości twórcy, są też więc jego lustrem. Oraz lustrem dla tych, którzy zechcą być świadomymi odbiorcami dzieł. Świadomość jest więc kluczowa, gdyż sztuka nie opowiada, a wyraża świat.

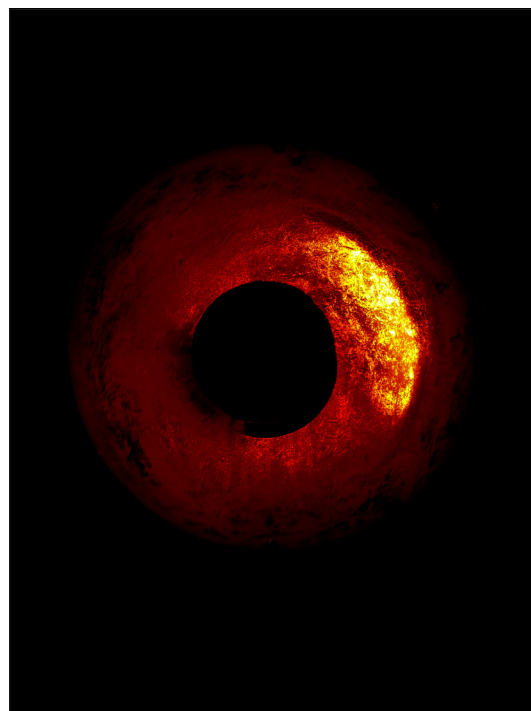
Sztuka lubi być unikalna. Odrzuca utarte szlaki i schematy, no chyba że jest mentalną prowokacją. Lecz do tego, by użyć lub odczytać prowokację, świadomość też jest konieczna. Świadomość nie jest obowiązkiem, ale – i tu warto podkreślić – można ją rozwijać, kształtować. I w tym ogromne zasługi ma właśnie sztuka. Uczy wrażliwości, niesztampowego myślenia i holistycznego pojmowania. Obcować z prawdziwą sztuką, to jakby dostąpić wszechrzeczy. Metafizyka? O tak!

Pokładam nadzieję we wszystkich autorach współtworzących „Świętokrzyski Kwartalnik Literacki”. Niech będzie naszym lustrem, ale i oknem na wszelkie akty artystyczne, które na wyciągnięcie ręki i które nieco dalej. I jeszcze niech będzie przeciwwagą dla sztuczek algorytmów, jak również antidotum na wysyp banalnych utworów tekstowych choćby w mediach społecznościowych pieczętowanych „polubieniami”. W ten kontekst doskonale wpisują

się słowa Andrzeja Sapkowskiego: „Lepiej zaliczać się do niektórych, niż do wszystkich”.

Elżbieta Musiał

Prezesa Oddziału Świętokrzyskiego ZLP



Elżbieta Musiał, *Późne słońce I*, grafika komputerowa, poliwęglan, wym. 60 x 80 cm



Elżbieta Musiał, *Późne słońce II*, grafika komputerowa, poliwęglan, wym. 60 x 80 cm

Drodzy Czytelnicy!

Oddajemy w Wasze ręce kolejny numer naszego czasopisma literackiego, którego początki datują się na 1997 rok. Pierwszy jego numer zawierał na początku obszerną rozmowę Gustawa Herlinga-Grudzińskiego z czytelnikami, będącą pokłosiem spotkań Pisarza w Domu Środowisk Twórczych i w I Liceum Ogólnokształcącym im. S. Żeromskiego, które odbyły się 4 i 5 czerwca 1997 roku. Gustaw Herling-Grudziński, mieszkający we Włoszech, ze wzruszeniem przyjął ten pierwszy numer, a dla nas słowa jego akceptacji i pochwały stały się wytyczną i zobowiązaniem, aby nasze czasopismo nigdy nie zniżyło literackich lotów.

Temu służyły m.in. preferowane przez mojego Męża, Stanisława Nyczaję, pomysłodawcę, twórcę i wieloletniego (aż do śmierci) redaktora naczelnego periodyku – właśnie rozmowy z wybitnymi twórcami z różnych dziedzin sztuki. Te wywiady stały się cechą charakterystyczną periodyku. A było ich wiele, m.in. z rzeźbiarzem Tadeuszem Majem, z Leszkiem Mądzikiem, pochodzącym ze Świętokrzyskiego – twórcą Sceny Plastycznej KUL w Lublinie, z wybitnym malarzem Krzysztofem Jackowskim, pisarzem Ryszardem Miernikiem, Edwardem Zymanem – poetą pochodzącym z Dobromierza w województwie świętokrzyskim, a osiadłym na emigracji w Kanadzie. Wiele z tych osób niestety odeszło, ale ich spuścizna pozostaje. Rozmowy z nimi pozwalają utrwalić i zachować w pamięci ich ciekawe, cenne wypowiedzi nt. twórczości, filozofii życia. Pokazują artystów z bliskiej każdemu człowiekowi strony – również jako człowieka autentycznego, czującego jak my, przeżywającego podobne traumy i zmagania. Chcemy tradycję rozmów z ciekawymi twórcami kontynuować. W nowszych wydaniach pisma wsłuchiwalismy się w słowa takich wybitnych twórców, jak Olga Tokarczuk i Wiesław Myśliwski.

Nasze pismo wyróżniało się od najdawniejszych lat bogactwem prezentowanych treści. Wiodącym był Dział **Twórczość**, gdzie mogliśmy zapoznać się z poezją Henryka Jachimowskiego, Marka Wawrzkiwicza, Andrzeja Gnarowskiego, Krzysztofa Gąsiorowskiego, Nikosa Chadzinikolau, Jerzego Harasymowicza, Bogdana Bartnikowskiego, Harry'ego Dudy, Zbigniewa Milewskiego, Andrzeja

Dębkowskiego, Andrzeja Zaniewskiego, Alicji Patey-Grabowskiej. To naturalnie nie wszyscy nasi zaprzyjaźnieni od lat autorzy. Z wieloma mamy nadzieję nadal współpracować.

Równie ciekawym był Dział **Szkice, Eseje, Recenzje**, mocno „obsadzony” takimi znawcami literatury, jak: Stanisław Żak, Stefan Melkowski, Libor Martinek, Leszek Żuliński, Janusz Termer, Jan Zdzisław Brudnicki, Stefan Jurkowski, Kazimiera Zapałowa, Marek Kątny, Janusz Detka, Irena Furnal. W tym numerze do świata poezji zaprasza nas Gość Specjalny – Marek Wawrzkiwicz. O malarstwie i rzeźbie najczęściej wypowiadali się na łamach pisma Marian Rumin, Zbigniew Kresowaty, Bogdan Ptak oraz grupa artystów malarzy związanych z buską Galerią Zieloną.

I na koniec chcę zwrócić uwagę na eksponowanie w każdym numerze dokonań artystów sztuk wizualnych. Malarstwo prezentowali m.in. Krzysztof Jackowski, Marek Wawro, Bogdan Ptak, Tamara Maj, Maria Wollenberg-Kluza, Leszek Mądzik, Zbigniew Kurkowski, Elżbieta Musiał, Tomasz Olbiński, Zbigniew Kresowaty. Pokazywaliśmy ciekawe kompozycje – florotypie Elżbiety Wodały. W jednym z numerów, na rozkładanych skrzydełkach okładki i wewnątrz prezentowaliśmy przepiękne, unikatowe krzemienie pasiaste i tworzone z nich wyjątkowe biżuteryjne ozdoby – dzieła artysty złotnika z Sandomierza, znanego w świecie pasjonata krzemienia pasiastego i twórcy unikatowej biżuterii, Cezarego Łutowicza. W niniejszym numerze kwartalnika czytelnicy poznają go jeszcze z innej strony – jako autora krótkich form prozatorskich.

Zainteresowanie kilkoma dziedzinami sztuki jest charakterystyczne dla wielu naszych koleżanek i kolegów. Malarstwo i sztukę słowa z powodzeniem uprawiają: Elżbieta Jach, Elżbieta Musiał, Uta Przyboś, Monika Mazur-Mitrowska, których dokonania tak literackie, jak też plastyczne mogliśmy podziwiać na łamach „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego” wiele razy. I jestem przekonana, że nie raz jeszcze zaskoczą nas nowymi formami wyrażania siebie, których twórcze osobowości nieustannie poszukują.

Zachwycaly artystyczne fotografie Ponidzia Piotra Kalety z Buska. W tym numerze znów pojawia się Ponidzie – tym razem w obiektywie utalentowanej Alicji Obary.

Irena Nyczaj
Redaktorka naczelna

Powstanie Oddziału Świętokrzyskiego Związku Literatów Polskich z siedzibą w Skarżysku-Kamiennej



Logo naszego Oddziału oraz zdjęcie w tle zaprojektowała koleżanka prezeska Elżbieta Musiał

ISTNIEJEMY! Przyjęliśmy nazwę Oddział Świętokrzyski Związku Literatów Polskich, czyli OŚ ZLP. Prezydium Zarządu Głównego oficjalnie potwierdziło nasz Oddział 17 maja 2025 roku podczas Nadzwyczajnego Zjazdu ZLP w Warszawie. Zatem Oddział najmłodszy, ale skupia znanych i uznanych pisarzy. Będziemy pokazywać nasze literackie sylwetki i dorobek. Powstała nasza strona na Facebooku pod adresem <https://www.facebook.com/profile.php?id=61577585245351>.

Niech nasze istnienie na Facebooku będzie jak otwarte okno, przez które zobaczycie nas, a my poznamy Was. Zapraszamy do dialogu.

Dla uzupełnienia informacji dodam, że do pierwszego Zarządu OŚ ZLP weszli: Irena Nyczaj i Grzegorz Rak (wiceprezesi), Bożena Gniazdowska (skarbnik), Elżbieta Kwasowska-Jachimowska (sekretarz) i Elżbieta Musiał (prezes) – pisząca to info.



U góry: Zebranie Założycielskie 5 kwietnia 2025 w naszej siedzibie gościnnego Miejskiego Centrum Kultury w Skarżysku-Kamiennej. Od lewej stoją: Elżbieta Musiał, Jan Chruśliński, Elżbieta Jach, Krystyna Cel, Bożena Gniazdowska, Grzegorz Rak, Irena Nyczaj, Elżbieta Kwasowska-Jachimowska, Emilia Tesz. Zapraszamy do przeczytania relacji na portalu ProSkarżysko <https://proskarzynsko.pl/zlp-oddzial-swietokrzyski-zalozenie/>.

Obok: W środę 30 lipca 2025 odbyło się zebranie Zarządu OŚ ZLP, na którym omawialiśmy bieżące zadania stojące przed Oddziałem. Zakwalifikowaliśmy m.in. do publikacji teksty do tegorocznego numeru „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego”, a także nakreśliśmy plany ważnych wydarzeń, jakie odbędą się jesienią.

Uroczystość odsłonięcia popiersia Stanisława Nyczaja w kieleckiej Alei Sław

19 września br. w Alei Sław w Kielcach odbyła się doniosła i wzruszająca uroczystość odsłonięcia popiersia Poety i długoletniego prezesa Kieleckiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Uroczystość była pełna poezji, muzyki i wzruszających wspomnień przyjaciół.

Autorem popiersia, oddającego tak podobieństwo, jak i charakter postaci Poety, jest artysta rzeźbiarz Kornel Arciszewski. Wielkie dla niego gratulacje i słowa uznania!

Było mnóstwo podziękowań dla władz Miasta, od początku wspierających naszą inicjatywę, dla osób, które przyczyniły się do powstania popiersia, oraz dla wszystkich przybyłych gości.

Poruszającą, wręcz poetycką w warstwie słownej laudację, a także osobiste słowa, skierowane do Przyjaciela wygłosił Jan Chruśliński, prezes honorowy Oddziału Świętokrzyskiego ZLP. Piękny i ważny list Marka Wawrzekiewicza – prezesa ZLP odczytała

prezesa Oddziału Świętokrzyskiego ZLP, Elżbieta Musiał (tekst listu dalej).

Całość uroczystości – według scenariusza Grzegorza Raka – profesjonalnie poprowadzili Ryszard Koziej i Grzegorz Rak. Serdecznie im dziękujemy!

Na specjalne uznanie zasługują artyści, przyjaciele Stanisława Nyczaja, którzy – jak Joasia i Janusz Szotowie – przyjechali aż z Nowego Sącza, aby zaśpiewać między innymi piękną kompozycję do wiersza Poety pt. „Arcymiar”. Wzruszająco wybrzmiały też inne jego wiersze oraz nieobecnego przyjaciela, Romualda Bielendy, którego wiersz dedykowany Staszce zaprezentowała Barbara Wrońska.

Licznie zgromadzeni Goście, Rodzina i Przyjaciele byli zgodni: Stanisław Nyczaj został godnie uhonorowany przez swoje miasto, któremu poświęcił równe 50 lat swojej w nim obecności i pełnej oddania i zaangażowania działalności. Dziękujemy!



Odsłonięcie popiersia Stanisława Nyczaja. Od lewej: Jarosław Zatorski, prezes Buskiego Stowarzyszenia Kulturalnego; Edyta Boroń, wiceprezydentka Kielc; Lucyna Wiśniewska, siostra Poety; Jan Chruśliński, prezes honorowy OŚ ZLP; Irena Nyczaj, żona Poety

Fot. Dagmara Głodowicz-Mazurek

Laudacja na uroczystości odsłonięcia popiersia Staszka Nyczaja w Alei Sław na Skwerze Szarych Szeregów w Kielcach w dniu 19 września 2025 roku

Szanowni miłośnicy poezji!

Szanowna Pani Agato Wojda, Prezydent Miasta Kielc!

Poezja jest odnajdywaniem pereł. Człowiek, który znalazł ewangeliczną prawdę, zrobił potem wszystko, aby ją zdobyć, aby stała się już na zawsze jego perłą. I właśnie to czynił w swojej poezji Staszek Nyczaj. Trzeba zejść głęboko do własnej duszy, aby dostać się do pereł. Bo tworzenie prawdziwej poezji nie jest wędrowaniem po powierzchni, ale schodzeniem w najtajniejsze głębie duszy odbiorcy.

Te duchowe rozterki, wahania nie omijają nawet najwybitniejszych poetów. Ci poeci także nie są wolni od pytań. Oni dobrze wiedzą, że poezja jest czymś najbardziej osobistym, wstydlivym, jest jakby publicznym obnażeniem się, publiczną spowiedzią. O tych rozterkach tak wyrażnie i mocno pisze Staszek Nyczaj w zbiorze wierszy „Pojedynek z losem”, czy może najbardziej w wierszu „Pamięci matki”.

Twórczość Nyczaja jest nasycona filozofią i metafizyką. Jest to poezja w najwyższym stopniu emocjonalna odwołująca się do wrażliwości, nosząca znamiona najczystszej liryki.

Szanowni Państwo! Szanowna Pani Prezydent!

Pomnik-popiersie Staszka Nyczaja w Alei Sław jest wyrazem szacunku, jakim Kielce darzą ludzi kultury. To symboliczna prezentacja osób zasłużonych dla miasta, których praca artystyczna ma dla Kielc wartość ponadczasową. Uroczystość uhonorowania postaci Nyczaja „Pomnikiem Popiersia poety” jest podziękowaniem za jego wkład w rozwój kultury. To podziękowanie za Jego wielkie serce dla Kielc i Ziemi Świętokrzyskiej. Dzięki tej inicjatywie, Wielki Mistrz Poezji, Staszek Nyczaj, pozostanie z nami na zawsze w swoich dziełach.

W imieniu poetów i pisarzy Oddziału Świętokrzyskiego Związku Literatów Polskich bardzo dziękuję Pani Prezydent i Radzie Miasta za tę piękną formę uhonorowania Staszka Nyczaja. Szanujemy i podziwiamy Panią Prezydent, jako człowieka renesansu, która wszelkimi formami wyrazu komunikuje się ze światem.

Pragnę wyrazić uznanie i podziękowanie dla wysiłku i pracy nad wykonaniem tego dzieła artyście rzeźbiarzowi Kornelowi Arciszewskiemu.

Tych osób, które wpisały się w przygotowanie tego wydarzenia, jest dużo więcej. Są to członkowie jego rodziny, darczyńcy, niezawodni przyjaciele poety, ludzie dobrego serca, są to osoby, które chcą pozostać anonimowe.

Szanowni Państwo!

Jeśli chodzi o owianą mgłą tajemnicy przyszłość, możemy tylko żywić nadzieję, że Staszek Nyczaj „będzie jeszcze długo z nami” w naszej wędrówce ku nowym wyzwaniom i coraz wyższej poprzeczce, jaką stawiamy sobie w Oddziale Świętokrzyskim ZLP.

Szanowna Pani Prezydent!

Dziękujemy! Serdecznie dziękujemy!

W imieniu członków Oddziału Świętokrzyskiego ZLP dziękuję za wrażliwość i dobre serce. Jesteśmy dumni, że kolejne miejsce w Alei Sław przypadło właśnie Staszekowi Nyczajowi.

Jan Chrusliński Kielce 19 września 2025 roku



Fot. Marek Kowal



Związek Literatów Polskich

Zarząd Główny

Krakowskie Przemieście 87/89 00-079 Warszawa

Tel. 826 57 85 tel./fax 828 39 19, zlp-zg.@o2.pl

Warszawa, 19.09.2025

Chciałbym, żeby było tak: za piętnaście lub dwadzieścia lat jakiś młody człowiek nieinteresujący się literaturą, przystanie pod popiersiem Stanisława Nyczaja i zada sobie pytanie: kto to właściwie był. Wróci do domu, poszpera w Wikipedii, dowie się. Może potem sięgnie po książkę, przeczyta i podzieli się swoją wiedzą z rówieśnikami. W ten sposób Staszek z wysoka, z siódmego nieba poetów, będzie kontynuował to, co z taką pasją i talentem robił przez całe życie: popularyzował i promował literaturę. Może następne pokolenie doceni to, co docenili wszyscy, którzy przyczynili się do dzisiejszej uroczystości odsłonięcia tego popiersia. Pisał, wydawał, redagował, uczył, pomagał, działał – zawsze z tym samym zaangażowaniem i zapałem. Mało dla siebie, wiele dla innych i dla ziemi, którą kochał i sławił.

Dobrze się zasłużył nie tylko swojemu regionowi, ale także naszej organizacji i polskiej literaturze.

Chylę głowę przed poetą, krytykiem, wydawcą, działaczem. I Przyjacielem.

Marek Wawrzekiewicz
Prezes Związku Literatów Polskich



Elżbieta Musiał odczytuje list prezesa ZLP Marka Wawrzekiewicza
Fot. Paweł Nyczaj

Odsłonięcie popiersia Stanisława Nyczaja, linki do relacji w mediach

- Miasto Kielce: <https://www.kielce.eu/pl/aktualnosci/stanislaw-nyczaj-ma-swoje-miejsce-w-alei-slaw-to-podziekowanie-za-wielkie-serce-dla-kielc.html>.
- Echo Dnia (Kielce Nasze Miasto): <https://kielce.naszemiasto.pl/stanislaw-nyczaj-w-alei-slaw-kielce-podziekowaly-poecie-za-jego-wielkie-serce-dla-miasta/ar/c1p2-27985353>.
- Radio Kielce: <https://radiokielce.pl/1340922/popiersie-stanislaw-nyczaja-stanelo-w-alei-slaw/>.
- TVP3 Kielce: <https://kielce.tvp.pl/89016769/stanislaw-nyczaj-ma-swoje-miejsce-w-alei-slaw-to-podziekowanie-za-wielkie-serce-dla-kielc-zdjecia> oraz informacje o 18:30 <https://kielce.tvp.pl/89019527/19092025-godz-1830>.



Przemawia Aneta Boroń – wiceprezydentka Kielc
Fot. Adam Kowalewski



Fot. Marek Kowal



Anna Żmudzińska – dyrektor MBP w Kielcach (w środku), obok Ewelina Iwan – wicedyrektor. Towarzyszy im Jarosław Bukowski – dyrektor Domu Środowisk Twórczych
Fot. Adam Kowalewski



Zdjęcia na dole: Dagmara Głodowicz-Mazurek

Spotkanie z Elżbietą Musiał i jej nowym poematem TOTUM

Spotkanie promujące **nowy poemat Elżbiety Musiał** o tytule TOTUM w Domu Literatury w Warszawie (21 maja 2025) poprowadził prezes ZLP **Marek Wawrzekiewicz**. Rozpoczął od opowieści, jak to człowiek od zarania dziejów patrzył w ogrom nieba. Mijały epoki, stulecia, a on wpatrywał i wpatrywał się w niebo jak w największą tajemnicę. Pomyślałam wtedy, że to wprowadzenie do tematyki TOTUM jako żywo przypomina mi słowa: „Kiedy patrzysz w Otchłań, ona patrzy na Ciebie” (Nietzsche). Już niebawem mieliśmy usłyszeć część poematu „Przestrzeń” w znakomitej interpretacji **Olgi Miłaszewskiej**, aktorki teatralnej i filmowej. Jej charakterystyczny niski głos oraz gra na wiolonczeli **Ilony Basiak** były jak muzyka Kosmosu (?). Nawiasem mówiąc, „kosmos” w języku greckim znaczy „porządek”. Z każdym kolejnym „dotknięciem” żywej materii utworu następowały odsłony zasadniczych treści. „Temet Nosce” (poznaj samego siebie), „Kamień”, „Anima” (dusza) – oto przedstawione przez Olę fragmenty poematu. Ale zawiera on jeszcze inne części o tytułach „Woda”, „Pamięć”, „Myśl”, „Totum” i „Liczba”, które nie domykają, a otwierają na myślenie o naszym bycie i tu na Ziemi, i tam we Wszechświecie. Nie bezpodstawne będzie przytoczenie w tym miejscu jednego z siedmiu praw hermetyzmu: „Jak na dole, tak i na górze”.

Można by się spodziewać, że z pozoru odległe i oderwane od naszej codzienności wątki zawarte w poemacie, bez interpersonalnych ludzkich zażyłości czy ansów, nie wywołają w uczestnikach żadnego odzewu. Tymczasem owo przesunięcie w kierunku ontologicznych rozważań – „dlaczego i jak istnieje to, co istnieje?” – spowodowały ciekawą dyskusję rozpiętą pomiędzy widzialną i niewidzialną rzeczywistością naszego świata. Bo czym jest myśl, czym świadomość, a czym pamięć indywidualna, zbiorowa? Czy one umierają wraz z naszym fizycznym ciałem? Co nas łączy ze Wszechem? Czy jesteśmy równi i powiązani ze wszystkim, co istnieje, z każdym żywym organizmem i nieożywionym elementem przyrody? – i tu zahaczyliśmy o monizm i panteizm. Pojawiło się też odwołanie do kwantowego pola wibracyjnego, a z nim kolejne pytanie: jaka rzeczywistość kryje się za prawami fizyki kwantowej? W tej części dyskusji głos zabrali między innymi **Grzegorz Trochimczuk**, **Olga Miłaszewska** i **Andrzej Wołosewicz**.

Andrzej wspominał o zasadzie nieoznaczoności Heisenberga, która sprowadza się do tego, że pewne aspekty rzeczywistości są z natury nieokreślone i nie można ich poznać w pełni jednocześnie. I była to niejako pointa tych naszych dywagacji filozoficznych i para-kwantowych. Na grunt samej poezji sprowadził wszystkich **Zbyszek Milewski**. W swojej wypowiedzi wyszczególnił między innymi pewien fragment poematu, który zapadł mu w pamięć (poniżej), a który nawiązuje do największej siły, jaką jest miłość. Lecz przecież w zjawisku miłości niektórzy dopatrują się splątania kwantowego.

W przebieg całego spotkania wpisana była korespondencja sztuk. Nastrój poematu i dyskusji znakomicie podkreślały trzy części z II suity Sebastiana Bacha, Gigue, Sarabanda i Preludium – w wykonaniu wspomnianej wiolonczelistki. (EM)

Zajrzyj w moje oczy, fraktalu róży.
Zajrzyj w moje oczy, boski ogródzie.

Idę przez łąki. Obralam kurs na spełnienie lata.
Stąpam nadto ostrożnie, by nie spłoszyć pełni
i motyla na trawie zajętego mistycznym sokiem.

Zajrzyj mi w oczy, łąko, zajrzyj efektem motyla,
by stała się pełnia łąki we mnie,
jak stała się MIŁOŚĆ.
(fragm. z tytułowej cz. *Totum* Elżbiety Musiał)



Na wiolonczeli gra Ilona Basiak. Fragmenty poematu prezentuje Olga Miłaszewska. Fot. Grzegorz Trochimczuk

Poezja i oratorium w Skarżysku-Kamiennej

Potęga muzyki i słowa w skarżyskiej Ostrej Bramie. Proszę wyobrazić sobie, jak zabrzmiały w Sanktuarium Matki Bożej Ostrobramskiej jednocześnie trzy chóry, troje solistów (Marzena Trzebińska, Olga Szomańska, Marcin Jajkiewicz) oraz orkiestra Filharmonii Świętokrzyskiej wykonujący Oratorium „Święta przy Tobie chwila” wg poematu-libretta Henryka Jachimowskiego. Filharmonie i dawne kościoły, budowane z troską o akustykę, są wymarzoną sceną dla takiej muzyki. Symbioza warunków i wysokiego poziomu wykonania przełożyła się na podniosłość koncertu. Współbrzmienie głosów i wielu instrumentów wprost obezwładniało. Gdy muzyka „narastała”, była jak rozbrzmiewające tsunami, to znów cichła i delikatniała, by być tłem dla śpiewu solistów. Słuchający stawali się muzyką.

Chylę czoła przed wykonawcami i twórcami (muzykę skomponował Paweł Łukowiec). Elu (Kwasowska-Jachimowska), pięknie dbasz o literacką spuściznę męża. Henryku Jachimowski, czy Ty też to usłyszałeś w otchłaniach Kosmosu? (Elżbieta Musiał).

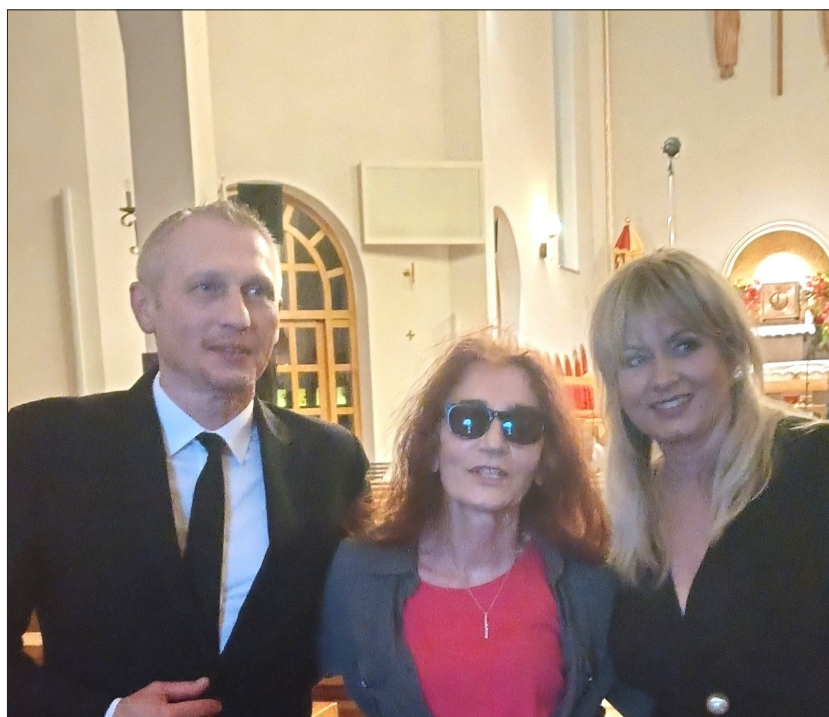
Henryk Jachimowski (1938-2014) – poeta, pisarz i twórca sztuk teatralnych, członek Związku Literatów Polskich. Wystawiał swoje sztuki teatralne

w kraju (Teatr STU i Teatr Bagatela w Krakowie) i poza granicami (Londyn, Budapeszt). Laureat wielu nagród literackich (m.in. Nagroda Czerwonej Róży, Laur Józefa Czechowicza, Nagroda Stanisława Piętaka, Nagroda Literacka im. Stanisława Staszyca), nagrodzony medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.

Twórca przedstawienia teatralnego *Pieśń wigilijna* (Kielecki Teatr Kobiet, 1995) oraz libretta do sztuk teatru tańca – *Pasja* oraz *Zdarzyło się w Jeruzalem* (muzyka Krzesimir Dębski, Kielecki Teatr Tańca, 2008).

Wybrane publikacje książkowe (poezja, powieści, dramaty): *Idę po dnie rzeki* (1965, Wyd. Iskry), *Jaszczury* – opowiadania (Iskry, 1966), *Skaza* (1969, 1977, LSW), *Pieśni wyśpiewane* (Wydawnictwo Łódzkie, 1970), *Mity powracające* (1975, Wyd. Łódzkie), *Mgła* (Wydawnictwo Łódzkie, 1976), *Dramaty* (Wydawnictwo Łódzkie, 1985), „*Nostalgia*” i *inne utwory sceniczne* (Oficyna Wydawnicza „STON 2”, 1997).

Więcej informacji na portalu ZLP: <https://zlpinfo.eu/aktualnosci/poezja-i-oratorium-w-skarzysku-kamiennej.html>.



Od lewej: Paweł Łukowiec, Elżbieta Kwasowska-Jachimowska, Olga Szomańska

* * *

(Fragment z *Pieśni o Ziemi*)

Cały świat dopytuje się o Boga
i ja dopytuję się o Ciebie
Gdzie jesteś – jeśli jesteś moich snach?
Na kogo z zachwytem patrzę, kogo dotykam – jeśli nie Ciebie?

Kto nosi mnie na rękach
kto układa do snu
kto rozpala we mnie ogień
kto go gasi – jeśli nie Ty?

Gdzie jesteś – jeśli jesteś wszędzie?
Dopytują się o Ciebie wszystkie rzeczy
gdzie jesteś – jeśli jesteś w moich snach

Kto nosi mnie na rękach
kto układa do snu
kto rozpala we mnie ogień
kto go gasi?

Cały świat Ziemia wszystkie rzeczy dopytują się o Boga
i modlą się do Boga
o powietrze prosi Cię ptak i ja
o słońce i o deszcz prosi Cię tęcza i liść
wszyscy wszyscy proszą Cię też o znak
którędy iść



ORATORIUM

ŚWIĘTA PRZY TOBIE CHWILA

Sanktuarium Matki Bożej Ostrobramskiej
Skarżysko-Kamienna

28 czerwca 2025
godz. 19.00

poemat-libretto
Henryk Jachimowski

muzyka
Paweł Lukowicz

solisci
Olga Szomańska
Marcin Jankiewicz
Marzena Trzebińska

saksofon
Andrzej Gumieła

recytacja
Piotr Zawadzki

Chór Kameralny „Fermata”
Chór Instytutu Muzyki
Uniwersytetu Jana Kochanowskiego

przygotowanie chórów
Ewa Robak

Zespół Wokalny A'capella
przygotowanie chóru
Monika Kozak-Wojciechowska

Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Świętokrzyskiej

dyrygent
Jacek Rogala

Serdecznie zapraszamy

Krystyna Cel

Jak podnieść

Na kanwie wierszy Stanisława Nyczaja

Odsunęliśmy się od pól i lasów
ale i od samych siebie

zieleni drzew
zastąpiły nam
betonowe place

wirtualny świat
stał się bliższy
niż stojący obok człowiek

nasze złowieszcze gry
z Naturą
ciągle trwają

maski na twarzach
to już codzienność
ale skąd te opaski na oczach

i jak tu podnieść
upadłą gałązkę Nadziei

Ludzkie

Na kanwie wiersza Czesława Miłosza TO

I we mnie jest TO
co natrafia na kamienny mur
którego nikt i nic
nie przebije

i ja przywołuję na pomoc
równiny szerokie
góry wysokie
i morza dalekie

ale czy TO
co w głębi jestestwa
tak boleśnie pulsuje
nie jest po prostu ludzkie

nawet gdy niewypowiedziane
błąka się bezradnie
zdrożone niemożnością
własnych słów

Chwila wahania

„Epoce jej sztuka, sztuce wolność”

Jakże wabi ta s e c e s y j n a kreska
co wije się jak wąż
we włosach Gorgony

ale czemu się waha i zatrzymuje
jakby chciała zapytać
czy podążać dalej za swym czasem

czy też niepostrzeżenie zawrócić
i uciec w już sprawdzone
chwila wahania jest jak wieczność

Na ławeczce

Pamięci Juliana Tuwima

Niech inni wiersze piszą
piękni i młodzi
ja siedzę sobie spokojnie
na ławeczce
w rodzinnym mieście Łodzi

siedzę sobie i patrzę
jak życie się toczy
i jak się zmienia
i doprawdy nie wiem
skąd się bierze
w mojej głowie
nowy *Bal w operze*

ale niech inni go piszą
piękni i młodzi
ja siedzę sobie spokojnie
na ławeczce
w rodzinnym mieście Łodzi

Pory roku

Na kanwie liryki J. Tuwima

U Tuwima jesień
mimozami się zaczyna
ale wiosna choć z oddali
pachnie już skandalem
kapryśna aura się zmienia
jakby od niechcenia
i lato całe naręcza
kwiatów polskich już niesie
zasuszmy je w albumie
będą jak znalazł
gdy zima śniegiem przyprószy
i gdzieś w mordobijskim powiecie
chandra unyńska
do ziemi nas przyniecie

W cieniu nadziei

Choć przyświeca nam
zaledwie wąskim cieniem
nie chcemy tracić jej z oczu

nasze wyciągnięte dłonie
uparcie próbują pochwycić
choćby nikły jej promień

usilnie się go trzymać
jak schodów poręczy
i cierpliwie czekać

aż ten wąty ogień
uniesie ku obłokom
niegasnący już płomień

Norwida pamięci słów kilka

I tobie Cyprianie Kamilu
też przyszło dumać nocą
na paryskim bruku
gdy nad Sekwaną
dopalały się gwiazdy

wtopiony w obcą przestrzeń
raz przyjazną raz wrogą
tworzyłeś legendę nadziei
z wiary przodków utkaną

żeglując daleko mierząc wysoko
przypiąłeś słowom
Ikarowe skrzydła
jeśli do brzegów ojczyzny dolecą
niech twoją piosnkę zanuć

* * *

Mój egzystencjalny lęk
prowadzi mnie po drogach
i bezdrożach tego świata

każe budować zamki na lodzie
i wierzyć w nieistniejących bogów

od czasu do czasu
rzuca promyk nadziei

ale zanim wyciągnę dłoń
ginie jego nikły blask

mój egzystencjalny lęk
chichotem losu
wypełnia przestrzeń

Jesień

Dziś obawiam się tylko
jednej pory roku
nawet gdyby miała
rudozłotą barwę

na nic mi już
kolorowe astry
złociste chryzantemy
spadające kasztany

oddałabym je wszystkie
za jedną gałązkę jaśminu
wiosennych zauroczeń

nikt nie przyuczył mnie
do jęku więdnących liści
w konającym zmierzchu

Krystyna Cel

Drodzy czytelnicy!

Poniższy tekst jest rozdziałem książki, której bohaterem jest Jerzy Galasiński, zesłany w 1940 roku, wraz z rodziną, na Syberię. Książkę przygotowuję do wydania. Nie mam jeszcze tytułu. Poniższy rozdział książki warto przeczytać, to zapis naocznego świadka, który przeżył piekło i przekazał je sucho i niesłychanie sugestywnie. Być może nie umiał inaczej, musiał odciąć się od tego, co widzi, by to przetrwać. Ulotne migawki pojedynczych zdarzeń, w tym rozdziale podróz, są jednak tak sugestywne, że przez tę książkę nie da się przejść obojętnie.

Drogę do miejsca zesłania, liczącą tysiące kilometrów pokonywano na pewnych odcinkach koleją, a później saniami i pieszo. Sanie pędziły bardzo szybko i nieraz zdarzały się śmiertelne wypadki. Podczas wielomiesięcznego marszu skazani doświadczali wielu niebezpieczeństw: udręki, głodu, zimna. Niebezpieczna okazywała się przyroda: mróz, wichury śnieżne, powódzie, upały. Wszyscy – także kobiety i dzieci – byli narażeni na piekło noclegów na tzw. etapach, gdzie panoszył się straszliwy brud, smród, zaduch, wielka plaga robactwa, nieopisana ciasnota, załatwianie potrzeb fizjologicznych na podłodze obok innych śpiących – przyczyna chorób, epidemii. Zesłańcy byli narażeni na okrucieństwo rosyjskiego konwoju. Poczucie niebezpieczeństwa potęgowała obawa o własny los i strach towarzyszący przekraczaniu granicy Europy i Azji.

Jakucja

Znaleźli się na obrzeżach dziewiczej tajgi, nad rzeką Ałdaną, jedną z najpiękniejszych i najpotężniejszych rzek Syberii. Wstęga jej to całe morze wód słodkich, sunące w królewskim majestacie wśród rozmaitych i malowniczych brzegów. Miejscami odległość zamienia te brzegi w błękitnawe tumany góryste i tylko odbicia chmur i zielone kępy wysp urozmaicają niezmierną, perłowo srebrną wstęgę rzeki. Było popołudnie, blask słońca ustępował już chładowi nocy i nikłemu światłu księżycy na nowiu, który zaczynał się zniżać tworząc dookoła siebie na ciemnym błękitnie nieba blade świecące półkole. Stąd rozwożono ludzi we wszystkich kierunkach. Rodzinę Galasińskich i jeszcze kilka rodzin odłączono od transportu między Krasnojarskiem a Nowosybirskiem, w środku tajgi. Załadowani na sanie wyruszyli do swego miejsca przeznaczenia.

– Tajga, tajga!

Jak okiem sięgnąć, rozbiegła się, rozparła od północy do południa, od zachodu aż do wschodniej połaci

nieba. Zielony ocean, a na nim, niby rozwichrzone grzywy fal, korony drzew ciemnych, niemal czarnych! Las przeważnie modrzewiowy rośnie wszędzie: w górach, w dolinach i na płaszczynach. Wąska wstęga bladej, brudnozielonej tundry otacza ten płaszcz lasów od strony Oceanu Lodowatego. Grzbiety górskich łańcuchów – skaliste, nagie lub porośnięte rdzawymi liszajami – wypływają wszędzie ponad lasami, znacząc linie najwyższych wyniosłości. Cieniuchne, kręte gałązki rzek i strumieni pokrywają srebrną siecią krainę, a we wklęsłościach błyszczą liczne jeziora. Każdą taką kroplę i żyłkę wodną otacza wąziutki, jasnozielony szlak łąk, roślinności błotnej lub krzewów rokitnych.

I właśnie tu, nad Ałdanem, dzieją się rzeczy tajemne, rozumem człowieka nieogarnięte!

– Któż to przebija ścieżki zwodnicze poprzez chaszczę?

– Kto wytycza je aż do toni jezior leśnych, niemych, zacząonych, bezdennych?

– Kto tam jęczy, szlocha i nawołuje po nocach?

– Kto szeleści suchymi liśćmi w południe i cicho, cicho puka w konary świerków uschniętych?

– Kto wreszcie unosi się wieczorami ponad trawą, kto się wynurza z czarnych przepaści tajgi i rękami z mgieł i opadów lepkich macha, wabi, woła i mami?

– Czyż to źrenice, krwawoczerwone, gorejące, pochwytywają odbłysek płonącego ogniska?

– Czyż to lot – chybki i miotający się – budzi ospałą ciszę?

Pytania te zadają Ewenkowie, ludy Syberii w sercu dziewiczego boru, który ciągnie się nie wiedzieć skąd i nie wiadomo dokąd. Człowiek, stojący na kopulastym pagórku, wiedział tyle tylko, że przez ów las, poprzez tę tajgę jego rodzimą, opiekunkę i karmicielkę, biegły potężne, wartkie strumienie, przedzierając się przez chaszczę, wpadały w nieliczne rzeki i potoki, żłobiące swe łożyska w bagnach i trzęsawiskach torfowych, pełne ryb i nieznanych istot, co straszą po nocy, wciągają do wirów, dołów lub zapędzają nieprzytomnych z przeobrażenia wędrowców do bajor, gdzie czai się bezdenna otchłań małych jezior – oczu Szygi, złego ducha tajgi.

Tajga z jej gęstymi lasami, majestatycznymi drzewami i tajemniczymi zakątkami od wieków fascynuje ludzi. To nie tylko miejsce, ale również symbol głębokiej, pierwotnej natury, która potrafi zainspirować i wywołać refleksje. Tajga staje się przestrzenią, w której możemy odkrywać nieznane aspekty siebie, a także zrozumieć nasze pragnienia i lęki. Tajga to nie tylko obszar leśny, ale również głęboka metafora przemiany i wewnętrznej transformacji. Ten gęsty las, pełen tajemniczych dźwięków i zapachów, może symbolizować naszą podróż w głąb siebie, w poszukiwaniu odpowiedzi na pytania, które nurtują nas w codziennym życiu. Tajga jest miejscem, gdzie natura spotyka się z duchem.

wością. Po drodze do Jakucka w jednym z wozów, zwietrzeliny skał i iłów spływające po zboczach gór zabarwiają je tysiącami fantastycznie zmieszanych smug i odcieni. Przy bladym niebie i białych śniegach wygląda to niezmiernie malowniczo.

Mróz sięgał wtedy 30 stopni, a w nocy nawet minus 40. Sanie ciągnęły dwa konie. Z przodu było miejsce tylko dla woźnicy, na dwóch miejscach z tyłu siedziały przeważnie kobiety z małymi dziećmi. Mężczyźni ze starszymi dziećmi musieli iść za saniami, brnąc po pas w śniegu. Postoje odbywały się w miejscu zmiany koni. Koczowali wtedy, próbując choć trochę się przespać, a przede wszystkim zdobyć cokolwiek do zjedzenia. Tamtejsza ludność, widząc pożałowania godny stan zesłańców, przy milczącej zgodzie konwojentów usiłowała pomóc jak tylko mogła.

Jechali już przez tajgę drugi dzień. Jurek zaczął odczuwać dreszcze i chciało mu się spać. W mroku ukazywały mu się niewyraźnie te same nieokreślone przedmioty: w pewnej odległości widział czarną ścianę tajgi i także ruchome plamy; tuż przed nimi bielił się zad konia, który wymachując ogonem, szeroko rozstawiał tylne nogi; widać było plecy enkawudzisty w futrzanej czapie, a nad nią chwiejący się karabin i rękojeść pistoletu w skórzanym kaburze, i ogień papierosa oświetlający blond wąsy.

W pewnym momencie Nikita, Buriat, woźnica saní zorientował się, że zanosí się na zawieję śnieżną, więc gnał konie co tchu. Było to ściganie się z białą śmiercią. Wiatr się wzmacniał i gwizdał, kurzawa zrobiła się taka, że na dwa kroki nie było nic widać. Długi konwój saní z trudem przedzierał się przez kopne śniegi, co chwila grzązał w głębokich jarach i wozach. Oszronione, buchające parą konie nie radziły sobie z drogą i ciężarem przeładowanych saní. Konwojenci pogubili się na tym rozszałym żywiole i w obawie, żeby im ludzie nie pouciekali, co chwila palili z karabinów w powietrze.

Po całonocnym odpoczynku i po nocnym silnym mrozie dzień wstał pogodny i cichy. Pod nogami ścięte lodem kałuże łamały się z brzękiem tłuczonego szkła. Olśniewająca biel śniegu na ziemi, śnieżna czapa śniegu na drzewach, bezwietrzna cisza i mróz. Oddychało się pełną piersią czystym, leśnym powietrzem, konie wyrwały naprzód, zdawało się, że podróż do kolejnej przystani potrwa dzień i będzie dłuższy odpoczynek. Ale za którąś z ostatnich wyjeżdżonych wiorst natknęli się na zator, dalej nie było przejazdu na szerokość saní. Nikita i furmani z konwoju zeszli z saní, wyjęli zza pasa siekiery i robili nimi ciach, ciach, ciach, jakby drzewo chłostali za to, że stało, aż bryzgi szczapek leciały. Ścięli trzy drzewa nisko, przy samej ziemi, odwalili na bok i zrobił się przejazd. Pojechali, ale niedaleko, niecałą wiorstę, i znów zator... Zesłańcy ścięli kilkanaście drzew, z porżniętych okraglaków ułożyli pomost nad

zapadliną i zasypali wądół. Pod koniec dnia byli u kresu wyczerpania.

Kolumna saní zagłębiała się w tajgę. Jechali bez przerwy. Jeśli nie liczyć krótkich postojów, pozwalających koniom odsapnąć przed stromym podjazdem, poprawić uprzęż czy podnieść wywrócone sanie. Ludzie marzli coraz bardziej. Na niewiele się zdało zabijanie rąk i nóg, tarcie twarzy i groźnie bielejących na mrozie uszu i nosów. Cały dzień na mrozie, bez ciepłego posiłku. Porcje chleba wyfasowane na ostatnim postoju zjedli od razu na miejscu. Tosia długo nie mogła utulić cicho popłakującego synka. Woźnica Nikita spostrzegł, że małemu zimno, bo bez słowa zdjął z ramion swój kożuch z wielbłądziej wełny i rzucił Tosi za siebie. W tym jednostajnym ruchu stracili czas. Kiedy droga wspięła się na strome wzgórze, daleko przed nimi w oddali dostrzegli z wielką ulgą rozległą dolinę rzeki, a na jej brzegu wieś z dymiącymi kominami.

Gdy podjechali, zobaczyli duże zabudowania. Rybaczówka, sądząc po długim rzędzie wysokich, wbitych w ziemię pali na suszenie sieci. Skręcili do niej. Droga była wyjeżdżona, ślady saní zajeżdżających i wyjeżdżających, ale to były stare ślady, świeżych nie było. Widocznie ta rybaczówka nad Ałdanem, na samym brzegu rzeki służyła w zimie podróżnym za zajazd. Nikita wjechał. Zaczisnie tu było i pusto, jak gdyby nikt tu nie zaglądał. Obejrzał całe siedlisko i wyszedł na dwór. Zostaniemy tu. Izba dla podróżnych była czysta, zamieciona, z „bólem” pomieściła wszystkich zesłańców.

A pogoda się psuła, śnieg sypał coraz mocniej i wiatr się zrywał, więc rano prędko załadowali się i opuścili śnieżny wykop. Minęli dwa trupy wilcze, krwawy ślad trzeciego na śniegu do lasu, potem z daleka zobaczyli czerwoną plamę na skotłowanym śniegu ze sterzącym szkieletem konia i wyjechali na rzeczny szlak.

– To czwarty dzień naszej podróży – powiedział konwojent. – Jesteśmy gdzieś niedaleko Ojmiakonu.

– Tak wygląda?

– Jeśli pogoda dopisze, na wieczór powinniśmy być na miejscu.

Jechali w milczeniu. Trzeba było uważać, by nie zboczyć ze szlaku. Wiatr wzmacniał się i bił w twarz, śnieg wirował coraz mocniej, tak że Nikita postanowił skręcić pod lewy brzeg rzeki i poszukać tam jakiejś osłony.

Zmarłym łożyskiem Ałdany ciągnął teraz pracownice siwy sznur saní. Sierść koni posrebrzył szron. Oddech kłębami pary buchając z pyska stygł natychmiast w białe kryształki na ciemnej sierści. Skórzana uprzęż ujmowała piersi i karki, skórzane lejce wiązały ciała. Sanki całą powierzchnią płoż sunęły po lodzie rzeki. Przód saní podniesiony ku tyłowi spychał i wtłaczał pod płoż śnieg kłębiący się puszystą falą.

Droga wytyczona po lodzie Ałdany wiodła cały czas po równym, była więc łatwiejsza od wczorajszej, wlokącej się przez tajgę, górami, dolinami. Ranek zapowiadał piękny, słoneczny dzień, zwały śniegu, nagrzewane za dnia, matowiały, topniały, podmrażane nocą, droga była gładka i wypoczęte konie szparko ciągnęły sanie.

Ale co z tego, kiedy z każdym kilometrem wycieńczeni głodem, zimnem i długim marszem ludzie byli coraz bardziej zmęczeni. Powieki, policzki, wargi tak gęsto pokrył szron oddechu, że twarze stały się nieczłowiecze i nierozpoznawalne; ludzie ci wyglądali jak dziwaczne zjawy, niesamowite maski, kroczące za pogrzebem widma. Pod sierścią zwierząt i szronem zimy, byli to jednak żywi ludzie, ciepłi ludzie. Wlekli się noga za nogą, zostawiali w tyle, w beznadziejnym ośpieniu niewiele sobie robiąc z ponagleń i pokrzykiwań konwojentów. Co jakiś czas kolumna przystawała, rwała się na części, czekała, żeby zebrać się razem.

Szli bez słowa, oszczędzając oddech dla wysiłku ciała. Wokoło leżało milczenie, przygniatające dotyką niemal obecnością. Naciskało na mózgi jak ciężar wód głębokich na mięśnie pływaka. Kruszyło serca obszarem niezmaconej pustki. Wyciskając niby sok z owocu wszystką pychę człowieczą, niegodną wiarę w ludzką wielkość. Postrzegali i smakowali nikłą skończoność własną, mizerną małość okrucieństw, podtrzymywanych wątlą chytrą i słabym sprytem pośród odwiecznej gry potężnych, ślepych żywiołów.

Minęła godzina, minęła druga i trzecia... Białe światło krótkiego bezsłonecznego dnia zmierzchało już prawie, gdy nagle daleki krzyk przeszył ciszę powietrza, wzbił się ku górze, dosięgnął najwyższego tonu, krzepki i tętniący, po czym z wolna rozplynał się i dogasł. Mógłby to być jęk potępienia, gdyby nie przydźwięk ponurego okrucieństwa i głodnej chciwości. Konwojent jadący z przodu odwracać począł z wolna głowę, aż oczy spotkały spojrzenie tego, który jechał z tyłu. Wtedy ponad kolumną sań skinęli ku sobie głowami.

Im dłużej trwała droga na wschód, tym mniej przypominali uporządkowaną kolumnę więźniów, a bardziej gromadę wyczerpanych wygnańców. Niska temperatura uniemożliwiała marsz, zamiecie i głębokie zasy pyłowe często zamieniały wędrujące konwoje w śmiertelne próby wytrzymałości.

Rozniósł się krzyk drugi, przeszywając chłód powietrza ostrością lśniącej igły. Ludzie ustalili miejsce: poza nimi gdzieś na drodze, którą przejechali niedawno. Uleciał krzyk trzeci – nieco na lewo.

– Wilki idą za nami i z boku – powiedział woźnica, ściągając do siebie lejce, ponieważ konie uskokowały w bok. Głos jego zabrzmiał ochryple i niesamowicie, słowa brnęły z wysiłkiem.

Potem nie mówili już więcej, chociaż nasłuchiwali czujnie odgłosów, co dobiegały ich tropem. Poruszeni wyciem wilków przyspieszyli. Po paru kilometrach, jeszcze przed nastaniem zmroku na lewym wysokim brzegu Ałdany, zesłańcy dojrżeli zabudowania.

Tym razem nocowali w pomieszczeniach gospodarczych kołchozu. Drewniany budynek miał ogacone ściany. Wszystko w szopie posprzątało i napaliło w piecu. Ogromny piec zajmował trzecią część izby, z piekarnikiem i fajerkami do gotowania, i wielką wnęką na dole, w której można było upiec dziesięć bochenków chleba. Palenisko dogasało, więc dorzucali drzewa i dmuchali, aż się zajęło, potem stali przy ogniu, nagrzewając się to tą, to tamtą częścią ciała. Piec huczał. Po izbie rozchodziło się przyjemne ciepło. Pogadali jeszcze o tym i owym, i poszli spać – na deski obok pieca.

Spali obok siebie pod wspólnym okryciem. Tosia przylgnęła ramieniem do męża, oddychając chrapliwie. Obok spał trzyletni Jureczek; spał nieświadomy tego, co wokół się działo. Spali smacznie, a śnieg sypał i sypał dużymi płatami na niedźwiedzia, który w tajdze spał w barłogu, na sobola i na wilka, i człowieka, na każdego jednakowo w jego kryjówe. W nocy od siarczystego mrozu pękały z hukiem drzewa w okolicznej tajdze. A nad ranem mróz przybrał na sile.

Noc minęła spokojnie. Nazajutrz zobaczyli wszystko zasypane śniegiem i jakby zaspane. Jerzy Galasiński wstał rześki i po raz pierwszy, z ochotą zabrał się do porannych czynności przy załadunku sań. Tosia także wstała wypoczęta, zaczynając wierzyć, że mimo tego, co ich spotkało, dotknięci ciężkimi doświadczeniami, na pewno katorżnicza droga, którą odbywają, doprowadzi ich w końcu do Polski.

Zjadłszy mizerne śniadanie, po załadowaniu skromnego ekwipunku na sanie, ludzie odwrócili się od zabudowań, które dały im schronienie i ciężkie kroki skierowali w ciemność. Woźnice i kto sprawniejszy krzątali się przy ogniskach, topili w wiaderkach śnieg, żeby oszukać dojmujący głód, rozgrzać łykiem wrzółku przemarznięte organizmy. Zewsząd słysząc było pokrzykiwania zuchwałe i ponure konwojentów, nawołujące się poprzez chłód i mrok. Wtem jakieś zamieszanie, płacz i rozpacz, znowu niespodziewana śmierć; w rodzinie Jarząbków zamarła córeczka. Komendant konwoju zgodził się na pochówek zmarłego dziecka. Na pogrzebie byli wszyscy. Pochowano ją na malutkim cmentarzu kołchozu, znaczonej starymi prawosławnymi krzyżami i zupełnie nowymi drewnianymi słupkami z czerwoną gwiazdą na szczycie. Długo rąbali oskardami i siekierami zlodowaciałą syberyjską ziemię. Zmarłą złożyli w drewnianej trumience z sosnowych łat. Na grobie postawili brzozy krzyż z tabliczką. A na tabliczce rozgrzanym do czerwoności gwoździem wypalili: „Tu pochowano Marysię Jarząbek

lat 3 z Polski, która prosi o modlitwę”. Na pożegnanie ukłękli i głośno odmówili *Wieczne Odpoczywanie*.

Poruszeni śmiercią dziecka, ruszyli z opóźnieniem. Ludzie szli i jechali w milczeniu. Trzeba było uważać, by nie zboczyć ze szlaku. Około dziewiątej zaczęło świtać. Pojechali w tajgę. W południe niebo spłonęło ciepłym różem w tym miejscu, gdzie garb globu odgrodził wysokie słońce południa od świata północy. Lecz kiedy rozplynęła się jego różana barwa, konwój zatrzymał się na odpoczynek.

Zatrzymali się na polanie w brzeźniaku.

– To wszystko żurawina! – krzyknął konwojent zataczając szeroki gest władcy. – Nasza sowiecka żurawina!

Pośrodku pożółkłej polany, na zamrzniętych mokradłach, pod srebrzystym szronem polśniewały rubiny. Jak okiem sięgnąć, rubinowym blaskiem mieniły się krzewy dorodnej żurawiny, była tego niesamowita ilość, cała polana zdawała się krwawić żurawiną.

Zesłańcy rzucili się na nią ze swoimi naczyniami, zaczęli zrywać. Tosia z siostrą pierwsze pobiegły na polanę. W niespełna dwadzieścia minut miały pełny kamienny garnek owoców.

Konwojenci dali sygnał do odjazdu. Niesamowicie cicho zrobiło się na dworze – żadnego ruchu, żadnego odgłosu. Olśniewająca biel śniegu na ziemi, śnieżna czapa na drzewach, bezwietrzna cisza i tęgi mróz, zaś nieprzenikniona chusta nocy syberyjskiej rozesłała się po cichym i pustym kraju.

„Niedaleko, już niedaleko”. Słyszeli to wciąż od woźniców. Widocznie syberyjskie odległości inaczej się mierzy, bo jeszcze przez następne trzy długie doby zesłańczy konwój ostatkiem sił włókł się korytem Ałdany. Jeszcze dwukrotnie nocowali w leśnych osadach. Im bardziej zagłębiali się w tajgę, tym bardziej okolica stawała się dzika, pierwotna, bezludna.

Noc która nadeszła, była powtórzeniem poprzedniej, tylko żądza snu stała się jeszcze bardziej nieodparta, a spędzali ją w tajdze przy ogniskach. Osada, w której się zatrzymali, była wyludniona. Baraki, jakie zastali, były już dawno opuszczone i zdewastowane. Szyby w oknach powybijane, powyrywane drzwi. Przegniłe prycze. Nie było tu śladu żywego człowieka. Nawet woźnice, Sybiracy, nie wiedzieli jak się ta osada nazywa. Dowódca konwoju wyjaśnił, że tego noclegu nie było w planie.

Woźnice, rdzenni Sybiracy, wiedzieli, jak taką mroźną noc w tajdze przetrwać.

– Na posłanie nie żałujcie pracy, przesiedleńcy – upominali konwojenci. – Będziecie na nich spali. Ma ono być, można powiedzieć, izolacją zimna, miękkie i sprężynujące.

W głowach i w nogach powbijali rzędy widlastych kołków, całą tę przestrzeń usłali miękkimi gałązkami modrzewia, na nie położyli drągi jak ruszt, tak by każdy

trafił w rozwidlenie kołków w nogach i u wezłowia, a na tę siatkę naznosili mchu i narzucili to, co z pościeli zdołali z domu ze sobą zabrać.

– Na mrozie usniesz, umriesz! – groźnie pouczał Nikita i tarmosił każdego, kto z jego sań próbował spać. A sen napływał niepowstrzymaną falą i zachłystywał myśli. W nocy od siarczystego mrozu pękały z hukiem drzewa. Woźnice co jakiś czas dorzucali drew do ogniska. Nikita zabrał się do urzeczywistnienia swego pomysłu. Rozciągnął ognisko w szeroki krąg, co pozwoliło ogrzewać wszystkich w miarę jednakowo. Krąg czerwonych węgla i jasnego płomienia rozpadał się na odcinki, pomiędzy którymi przeświecały plamy ziemi. Czarność tych plam stawała się coraz rozleglejsza – czerwoność węgla zwężała się ustępliwie.

Nadszedł świt, mróz przybrał na sile. Ognisko przygasło. Zapas drewna się skończył. Po nieprzespanej nocy przemarznięci, niektórzy poodmrażani ludzie przychodzili do siebie, szykowali się do drogi. Nagle coś otrzeźwiło wszystkich niby gwałtowny wstrząs.

Co to? Krzyki ludzi, skrzyp sań, chrzęst upręży, przenikliwe zawroscenie kobiet. Kilkanaście osób pochyliło się nad człowiekiem, skulonym pośrodku dogasających ognisk. Potrząsali nim, trzęźwili, budzili natrętnie. Spojrzał na nich mętniejszym wzrokiem, zamknęły się oczy, broda opadła na piersi.

– Nie żyje! – ktoś krzyknął.

Przygnębieni nieszczęściem, w ponurym milczeniu wyruszyli w ostatni etap swej katorżniczej podróży. Według konwojentów miało być niedaleko, a wlekli się korytem Ałdany cały dzień, forsując nieprzetartą, zawianą kopnym śniegiem drogę.

Zmrok zapadał i nadeszła noc; ludzie dotarli do celu, ale dokuczała im gorsza troska: tęsknota za domem rodzinnym. Czuli pustkę, pragnienie spokoju i ciszy. Spokojna cisza jedyne życie, które dotychczas zaznali – przeminęła. Tutaj powietrze przelewało się gwarem, brzęczało, huczało, tętniło. Ciągłe zmienne w swym napięciu, ciągle niespodziewane w wybuchach, ciążyło na nerwach i zmysłach, prowadząc niepokój i bojaźń przed nieustanną i nieprzewidywaną możliwością nowych zdarzeń.

Jan Chruśliński

Mała ojczyzna

Wracam wołaniem dojrzałych zbóż
rumianych owoców,
szumem sosen.
Mówię, choć nie mam słów,
wołam bezruchem warg,
patrzę tęsknym zapytaniem
czarnych fotografii
spopielających ścian.
Idę i twarze masek mijam.
Szukam tamtego domu
z bezpieczną firanką
na tęczę mojego oka.
A ty już mnie nie pamiętasz
nawet gdy klęknęłam na progu.

14.02.2025

Osamotnienia

Niczego we mnie
oprócz mnie.
Klejnoty wspomnień
straciły blask.
Tylko tulą się
cienie osamotnienia.
Bukiety jabłoni
wołają bielą,
do nich biegnę
i błędę.
Czy obudzę zamknięte
pąki moich wierszy...
zagubiły się pomiędzy.
Nim odejdę
z bagażem pustych spraw
– powiedz mi coś miłego.

20.04.2025

Obudzeni

Zagubieni, nieprzemakalni
karmili spojrzenia
obfitością poziomek.
Mgła opadła na usta

i pachniała niedopitą kawą.
Krzyczeli siebie bezgłosem słów,
a pomiędzy nimi znak.
Jedna łza, jedyna
i rozwiązał się węzeł w piersi.
Obudził wiatr,
drapieżne wieże chmur
ożywiły łańcuchy wzgórz,
a niebo było spokojne.

15.06.2025

Niezapomnienia

Ocalić niezapomnienia,
przesiewać, jak dźwięki starych desek pod stopami.
Zatrzymać w wieczności,
nie krótszej, niż mgnienie oka.
Zdążyć, by opowiedzieć płomienie maków,
smak owoców soczystych jabłoni,
stukanie spadających szyszek z karłowatej sosny,
co rankiem pukała ramieniem w szybę,
jakby chciała wejść do środka
i śpiewne szepty różańców majowych kapliczek.
Pamięć już gwoździem czasu rdzewieje
pod ostatnim żdźbłem strzechy
i wyblakłe ściany spod matczynych makatek
gubią się w labiryntach papilarnych cieni.
Komu przekazać ojcowski znak krzyża
z pola na stół przyniesiony
na ostatnią wieczerzę domu.
Trzeba mi usiąść, by wreszcie odpocząć
na dębowym progu chałupy wspomnień,
gdzie na ścianie wisi wieczny Bóg,
zmęczony jak życie.

12.05.2025

Perły życia

Jestem w drodze,
jeszcze tyle do przebycia.
Dźwigam ciernie,
obmywam
w źródle zmartwienia.
Wciąż wspinam się
na górę codzienności.

Μωβ

Μολύβι δάκρυα κυλούν
από της θλίψης μου το κύμα
και μεσ' τη γαληνή νυχτιά
θολώνουν των αστεριών τα χρυσαφιά τα μάτια

Fioletowy

Łzy ołowiane płyną
falą mojego smutku
i w pogodną noc
rozmywają złote oczy gwiazd

20 Ιουλίου 1974 – Κύπρος

Μες στα δωμάτια της σιωπής μου
περιφέρεται η μνήμη
με τους βοστρύχους της λυτούς
στο σώμα της ριγμένους
και βλέμμα χαμένο μέσα στο σκοτάδι
«Μάθημα», λέει, «μάθημα»

Πρόσωπα ασπρόμαυρα φτερουγίζουν στον ουρανό
φθαρμένα δάκρυα μέσα στον καθρέφτη του χρόνου
φθαρμένα χαρτιά που δεν βρήκαν ποτέ δικαίωση
μονάχα οι μάνες τά 'δειχναν κάποτε στις πλατείες
μ' ένα δόλιο καρφί στα σωθικά

Σιδερένια πουλιά ξεθεμέλιωναν τη γη τότε
ερπύστριες βασάνιζαν το χώμα
και θριάμβευαν οι καπνοί πάνω στις ψυχές σαν μανιτάρι
μολυσμένες οθόνες με τις εικόνες της συμφοράς
κι εμείς καθηλωμένοι μπροστά στα στόματά τους

Προδομένη πατρίδα
κανένας πατέρας δεν μπόρεσε ποτέ να σε υπερασπιστεί
μόνο απέθαντη ψυχή χάνεσαι στο φως κάθε πρωί από τότε
«μάθημα», λες, «μάθημα»
«ποτέ μου δεν ξέχασα»

Μες στα δωμάτια της ψυχής μου
περιφέρεται η μνήμη
ψηλαφώντας τσακισμένα τοπία στα σκοτεινά
με προαναγγελθέντες θανάτους
κι εκείνο το βάρος που πάντα με γονατίζει
κάτω από το μαύρο πέπλο τους

Ολική επαναφορά
με νερό, κρασί και μέλι πάνω απ' τα μνήματα
Μνήμη η χοηφόρος

20 Ιουλίου 2021

20 lipca 1974 – Cypr¹

W pokojach mojej ciszy
pamięć wędruje
z rozpuszczonymi lokami
rozrzuconymi na ciebie
i spojrzeniem zagubionym w ciemności
„Lekcja”, mówi, „lekcja”

Twarze czarno-białe trzepoczą na niebie
wytarte łzy w lustrze czasu
wytarte papiery, które nigdy nie znalazły uzasadnienia
tylko matki kiedyś pokazywały je na placach
ze zradzieckim gwoździem w brzuchach

Żelazne ptaki wrywały wtedy ziemię
gąsienice torturowały glebę,
a dym triumfował nad duszami jak grzyb
skażone ekrany obrazami katastrofy
a my, zapatrzeni w ich usta

Zdradzona ojczyzno
żaden ojciec nigdy cię nie obroni
tylko nieumarłą duszę gubisz
w świetle każdego poranka od tamtej pory
„lekcja”, mówisz, „lekcja”
„Nigdy nie zapomniałam”

W pokojach mojej duszy
pamięć wędruje
czując złamane krajobrazy w ciemności
z przepowiedzianymi zgonami
i tym ciężarem,
który zawsze sprowadza mnie na kolana
pod ich czarnym welonem

Całkowita odnowa
z wodą, winem i miodem nad grobami
Pamięć czy hodowca świń

¹ 20 lipca 1974 roku miała miejsce turecka inwazja na wyspę Cypr.

w polskim przekładzie Aresa Chadzinikolau
σε πολωνική μετάφραση του Άρη Χατζηνικολάου

Miniatury

(Monolog miniaturowy)

Szarością wieczoru
czernią nocy
osłonięta
wracam myślami
w przeszłość

Czasami długo
wędruję ścieżkami dzieciństwa
chodzę boso po łąkach
głaszczę kłosa zbóż
w krzewach bzu
za kapliczką się chowam...

Czasami wpadam tylko
na chwilkę
na moment
n a m g n i e n i e
by zaczerpnąć rodzimego powietrza
by ułagodzić trzepot serca
by nie zapomnieć

* * *

Tajemnico,
zatopiona w żywicy serca,
zaszyfrowana w brzdach zmarszczek,
ukryta we łzie,
która uwięziona pod powieką
zaschła.

Wrosłaś we mnie
jak polny kamień w ziemię.
Jesteś smutkiem dozgonnym.
Kiedy umrę,
umrzesz razem ze mną.
Wtedy będę wolna.

* * *

Los
bawi się ze mną
w berka
To klepnie po plecach
to znienacka trąci

Kartami znaczoneymi gra
oszukuje
nęci marzeniami...

Potem
śmieje się w głos
z dziecinnej naiwności

Przechera!

* * *

Na palcach wyszłam
dziś ze snu

leciutko stąkam
boję się słów

Będę milczeć
fotografii uczuć
nie wykona nikt

* * *

Jesteś

...silnym ramieniem
gdy strach ugina kolana
a jutro wydaje się niemożliwe...

rozumiesz moje milczenie
i choć nie wołam
podążasz za mną

krok w krok

* * *

Pozwól
że się przytulę

chcę być jak łąka
która lgnie do ziemi
wraść w nią korzeniami

może zakwitnę jak ona...

* * *

Twoje serce
jak słodkie winogrona
i jak orzech twarde

tracę zmysły

* * *

Pikotki
na miękkich nogach
tańczą salsę w sercu

bezalkoholowy zawrót głowy
z duszą na twoim ramieniu

znajduje stały ląd

* * *

Marzenia –
papużki nierozłączki
ubarwią myśli
wykrzeszą siły
do lotu...

* * *

Tulimy w dłoniach
kradzione – razem

w spojrzeniach bolą
uwięzione słowa

jeszcze nie wiemy
że

samotność domatorka
tka pokutną suknię

za grzech zaniechania

* * *

Pogubiłam się świadomie
w domu twoich ramion

oddycham wiosną
otwarte przestrzenie
wabią i kuszą

zakwitam
a ty z jaśminowej przędzy
zaplatasz jutrzejszy los

umajona pachnącymi warkoczami
wyszepczę świt

* * *

Chwile kradzione

chowane na dnie serca

ocalcie mnie

* * *

Błądzimy
szukając prawdziwej miłości

Kosztujemy
zakazany owoc

Żądło pożądania
nie jest strzałą amora

rani
zabija godność

* * *

Nagłe emocje
wznecają pożar mózgu.

Myśli, jak spłoszone zwierzęta,
uciekają w popłochu.

Dziki tętent szarpie krwiobiegiem,
hałas pożogi rozrywa serce.

Elżbieta Jach

Bliźniak

czas jest człowiekiem
bezcieleśnym syjamskim bratem
rośnie razem z nami
dojrzewa szybciej myśli
sprawnie biegnie w wielu kierunkach
choć się nie oddala

zawsze jest

: na plaży
nabiera piasek do kubelka
wysypuje go powoli ze znaczącym uśmiechem

bawi się naszymi ciałami

ponagla nas podpała
dawne miejsca

przeinacza pamięć

naigrawa się z naszych ułomności
kaleczy

chcemy go zamordować –

słabnący
cień

* * *

odwiedzane miejsca cieszą się nami
rozpoznają po głosach po stąpieniu
w nas się ta radość odkłada
radość sosny wierzby albo trawy

znowu nas przyjmą
w słońcu lub w księżycu
jakby z innej planety czas importowany

trzeba tam pojechać jeszcze raz lub tysiąc
znaleźć siebie nad brzegiem
podniebnego
jeziora

wiem dokąd jadę ale jest to wiedza
tajemna – przydrożne miasta
może to kształty z kurzu i dymów a także
wyobraźni: różne słońca deszcze grady
próżnie i ciemności długie postoje

niewyraźne komunikaty: miejsce docelowe
jest po lewej albo prawej stronie

reflektory
syreny ostrzegawcze

tunel

Migawka mazurska

do zbawienia koniecznie potrzebne:
wiatr błękit obłoki
słowa ponadśłowne
czyste znaczenia

cisza
triumfalny taniec liści

nic więcej

ponad jeziorami
w samym środku
niepodzielnej
prawdy

Jeziorowskie 2024

Stan zawieszenia

zdania rozsypują się w słowa
słowa rozsypują się w litery
krążą jak spłoszone planety

pamięć niczym ocean
z nielicznymi wyspami

zdarzenia pojawiają się i znikają –
podróże twarze
przepełnione poczekalnie
pokoje redakcyjne

oto przy biurku
siedzi stanisław grochowiak
przy drugim janusz krasiński
siedzą tak bez końca
– na tym polega życie

starcy
jeden po drugim
zamieniają się w młodzińców
– na tym polega śmierć

wiatr przeszywa ściany

Mgnienie

nagle z papierowej teczki
wypadły kartki – zasuszone twarze dni
sprzed półwiecza – zapiski świadectwa
pracy ubezpieczeniowa legitymacja z pieczętkami
dawne choroby na które umierałem
by w radosnym słońcu zmartwychwstawać
ślady odcisnięte w zmurszałym papierze

– teraz
wzbierają niczym rozbudzone ziarno
żyją – ja także
jestem pamiętam choć nie czuвам

kurz
kręci w nosie

Optymizm

nie mam sejfu ogniotrwałego
wszystko spłonie co ważne i nieważne
najmniejsze myśli
małe papiery
a także pokaźne arkusze
choćby nawet w złożonych ramach

zanim to jednak nastąpi
mam swoje kartki zapiski
zdjęcia z nieprawdopodobnego dzieciństwa
świąteczka zapachy odgłosy
drogocenny kurz

ze spokojem
bawię się zapałkami

Domownicy

książki chodzą po domu
wskakują na stół na biurko
czepiają się szafek szczególną
miłością obdarzają podłogę

w kuchni
przysmażają stronicę
pachnie spalony papier
z dzieciństwa

są i w łazience
gadają z małpą w kąpiele

nieprzerwanie
na grzbietach niosą
ślady jakiegoś życia

pełnego szelestu

Ucieczka

czytam stare powieści
wstępuję na niebiosą
schodzę do piekieł

potem zmartwychwstaję
nie wiadomo którego dnia dwudziestego
pierwszego wieku

wchodzę do pustego domu
słyszę
echo kroków
szybującą muzykę
podniesione głosy
hałas –

tracę rachubę czasu

wstępuję

Sezony

najwięcej wierszy pisałem jesienią
zwłaszcza gdy padały deszcze teraz
cieszę się że nic mi na łeb nie leci
żadne banalne słowa wymyślne

metafory bez głów i nóg –
przemądrzałe kadłuby
kołyszą się na wiatrach

sny są najważniejsze podobno
coś było – chociaż dziś nie wraca

– dobra strona dzisiejszej ułudy:
pozwala milczeć

zima – białe piwnice
wiosna – zielone zasieki
lato – gorący błękit

wiersze parują

najmniejszy szmer głos
sprzed naszej ery

cisza
jak w domu z którego wszyscy wyszli

świeca
dopala się z wolna

biały karzełek ze stearyny

zajęczek na ścianie

sadza

Stefan Jurkowski

Zasługi

ile jeszcze do zrobienia
podlać kwiaty
pozmywać talerze
zająć się dziećmi

spojrzeć na słońce
: nie wiadomo
czy za rok będzie
czy my za rok będziemy

proste czynności –

nasze orbity dzięki którym
nie rozpraszamy się na nieważne
cząsteczki zawieszone
w skamieniałym kosmosie:

idziemy śmiało
przez ucho igielne
jak przez wielką bramę – –

Retrospektywa

patrzę w głąb lustra jak w magiczną latarnię
może znajdę sekundę
którą chciałbym ocalić

światłne linie biegną chaotycznie
w niezliczonych kierunkach

nie wschodzi żaden obraz



Kolaż: Irena Nyczaj

Zakola

Byliśmy od siebie
na odległość słowa

nie wznieśliśmy się
ponad groszową jałmużnę

ponad gest
ponad próżność

ponad
... właśnie ponad.

Cierpieliśmy – oddzielnie
Współczuliśmy – sobie

o krok od niedomówień
pogardy... niezgody

Zapiszemy dla dziejów
chęci i powody

Całe nasze dziedzictwo
w niebyłej rozmowie.

Złości na złość

Powinniśmy dopełnić
próżność i zgorszenie.
Wykoleić pociągi,
odlecieć bezskrzydłe.
Upadać wśród wstających,
zachwycać znużeniem.
Upokorzyć anielskość,
w glorii witać bydłę.

Powinniśmy się spotkać –
pobić i pogodzić.
Naubliżyć, zbeczcześcić,
potem wypić piwo.
Bez zahamowań nażreć,
śmiertelnie zagłodzić.
I zmartwychwstać – na przekór.
I, żałując, zginąć.

Chcesz mnie dotknąć
wieloznacznie
dotkliwie

Chcesz mnie posiąść
tak na zawsze
na bezkres

Chcesz mnie zapiąć
na swój guzik
z pętelką

Chcesz i nie chcesz
bo się lękasz
o więcej.

Chcę cię dotknąć
wielobarwnie
żarliwie

Chcę cię pojąć
tak bezwstydnie
i wściekle

Chcę cię ukryć
przed ułudą
przed klęską

Chcę i nie chcę
będę gonił
– uciekniesz?

Mam się nie martwić

Zapewniają o zmianach
– alert pogodowy.
Za oceanem wiersze;
u nas złote gody.

Wnuki na Balearach
– tam korpo-rozmowy.
Czekamy na ich pierwsze
wschody i zachody.

Rozległość horyzontów
(w pieleszach domowych),
spokój w niezawodności
kryształowej kuli.

I nasze cztery kąty
– bądź co bądź pociecha,
gdy przyjdzie, bez narkozy,
przyjąć dar natury.

Ciągi

Zostawmy to nieskończone,
niech trwa w niespełnieniu.
Fala fali nie spotka,
raczej się rozplynie.
Musi być wolne, szalone...
Może nie mieścić się w cieniu.
Będzie symptomem zarodka
– nadzieją w zaczynie.

Zostawmy czas niedomknięty,
beźmierność w zapędach.
Niech gra muzyk do końca
– niedosyt w cud zmieni!
Bywają wiersze bez puenty.
Błędy niewinne w swych błędach.
Mają wygasnąć nam słońca
– kres ziemi... na ziemi.

Przybrzeźnie

Chcą zasypać mi oczy
– czy przez to oslepnę?
Uszczelniają mi uszy
– od dawna nie słyszę!
Drzwi mogą być... bez klamek
– oknem pokój wietrzę.
Czego brak im, a nie mam?
Kto szedł i nie przyszedł?

Nikt nie snuje prognozy
– mogę zawieść; niefart.
Ktoś postawi kabałę?
Bezwład, chętnych nie ma...
Sam, własne, trzeźwe myśli
wystawię na przetarg.
I niepamięć krzywd moich.
I wasze spełnienia.

Przegłosy

Sam sobie pięty depczę,
kluczę za kluczami,
źle guziki zapinam...
Jestem żaglem na wietrze
– może cię to bawi –
płynę. Tak się pływa!

Z pamięci mówię wiersze,
słucham Vivaldiego...
Sąsiad żal ma do ściany.
Trochę źle znoszę deszcze
– smęci kropel echo.
Sączę z wspomnień czary.

Kalkomania

I nadchodzi ten moment,
kiedy wiesz, że idziesz
– zmieniają się obrazy,
płowieją kolory.
I nieważny jest powód,
dowód; jestem, żyję...
To twój koncert – złe frazy,
arytmia pokory!

Stare błędy są stare,
nowe nazbyt nowe...
Wiesz, że harfa nie stroi;
rdza rzęzi w subkontrze.
Ale nadszedł ten moment
– zaszaleć bez gardy,
zakpić, zadrwić, zamącić...
serio i niemądrze.

Narosty

Czy zamknąć bramę?
(noc ma dziwne zjawy)
Za dnia gościłeś
chęci i ciekawość.
Pies drzemie w budzie
udając czuwanie
– pusto na drodze.
Stójkę robi zając.

U swoich plecęg
pypeć na języku,
kółka na czole
piewcom kręć wredni.
Coś się gromadzi,
zalega w przełyku.
I pacierz suchszy
niż chleb nasz powszedni.

Kazimierz Kochański

Mesjasz

(Fragment)

- Czy chcecie nadstawiać drugi policzek, gdy dostaniecie w pierwszy?!
- Nie! – zawył tłum.
- Czy chcecie modlić się za Hitlera, by trafił do nieba?!
- Nie! – krzyknęła sala.
- Czy chcecie mówić waszych nieprzyjaciół bez serca, którzy zamienili świat w obóz koncentracyjny?!
- Nie!
- Czy chcecie być poddawani próbie cierpienia jak Hiob, którego Bóg, przebac, Boże, ale muszę to powiedzieć, którego mój Ojciec Bóg przez zakład z Szatanem potraktował z sadystyczną przyjemnością, zsyłając nań wszystkie nieszczęścia, łącznie ze śmiercią wszystkich dzieci?!
- Nie! – wył tłum ze wzburzenia.
- Czy chcecie przebaczenia synowi marnotrawnemu, a karania syna posłusznego?
- Nie! – gwizdy widowni, potężne jak gniew Boży...
- Czy chcecie, by Jezus umierał za was na krzyżu w mękach i bólu? – Jezus znów pokazał do kamery swoje dłonie ze szramami po gwoździach.
- Nie! – płacz widowni, coraz bardziej histeryczny.
- Czy chcecie cierpieć, biczować się i pokutować przez całe życie?
- Nie! Nie! Nie!
- A czy chcecie zreformowania Kościoła, który stał się kupą cegieł, domem Boga, w którym Bóg już dawno nie mieszka i który stał się tym, czym dla kupców świątynia w Jerozolimie, z której Jezus ich przepędził?
- Burza okłasków i aplauz równie głośny, jak przed chwilą głośny sprzeciw.
- Czy chcecie, by kościoły przestały bawić się w teatralizację mszy, te wszystkie stroje jak z baśni i średniowieczne rytuały misterium dla ubogich, by kadzić ich tajemnicą Boga i przygniatać jego wielkością, żeby runęli na kolana w pokorze?
- Brawa i gwizdy aprobaty.
- Czy chcecie, by zedrzyć z księży ornaty i te śmieszne insygnia rzekomo boskich atrybutów?
- Tak! Chcemy! Striptiz z tych sukienek! – dołatywało z widowni.

- Czy chcecie zniesienia celibatu?!
- Aplauz po kopułę hali!
- Czy chcecie, by kobiety mogły odprawiać msze?!
- Jeszcze większy aplauz i piski kobiet, przenikane wyznaniem miłości dla Jezusa.
- Czy chcecie spowiedzi bez pośrednictwa księdza w konfesjonale i spowiedzi przed samym Bogiem, który widzi i słyszy każdego, nawet gdy uklęknie w szczerym polu?!
- Entuzjazm przebiegał przez ściany i był słyszalny chyba w całym Nowym Jorku...
- Czy chcecie, żeby Kościół sprzedał swoje dobra i rozdał potrzebującym, bo złoto nie jest Bogu potrzebne, miłość jest złotem prawdziwym, bliskim Bogu, tak jak ludzie o złotych sercach i czystych sumieniach?!
- Orgazm. Ekstaza i szaleństwo, jakby wszyscy w Madison Square Garden byli na haju. Swoją drogą, część zapewne była...
- Czy chcecie wstąpić do „Królestwa Bożego” tu, na Ziemi?!
- Yees! Yees! Please!!!
- Czy chcecie nowego Jezusa?! – Jezus chciał wziąć w ramiona dwadzieścia tysięcy ludzi.
- Totalna histeria, spazmy, płacz. Gdyby Jezus chciał, by teraz mu się oddano fizycznie, to tłum kobiet w seksualnym wręcz podnieceniu wdarłby się na scenę, a część mężczyzn zapewne także byłaby gotowa oddać mu się z pożądania...
- Czy chcecie pójść za mną, by zmienić ten zmurszały świat i dać mu nową, waszą twarz?!
- Ta nowa twarz to był aksjomat, pytanie nie musiało w ogóle paść, bo tłum, głównie młodych ludzi, zbuntowanych przeciw wszystkim Zgniłym Jabłkom całego świata, pokazywał fucka każdym słowem i gestem! Na ekranie pojawiły się raptem dwa ujęcia, dwa zbliżenia dwóch dłoni Jezusa zbuntowanego – jedna dłoń ułożona w geście Victorii, druga dłoń mówiła: „Fuck”... Te zresztą ujęcia obiegiły następnego dnia wszystkie pierwsze strony gazet oraz wszystkie stacje telewizyjne. Jezus uniósł dłonie jak dyrygent chcący uciszyć orkiestrę. Tłum powoli zastygał i wpatrywał się w usta Jezusa na ekranie, ukazane w zbliżeniu kamery.
- Wiele razy słyszałem i czytałem, że nie jestem Mesjaszem, który wrócił na Ziemię, tylko nawiedzonym szaleńcem, wariatem zbiegłym z psychiatryka. Magikiem o chytrym pseudonimie „Jezus”, który chce zrobić karierę i zbić majątek. Czy ktoś z was płacił choćby dolara za wejście tutaj?

– Nieee!

– Czy ktoś, kto dostał bilety na Super Bowl, płacił za nie choćby centa?

– Nie!

– Czy ktoś widział lub wie, że ja zarobiłem pieniądze za jakikolwiek cud, którego dokonałem?

– Nie!!!

– Wielu ludzi posądza mnie, że ja poddaję ludzi zbiorowej hipnozie, nawet hipnotyzuję ich aparaty fotograficzne i kamery w telefonach komórkowych... – uśmiechnął się na cały ekran i odpowiedział mu gromki śmiech sali. – Wyjmijcie swoje komórki, zaświećcie, że je macie!

Madison Square Garden zajarzyło się światłami jak na koncercie ukochanej gwiazdy estrady.

Jezus ponownie skrzyżował ręce na piersi i odbierał hołdy wiernych, po czym znów ich uciszył.

– Wielu dziennikarzy jest teraz także przed Madison Square Garden. Poprosiliśmy ich, by filmowali i relacjonowali na żywo nie tylko to, co dzieje się wewnątrz hali, ale też na zewnątrz. Mamy tam także nasze kamery, które za chwilę przeniosą obraz na ten ekran za mną. Madison Square Garden jest podświetlona i odegra za chwilę historyczną rolę, sami ujrzyjecie to na własne oczy. Madison Square Garden ma solidne podstawy, fundamenty zgodne ze wszystkimi normami budowlanymi.

Rozległy się uderzenia werbli zapowiadające wejście gwiazdy nad gwiazdami. Gdy werble umilkły, Jezus, trzymając ręce opuszczone, podniósł je, jakby unosił powoli wielki głaz. I w tym momencie znów rozległa się muzyka – rosnąca z każdą sekundą – a na ekranie ukazała się Madison Square Garden filmowana z oddali, która jakby powoli, leniwie wstawała z kolan lub z fotela, dźwigała się w górę, wyżej i wyżej. To naprawdę był numer, jakiego świat nie widział!

To naprawdę był cud! Nawet Jezus patrzył z podziwem na to, co sam uczynił...

Hala powędrowała nie o metr czy dwa. Hala odleciała. Dwadzieścia tysięcy ludzi górowało nad Nowym Jorkiem jak piórka uniesione podmuchem wiatru. Co trzeba było zrobić, by rzucić do stóp Nowy Jork, który widział już różne cuda? Nowy Jork, gdzie wszystko jest najlepsze, najdoskonalsze i niedoścignione. Nowy Jork tak wielki, że udławił się swoim własnym Wielkim Jabłkiem.

Cud!

Cały świat natychmiast pokazał ten film, te zdjęcia, to wszystko, co stało się w środku i na

zewnątrz. Każde słowo było natychmiast komentowane na całym świecie.

„Jezus wrócił na Ziemię!”

„Mesjasz comeback!”

„To wszystko stało się faktem!”

„Trzęsienie Ziemi w Kościele!”

„Papież odmawia komentarza!”

„Czy będzie koniec świata?!”

„Armagedon za progiem?!”

Jezus zaprosił na scenę swoich apostołów, przedstawił widzom Piotra, Marię Magdalenę, Judasza, Jana i Lilith. Byli dumni, że to wszystko tak pięknie wypaliło.

– Kto chce wstąpić do „Królestwa Bożego” na Ziemi, niech przed wyjściem weźmie ulotki i deklarację wstąpienia – przemówił Piotr.

– Szukajcie nas w internecie, a wkrótce bierzcie udział w naszych mszach radiowych i telewizyjnych. Nasz nowy Kościół, nasza nowa ewangelia! Szukajcie nas, a znajdziecie w naszych audycjach i broszurach – dodała Maria Magdalena.

– Stójcie za Jezusem, a my stoimy za wami! – uniosła pięść w górę Lilith w rockowej stylizacji, w kurtce nabijanej metalowymi ćwiekami.

– Wkrótce ruszamy w trasę z naszym Kościołem otwartym, zapraszamy was i innych na msze w halach i na otwartych stadionach – zapraszał Piotr. – Wszędzie wstęp wolny! A jeśli ktoś zechce rzucić symbolicznego dolara na tacę, by wesprzeć biednych za Bóg zapłać, to będziemy się modlić za was!

– Kochamy was, a wy kochajcie Jezusa! – złożył dłonie do modlitwy Jan.

Przed wyjściem z hali, na różnych stoiskach można było kupić T-shirty z Jezusem w znanych już gestach i popularnymi hasłami, na czele z „Bóg nie jest dla VIP-ów”, które szły jak świeże bułki prosto z pieca, jeszcze gorące... Koszulki, znaczki, magnesiki, krótko mówiąc: „Królestwo Boże” na rozruchu, ale z potężnym, profesjonalnym rozmachem. Ekipa squatu, ubrana w reklamowe stroje z napisem „Staff Jezus”, zasuwała z poczuciem misji i dumą, że to oni są apostołami i apostołkami Jezusa i nowej religii.

Leszek Kumański

Warszawska cioteczna babcia

Dzwonię do ciebie, bo znamy się od dziesięcioleci. To świadomość wzajemnych problemów, mimo że mogłabym być twoją matką, czyni z nas prawie rodzinę. Otóż, trzy tygodnie minęły jak zmarła moja ciotka, miało się na sto lat, troszeczkę zabrakło. Śmierć zwykle przychodzi nie w porę...

Twój rówieśnik, a moje zmartwienie, usiłuje zlikwidować jej warszawski dom. Jak wiesz pije bez opamiętania długie lata, a przecież niegłupi... Alkohol uwalnia w nim nieokiełznaną fantazję, puszczają wszelkie hamulce, tworzą się fakty, których nikt by nie przewidział. Ja na podróż się nie nadaję, kobieta inaczej się starzeje, a tam trzeba pakować, wywozić – nie wiem, co posprzedawać...? Może ty byś z drugiego końca Polski do niego dojechał, bo słuchy dochodzą niepokojące... Zawsze miałeś na niego dobry wpływ, pomóż mi proszę.

Trafiło mnie w czas, jak to mówią – od nędzy do pieniędzy... Akurat na pieniądze z utęsknieniem czekam. Wyszedł do nocnego pociągu w Warszawie – jesień zimna, wilgotna, wietrzna. Przywitał mnie cytatem z Horacego „Księżyc niejedną łni twarzą” – a pijany jak parobek. Widzisz, jaką mam mateczkę, nawet ciebie uruchomiła – że się dałeś?

Idziemy ulicą Krakowską i w bok, dość ciemno, w ogródkach domki różne murowane, a i drewniane – jesteśmy u celu. Sceneria angielskiego horroru przy tym to bezkresna łąka... Dominuje przyroda pozbawiona ręki ogrodnika. Jesienne drzewa, krzewy, łopiany, osty i pokrzywy, wszystko mokre, klei się do twarzy, mokrym chłodem liże szyję, dwa krzaki bzu z dwóch stron drewnianego ganku wyrosły i zarosły werandę. Jako pierwszy, desperacko przedziera się mój gospodarz. Widać jego okolicznościową moc i energię.

Wchodzimy w czarną przestrzeń domu. Romek klnie na elektrownię, która zabierając licznik, dała nam aksamitne ciemności. Szuka zostawionego ogarka świecy – oczywiście leży na podłodze. Pełgające światło, wewnątrz nieokreślone – przedpokój – duży. Jakies schody, pewnie na strych, pod nimi nieduże drzwiczki – chyba piwnica... rumosz pod nogami, jakiś zapach, jakby po kotach. Szmaty na podłodze czatują na nasze stopy, muszę go podtrzymywać, a cały czas coś marudzi. Czkawka

przerzywa mu składne zaproszenie do salonu, padł na fotel – spi...

Tajemnice salonu dawkuje mi nikłe światło – ogarka jakoś szybko ubywa. Na parapecie trzy świeczki stare, małe, takie jak kiedyś na choinkę, jedna w połowie złamana, jej dwie części łączy knot. Na drugim fotelu świecą się niespodziewane wielkie oczy wielkiego kota. Miejsca mi nie ustępuje, przeciwnie, broni swej pozycji. Jakies łóżko z bałaganem pościeli, w tym książki – przypadkowe, różne – trochę tego... Na suficie lampa z secesyjnym szmacianym abażurem, zwisają frędzle różnej długości – co z tymi frędzlami – wszędzie ich pełno! Secesja karmiła się tymi szmatkami, frędzlami, kapeluszami, piórami. Otwarta szafa, suknie, sukienki z żabotami, kołnierzykami, mankietkami, chusteczkami... Tkaniny miłe w dotyku. Niżej pantofle, pantofelki – wyższe, niższe, jakies sandaalki, gdzieś chodziły, gdzieś tańczyły...

Odkrycie – to przecież połowa salonu, druga część zasunięta szklaną ścianą. Składane na zawiasach przepierzenie, w ładnych drewnianych ramach szyby matowane, szlifowane w motywy roślinne, są i owady – ładne to. W środkowej części tego pięknego szkła – drzwi, też w drewnie, też szklane...

Zaczął chrapać. Po chwili budzi się półprzytomny, otworzył oczy, zbiera myśli. Przecież takiego gościa mam czym przywitać. Wyobraź sobie, moja cioteczna babcia była od przedwojny tłumaczką języka francuskiego w Ambasadzie Francuskiej, nawet odznaczona Legią Francuską.

Tak ta praca ją pochłaniała, że zmarła jako panienka tuż przed setką lat. Przed twoim przyjazdem zaglądnąłem do szafy i tam na dole w samym kącie – zobacz co znalazłem... Spod stołu wyciąga butelkę francuskiego szampana w opakowaniu z papier *mâché*. Wypijemy z jednej szklanki, gdzie szukać więcej... Korek trzeba było wyciągnąć – sam nie strzelił. W smaku dobry, na etykiecie rok 1942. To dwa lata przed naszym narodzeniem, i tak dwóch barbarzyńców w jeszcze mokrych przyodziewkach wypilo to, co jednak dla nich było przeznaczone – a kot patrzy...

Świeczki się kończą. Muszę jeszcze wysłuchać solo gospodarza na fisharmonii, co stoi pod ścianą, popis zatytułowany: rodzi się wieloryb... Słyszę pewnie jego pierwszą w życiu improwizację. Dobry przykład tego, co jest zaprzeczeniem samej istoty muzyki. Ty masz tu łóżko, ja mam swoje za tą szkla-

na ścianą, zadysponował. Trafił w otwarte szklane drzwi, zginął w ciemności, zostałem przy chwilami świecących oczach pilnującego mnie kota... Książki przerzuciłem na wolny fotel, a sam nie zdejmując grubej kapy na łóżku, wlałem pod lichą kołderkę. Początkowy chłód pościeli – sen zwyciężył. Obudziło mnie pukanie do okna. Strachliwy nie jestem, lecz pukało co chwilę i nierytmicznie. W ciemności obcego pokoju trudno by było przeciskać się między przypadkowymi przedmiotami zostawionymi w nieprzewidzianych miejscach – co tam – śpię.

Ranek pokazał pokój jeszcze inaczej. Poranna potrzeba wygoniła mnie z łóżka. W przedpokoju odkryłem, że wygodki nie ma, a wiadro z drewnianą przykrywką jest źródłem tych wieczornych, powiedzmy, zapachów. Z jednego końca zerwany sznurek zasłonki pozbawił to miejsce należnej intymności. Obok porcelanowe nocne naczynie. Wskakując do jeszcze cieplej pościeli, odkryłem, że ciepła jest, ale czysta to nie... Kilka dni Romek tu mieszkał, powiedzmy, „sam”. Do okna zaglądały piękne, rumiane gruszki, to nimi wiatr pukał w me okno.

Jeszcze wczorajszy, zobaczył, że nie śpię. Wstawaj, oprowadzę cię po domu, cokolwiek widać, choć te okna tak zarośnięte... za szklaną ścianą druga część salonu. Z lewej pod ścianą eklektyczny dziewiętnastowieczny kredens, okazały stół, kilka krzeseł, otomana, miejsce spania gospodarza, w trzy czwarte tyłem fotel uszak. Znad oparcia widzę część czupryny, dołem fragment nogi. Zauważył moją reakcję. Nie bój się, to mój przyjaciel Jul. Mam do kogo się odezwać, kot mnie już nie słucha. A ja mam wygodę w swoim gadaniu, manekin jeszcze nikomu głosu nie odbierał...

A ze trzy kilometry stąd idę sobie w błogim nastroju, deszczyk sobie kapie, pęcherz mi przybrał, zajdę za ten pawilon – myślę, ulżę sobie. W trakcie mego julania – patrzę, a na stercie koksu leży męski manekin. Mokry, brudny, bez jednej stopy, a tak – kompletny. Myślę sobie: manekin, ale człowiek. Niosę go pod pachą, a i tak miałem problemy z równowagą – ludzie patrzą. Pijany niesie trzeźwego! Zatrzymałem taryfę, Julia posadziłem obok kierowcy, sam trzymam z tyłu za czuprynę. Zanim się zdrzemnąłem, my na miejscu.

Kupce, co tu przychodzą, każdy reaguje jak ty. Ostatnio, co sprzedawałem meblową umywalkę, dołem bieliźniarka komoda i szufladki. Biał z białego marmuru i marmurowa ścianka z oprawionym dużym owalnym lustrem. Lustro miało szkło

kryształowe z szeroką szlifowaną fazą, a na blacie okazała miska i dzban na wodę z holenderskiego fajansu. To kobieta kazała mi Julia wynieść do innego pomieszczenia, bo ona się boi.

Zakupy robili do telewizyjnej rekwizytorni. Ona kazała wszystko spakować. Przeglądała szuflady i szufladki mebla, a tam szczotki, grzebienie, szpile do koczka, obrusy, serwetki haftowane, jeden biały obrus z haftem richelieu, rękawiczki białe koronkowe. A jak zobaczyła pościel batystową, zdobioną białą haftowanymi, kaligraficznymi monogramami – kupili wszystko, płacili gotówką. Do dziś myślę sobie, że nie poszło to do telewizji. Dobrze, że Jul tego nie widział. Po toaletowym kącie pozostał śliczny parawan o motywach chińskich, złożony i oparty o ścianę. Na ścianach dobre obrazy z okresu międzywojennego. Dwa okna strojne w ciężkie zasłony z okazałymi lambrekinami, przyproszone kurzem stały się jeszcze bardziej aksamitne. Zaduch, brak powietrza.

Romku, zobacz jakie gruszki. Chodźmy do ogrodu, a tam i szara reneta – jabłka o zapachu trudnym do zapomnienia. – Czekaj chwilę. Przytniś z domu neseser i pustą walizkę. Sprzedamy babom, co z pietruszką stoją przy Krakowskiej. Ja z gruszkami, on z pełną walizką jabłek – przekupy się targują. Skoczył do sklepu, a ja wlokę do domu te puste walizki. Po dłuższej chwili wrócił z zakupami. Cztery parówki, kotu makrela, chleb i pół litra. Wódkę załatwiłem, bo przed trzynastą. Kobieta mnie zna... te kilka słów raczej wydyszał niż powiedział – zadowolony.

Jesiennych zbiorów starczyło na dwa dni handlu.

Pokój biblioteczny był gabinetem do pracy przy tłumaczeniach. Pomieszczenie jak wszystkie, duże, mroczne – przez ten piekielny nieokiełznany sad!

Pod oknem zgrabne biurko z dwiema półeczkami i stojaczkiem na korespondencję, jeszcze suszka i biurkowy organizator na pióra i ołówki, pustka w kałamarzu...

Wygodny drewniany obrotowy fotel z podkładaną poduszką. Wokół szafy biblioteczne książki, słowniki, międzynarodowa literatura, wydania różne, w tym wielotomowe. Oprawy rozmaite, bardzo staranne półskórki, okładki marmurkowe, skórkowe, a i zwykłe z wydań tanich, popularnych.

Romek ma jakieś problemy w kuchni, w której jeszcze nie byłem. Zostawiam ulubione, idę z pomocą. Widzisz, staram się ugotować wodę na kostki rosółowe z koguta i parówki. Źle mi się pali pod

plytą kuchenną, przecież gazu nas też pozbawiono. Podnoszę czajnik, w palenisku okopcony wałek do ciasta. Takiej podpałki jeszcze nie znałem. Popatrz, spaliła się stara połamana ramka z obrazka, a wałek tylko się okopcił. Wałek zapłonął skutkiem starej podeszwy włożonej pod niego.

Siedzimy przy kuchennym stole pod oknem. Kot, jak się okazało, Behemot, pod stołem pochłania połówkę makreli. Jeden ze szklanki, drugi z niewielkiego słoika popijamy rosołek z koguta w kostkach – parówki, oczywiście, parują... Rozmowa się toczy, układamy plan na dziś. Wśród książek, jest dużo o tematyce czysto technicznej. Rodzice Romka to mama architekt, ojciec inżynier budownictwa wodnego. Są to często podręczniki z czasów studiów przed-, a i powojennych, niektóre w językach francuskim, jak i angielskim.

Wódka zakupiona w celach konsumpcyjnych – mimo nalegań ja odmawiam. Mój towarzysz ma zdanie odmienne.

Miejsce po jabłkach i gruszkach zajmują książki techniczne. Jedziemy pod znany adres na ulicę Świętokrzyską. Tam Antykwariat Naukowy. Dwóch przeciwnych wzrostem antykwariuszy w satynowych fartuchach z zarękawkami kupiło wszystko. Pan Wiktor – ten wyższy z fajką o kształcie łba diabła, był wyraźnie zainteresowany kolejną dostawą książek.

Wracam do domu ze zbiorem pustych kartonów. Zebrałem je w okolicznych sklepach. Stoi oparty plecami o siatkę płotu. Przed nim walizka – pewnie z książkami. Oczy przymknięte. Co tu robisz? Łapię taryfę, jadę do Wiktora, wymamrotam. Wiem, że zdania nie zmieni. W jednej z szaf brak mi książek prawie z całej półki... Pakuję kartony, staram się zachować logikę. Po dwóch godzinach wraca, wyzywa pana Wiktora, że nic nie kupił, a za taksówkę trzeba było zapłacić. Ledwie na flaszkę zostało i ogórki.

Usnął na swojej otomanie. Jak dobrałem się do zawartości walizki, nieboszczka bardzo zyskała w moich oczach. Cioteczna babcia mego kolegi była wielką skrupulantką. Rachunki za media od czasów przedwojennych przetrzymywała w starych, bezwartościowych okładkach. Szalencie bezwiednie zawiózł tę kolekcję do antykwariatu, czym ubawił setnie dwóch nierównych wzrostem antykwariuszy. Kilka kartonów starannie zapakowałem.

Wstał po chwili. – Mam pomysł, robi się w domu ciemno. Idziemy z flaszką do mego znajomego szewca. To tylko dwieście metrów. Fak-

tycznie, świece nie kupione, ani latarki – wyszło z głowy. Szewc powitał nas serdecznie. Dawno nie widziałem człowieka z garbem, kiedyś po wojnie spotykało się często.

Na ścianach jakieś miary, szablony z tektury, regał z drewnianymi kopytami różnych rozmiarów i fasonów. Damskie, męskie, wąskie, szerokie – dużo tego. Środkiem szewski stół pracy, niski, na nim w blaszanych pojemnikach różne gwoździe. Teksy, drewniane świeczki, fleczki do damskich pantofelków. Dwa taborety naprzeciw – jakby drewniane ramy na niskich nóżkach. Na tych ramach w kratownicę naciągnięte pasy skórzane – wysiedziane. To zydle szewskie. Mnóstwo przyrządów i narzędzi, w tym pociągiew. E, panie! bez pociągiewa to buta by się nie zrobiło, a i ucznia też by pan nie wychował. Co za pociągiew? – pyta Romek. Widzisz, taki pas porządnej skóry jak pasek do spodni, tylko zszyty, bez klamry. Prosty przyrząd do przytrzymania buta na stalowym kopycie. Jak też podręczna zachęta do nauki zawodu... młodzież nie bardzo do roboty się skłania.

Panie Józefie! My z faszeczką. Stary ożywił się, zsunął ze stołu graty do pudła, szmatą stół przetarł, postawił trzy musztardówki. Panie, to szkoda takie szkło wyrzucić, grube nie tłucze się, służy przez lata. Tylko cholera mam problem z wodą. Muszę w wiadrze je trochę otrząsnąć. E, alkohol wszystko odkazi... Sięgnął w górę, gdzie te drewniane prawidła – mam trochę swojskiej kielbasy, dwa pęta – podsuszona, dobrze uwędzona. Położył je na kawałku papieru. Musimy ją trochę przetrzeć papierem, bo diabelski kot się wiecznie do niej dobiera. Na tłustej wędzonej skórce, patrz pan, ile tych kłaków, cholera! Ale każdy sobie skórę obdrze i będzie dobrze. Kot w warsztacie szewskim, panie, to podstawa, inaczej myszy panu ludzkie buty podziurawia.

Najgorszy był pierwszy kieliszek, potem gardeo poluzowało...

A siedzę na emeryturze już kilka lat – wy to młode chłopcy, a można spytać po ile liczą...? Każdy z nas ma po trzydzieści pięć. – Zrobił minę Matuzalema; a ja mam równe siedemdziesiąt i patrz pan, to ja od każdego z was starszy jestem o lat trzydzieści pięć.

Polej pan, panie Romku, a te francuskie rosołki, te kogutki w kostkach, co ten karton od pana kupiłem, to – kadencja im się skończyła dziewięć lat temu. Tu stoi, patrzaj pan! – To przecież lipy panu nie sprzedałem. Ja piję każdego dnia zamiast herbaty

i kolega dziś pił i żyje... W czasie trudnych chwil w naszym kraju, cioteczna babcia dostawała paczki żywnościowe z ambasady. Zawsze miała zapasy.

Okazało się, że szewc ma jeszcze schowane pół butelki, jak i to się skończyło. Zaproponował – może pokerka pociągniemy parę razy...?

Gra poszła wartko, a efektem było to, że po ciemku do domu wracaliśmy z maszyną do szycia. Na odchodne słyszałem: a po cholere mnie ta maszyna. Ciągłe przychodzą z butami do naprawy – a może by mi pan spodnie skrócić? – pomstował szewc. Szewc jestem, nie krawiec. Normalne nogawki to jedno, ale weź pan portki z mankietami, ile to roboty, a zapłata? Tak, dyszkantem, wyrzucał tę maszynę ze swego sumienia. W dupie mam tę maszynę – niosło się w noc... Drugi, niosąc ze mną swoją połowę maszyny też marudził. Jednej maszyny z ciotki domu nie sprzedałem, dźwigamy drugą. Po jakiego diabła! Gdyby ktoś nas obserwował, to wniosek miałby jeden, że nasza droga krótka, ale szerooka... Wyglądało to, jakbyśmy tę maszynę w czasie drogi nawzajem sobie wydzielali. Maszyna poszła w ciemny kąt ciemnego przedpokoju. Każdy odnalazł swoje nieposłane posłanie i otchłań snu nas pogrążyła, a kot wiadomo – patrzy. Ranek: jabłka, gruszki, Krakowska, trochę pakowania, rosółek, parówki, jeden z nas musi zaklinować wczorajszy wieczór. Walizka i neser książek na Świętokrzyską. Romek zachował poczucie wstydu i po wczorajszej wizycie z rachunkami nie wchodzi do antykwariatu. Prawie wszystko kupili. My po koniecznych zakupach wracamy taksówką. Przestaje mi się to wszystko podobać. Postanowiłem – jadę wieczornym pociągiem. Prośby, namowy nie odnoszą skutku – jadę i już.

Idziemy mroczną ulicą. Jak się śpiło, tak się śpi, dziurawe niebo. On jak zwykle zanietrzeźwiony. Zostaje w pół kroku.

Musisz mnie wysłuchać – zaczyna. Jak ci to powiedzieć, aby nasza przyjaźń nie ucierpiała? Otóż spałeś dwie noce

w łóżku, w którym moja cioteczna babcia dokonała żywota... Wezwany przez sąsiadów lekarz stwierdził, że zmarła trzy dni leżała w tej pościeli. Skąd wiedziałem sprzedając umywalko-komodę z zawartością, gdzie były pełne szuflady czystej pościeli na zmianę, że ty przyjedziesz. Gnębiło mnie to bardzo. Jedno, co mnie pocieszało, że ty o tym nie wiesz. Ja wiedziałem i bałbym się tam usnąć. Z każdym słowem trzeźwiał. Faktycznie... pod łóżkiem stały damskie kapcie... kot je pilnował.

2024

Cezary Łutowicz



Kolaż: Irena Nyczaj

*pudowy kamień, pudowy kamień
ja na nim stanę, on na mnie stanie
on na mnie stanie, spod niego wstanę
(E. Stachura, Missa Pagana, cz. Jak)*

Kamień

Niebanalna materia, nawet nie żywioł, a przynależny
ziemi i wieczności. Leży albo lewituje. I bynajmniej
nie jak kamień w wodę. Wszędzie mu dobrze,
po wsze i obecnie.

Kamień – terror milczenia.
Czyny nieosądzone i ciężar w głąb rzucony.
Kamień – istota kamienia.
Jak świat światem twarda metafora.
Nie podnoś pamięci kamienia.
Ciężar ciemny zajrzy w oczy, oby nie chyżo.

Urodził się do milczenia.
Gdy czuwa na rozstaju – na myśl
nie przychodzi nawet pytać o wiek. Kamień.
Na pierwszy rzut oka – bezdroża szczelnie zamknięte.
Czego pilnuje? Jakiej podróży? Pukać do wnętrza
tylko wiesz może. Rzucam wiesz w wodę,
a kamieniem wraca. Do jakiego stopnia żywy,
do jakiego umiera w objęciach słowa.
Paradoks Schrödingera z martwiejącym pejzażem,
nadto wyniosłym i surowym, sterylnym w wyrazie
i prastarym, za to z obietnicą wieczystej drogi.
Kamień rzucam w wodę, w samo dno duszy –
wyzwała kręgi i powraca wierszem:
Kamień to taka strawa codzienna,
która w końcu połyka¹⁾.

Ile ciebie w gdziekolwiek, a ile we mnie?
Pudowy kamieniu i smugo po nim,
kamieniu obrazy i smugo po nim,
kamieniu oderwany od ręki i smugo po nim,
ucieleśniony kamieniu i smugo po nim.
Kamieniu, kamieniu, nasz bardzo wielki kamieniu.
Żarliwy kamieniu, biały kamyku, kamyku szczęścia,
wschodzący kamieniu. Kamieniu węgielny
– jakie wasze domy?
Skało potknięcia. Na wieki wieków opoko
na tobie kościoły, lecz pył z nich tylko ostaje się żywy.
Ile ciebie w gdziekolwiek, a ile we mnie,
kamieniu miłowy.

¹⁾ Elżbieta Musiał, *Mówię pochyloną cambrią*, poemat *Corpus delicti*.

Przestrzeń

Co prawda względna, za to niezawodna.
Wie o mnie wszystko przestrzeń przenikliwa
a nieprzenikniona. Bez dowodu na własną obecność
kryje się w sobie, a gdy nicość – TO COŚ wzbiera,
przelewa się i przepełnia pustką. Zagarnia
niebyt nieproszony choć rozproszony.
Raczej ogromny.

I gdzie się w proch nie obrócisz ONA jest.
A z nią nieśmiertelny EON zdolny posłać siebie
z duchowej ojczyzny nawet na Ziemię
Zagnieżdża się w dźwięku i pomiędzy słowami.
Jak powietrze, a przecież nie. Ucho nie usłyszy,
oko nie zoczy, a przecież jest. TO COŚ
zstąpione nie wiedzieć skąd.
Objawienie bez mała. Przestrzeń
zapatrzona w ponad – a jakoby byt w niebycie,
a jakby poznać mapę WSZYSTKOŚCI.
Geometria absolutna w oddechu istnienia.

Czymże więc jest to pole do zasiania
o siew niedbające? Ziemią obiecaną bez końca?
Brzemieniem absurdem? A więc też podróżą

w topiel. Nienakarmieni miłością
i miłością nakarmieni wracamy w toń
jak myśl do pramacierzy.

Tylko jak powołać przestrzeń do życia,
gdy ona przed, za, w i przedwstępnie.
Nawet pustka wniwecz nie obróci.
Wchodzę w nią, a ona nieustająco we mnie.
Niepodstawialna do wzoru samoistność,
bezdeń otwarta na kondygnacje,
samotnicza, a tyle iluzji.
Granica rozsądku nie sprosta.
Bodajże pomiędzy stwórcą a stworzeniem
pole podatne i z widokiem,
niebosiężnie nakarmione,
więc o siew już nie dba.

A gdy w nią przytomnie wejdiesz,
a gdy swoście wnkniesz,
nakarmi cię, czym zechcesz.
O gnozo, o przestrzeni, wy sobą będące,
nasycone sobą.

Elżbieta Musiał



Spotkanie promujące nowy poemat Elżbiety Musiał o tytule *TOTUM* w Domu Literatury w Warszawie (21 maja 2025) poprowadził prezes ZLP Marek Wawrzekiewicz. Fragmenty poematu zaprezentowała Olga Miłaszewska, aktorka teatralna i filmowa (na zdj. od lewej). Dalej siedzą Marek Wawrzekiewicz, Elżbieta Musiał.

Fot. Grzegorz Trochimczuk

Zza balustrady

król ulicy
na wytartym fotelu
blokuje niewielkie skrzyżowanie
nie zważając na samochody
czasem wyciągnie rękę
do przechodzącego turysty
codziennie obecny
jak ceglane ściany
i kolorowe śmietniki

w odrapanej kamienicy
wesoły gwar piwiarni
stare hiszpanki kołyszają wnuki
popijając mahou pogryzając churrosy

trzynastowieczne mury
i arabeski kamieniczek
pamiętają więcej
niż wiekowe drzewa
ludzkie wojenki nie powaliły
strażniczych baszt
nie złamały kręgosłupa
zdobnego meczetu
choć zniknęły smukłe minarety
a muzułmańską świątynię
wyświęcono na kościół

w południe
nieduże pueblo przysypia
ukołysane morzem
odurzone zapachem
kwiatów pomarańczy

Piles, kwiecień 2025

Jedno mgnienie

szybowała nad plażą
kołyszana senną bryzą
poprzez szklistą taflę
świat wydawał się tęczy
niczym ogród w aplikacji magic

wewnątrz było bardzo ciasno
ale wpasowała się idealnie

podciągając kolana pod brodę
nie mogła ruszać się energicznie
bo ścianki były kruche i drżące

czuła że nie zdąży niczego zmienić

figlarny wiatr poniosł w stronę morza
dryfowała wysoko
fale gorliwie wyciągały słone palce
nie dosięgając kragłości

dziecięce okrzyki zachwytu onieśmiały
mienila się wtedy najpiękniej
nie wiedziała że jest przezroczysta
i nikt nie zauważył
braku perłowego guziczka przy sukience
włosów w nieładzie

nie pamięta jak się tu znalazła
może zawsze żyła w kolorowej bańce

Dziękuję sobie

ofiarowałam sobie morze
taki cud
i inne najcudniejsze cuda
moje życie obfituje w cuda
i w doznania wdzięczności
które nauczyłam się nazywać

rozum mi szepce
że zbyt rzadko dziękuję
za taką szczodrość

rozum kocha słowo dziękuję
więc przypomina je
co jakiś czas

a ja czuję
że z różowości serca
wykluwają się energie
dryfujące w tej samej przestrzeni
co Źródło
i wiedzą wszystko
czego nie nazwałam

Straszak

Opowiadanie z najnowszej książki *Dobro-Dziej*

Paweł włożył straszak do kieszeni bluzy i wyszedł z domu. Wieczór był ciepły, ale mężczyzna nałożył golf, żeby zakryć większą część twarzy, a daszek czapki naciągnął na oczy. *Tego jeszcze brakowało, żeby rozpoznał mnie jakiś znajomy* – pomyślał. Był podekscytowany swoim eksperymentem. Bohater jego książki, którego usiłował wykreować, był nijaki, nieautentyczny. Od dłuższego już czasu nie potrafił ożywić ważnej postaci. Postanowił wczuć się w tę kreację, doświadczając emocji bandziora, przeżyć dreszcz prawdziwej przygody. Straszak pożyczył od kolegi, ale nie był pewien, czy odważy się zagrać zaplanowaną rolę. W parku było cicho, spokojnie, ani żywego ducha. Usiadł na ławce i czekał. Im dłużej to trwało, tym większe ogarniały go wątpliwości. *Chyba kompletnie oszalałem przez tę powieść. Przecież ktoś może dostać zawału ze strachu, albo walnąć mnie śmiertelnie w obronie, i co wtedy? Wracam, koniec głupiego eksperymentu* – postanowił.

I nagle – o przewrotny losie! – pojawiła się Ona. Zamyślona, szła wolno. Minęła go, nie zwracając najmniejszej uwagi.

Teraz, albo nigdy! – pomyślał i ruszył za dziewczyną.

* * *

Był sierpniowy wieczór. Park pachniał przed-sennie, a w oddali słychać było pomruki morza, które nigdy nie zasypiało. Agnieszka była szczęśliwa. Wracała z bardzo udanej sesji terapeutycznej. Kochała swoją pracę.

To cudowne uczucie uczestniczyć w nagłej przemianie, przebudzeniu do rzeczywistości człowieka, który chwilę temu cierpiał i walczył z całym światem. Uwielbiam Byron Katie i jej uzdrawiającą metodę. Jak wspaniale nie bać się niczego i zaufać terażniejszości. Zmienia się umysł, a za nim podąża ciało – rozmyślała radośnie.

Alejką była słabo oświetlona, ale dziewczyna szła przez park pewnym krokiem, nucąc cichutko znany przebój Anety Lipnickiej: „Wszystko się może zdarzyć, gdy głowa pełna marzeń...”

Nagle usłyszała pospieszne kroki za sobą i drżący męski głos: „Stój, nie ruszaj się! To jest napad!” Poczuli na plecach twardy przedmiot, który wbijał się między łopatki. Zatrzymała się. Ręka mężczyzny dygotała z emocji, a jego niepewny i miły głos od-

bierał wiarygodność całej sytuacji. Zamilkł, a ucisk przedmiotu zelżał, więc odwróciła się powoli. Przed nią stał przystojny, wysoki mężczyzna, o ciepłym spojrzeniu, z pistoletem wycelowanym na wysokości jej piersi. *Nie wygląda na bandziora, raczej na zagubionego spaniela* – pomyślała dziewczyna.

– Jaka szkoda – stwierdziła spokojnie – Jutro mam wspaniały bankiet z tańcami, na który kupiłam śliczną sukienkę – dodała wzdychając.

– Nie boisz się mnie? Nie wyglądam groźnie? – zapytał zdziwiony, z rezygnacją opuszczając rękę ze straszakiem.

– Nie – odpowiedziała stanowczo.

– Ani trochę? – ponowił pytanie z niedowierzaniem.

– Ani trochę – zaśmiała się – raczej mnie rozbawiłeś. Jakiś czas temu pewnie zachowałabym się inaczej, ale teraz lęk odczuwam rzadko. Zapadła niezręczna cisza.

Agnieszka zlustrowała mężczyznę „od stóp do głów” i po głębokim namyśle dodała:

– Wiesz co, nie mam partnera na ten bankiet, a ty jesteś całkiem przystojny... Może pójdziesz ze mną? Zapraszam... A zabić mnie przecież możesz zaraz potem, jak podepczę ci buty w tańcu.

– Ty naprawdę nie udajesz i nie zgrywasz bohaterki. Jasna cholera! – rzucił nerwowo Paweł, szybko chowając straszak do kieszeni.

* * *

Paweł był szczerze rozzeczony obrotem sprawy. Nie tak miał wyglądać bandycki napad. *Nawet w realu nie jestem przekonujący. Co za pechowa baba* – pomyślał poirytowany, bo oczami wyobraźni wykreował już scenę, w której dziewczyna wrzeszczy ze strachu, potem ucieka, a on wraca do domu i przelewa swoje emocje na papier – wreszcie wiarygodnie i z pazurem, kreśląc krwistą postać bohatera w nowej powieści. Ale jednocześnie poczuł ulgę i dopiero teraz bardzo zawstydził się całego zajścia.

Stali dłuższą chwilę w milczeniu i zaciekawieni przyglądali się sobie. Pomimo półmroku Paweł dostrzegł, że dziewczyna jest urocza. Miała takie piękne... Wszystko miała piękne i zupełnie nie pasowała do kuriozalnej sytuacji, jaką sprowokował.

– Jeśli, jak twierdzisz, w ogóle się mnie nie boisz, to chcę zrozumieć dlaczego. Każda inna dziewczyna darłaby się wniebogłosy. Niedaleko plaży – wskazał kierunek – jest przytulna kafejka. Zapraszam

na herbatę i ciacho. A jeśli odmówisz, wyciągnę
pistolet – postraszył z rozbawieniem.

Roześmieli się oboje.

– Nie mogę odmówić rozkazom takiego groźnego
bandyty. Poza tym sama jestem ciekawa dlaczego
straszysz niewinne kobiety w parku, chociaż tak
dobrze ci z oczu patrzy. Opowiesz mi o tym? –
zapytała Agnieszka.

* * *

Postronny obserwator pomyślałby, że przy stoliku
siedzi zakochana para. Młodzi ludzie, wpatrzeni
w siebie i całkowicie pochłonięci wielogodzinną
rozmową, nie zauważyli, że latarnie pogasły, a nie-
tknięte herbaty już dawno wystygły.

myśli przeplatane lękiem
podsuwają zdumiewające miraż
i nad ranem strącają nas z gwiazd

dryfujesz na załączkach słów
a one kruszą się na niespójne znaki
i rozpływają po kapryśnym ego

nie dosięgniesz głębi
podszeptem umysłu
tak jak chmury nigdy nie dotkną ziemi
jedynie uwiodą złudzeniem na tafli

Joanna Nowocien



Ilustracja: Rafał Nowocien, z wykorzystaniem narzędzi cyfrowych

Jakub stwarza świat

PROLOG

„Niebo wysoko, na ziemi twardo” (*anonimowe*)

A jego zaczarowało miasto. Już pierwsza noc w hotelu urządzonym przy teatrze miejskim, którego okna wychodziły na kwadratowy podwórzec – zapowiadała coś nowego, z czym młody człowiek do tej pory nigdy się nie spotkał. Ta noc, jak i następne stały się jego własnym spektaklem.

Zanim stał się człowiekiem nocy, był, a jakże, człowiekiem dnia, jak wszyscy. Kiedy to nastąpiło, nie wie, a i po prawdzie mało go to obchodziło. Wszystko, co nas w życiu spotyka, zaczyna się w dzieciństwie. To wiedział. Miał też świadomość, że od zawsze prowadził inne życie, a to swoje niedające satysfakcji życie w małym miasteczku – z wiecznie ujadającymi na siebie wzajemnie i sforę dzieciaków rodzicami – zawiesił któregoś dnia nad łóżkiem, przytwierdzając do ściany gwoździami, i z każdą nową kłótnią wbijał ostro zakończone patyczki, które pozyskiwał z wykałaczek, jeszcze bardziej je wyostrając. Te działania nie uszły uwadze rodzeństwa. Wredna siostra doniosła matce, która – trzeba przyznać – nie wygoniła chłopaka z domu od razu, lecz dała mu szansę wytłumaczenia niecných postępów i okazania skruchy. Podjął grę; trochę pokłamał, nieco przyklepał słabo umocowanymi pochlebstwami, co nie przekonało jednak rodzicielki. Wyczuła grę i manipulację syna, zatem korzystając z jego pełnoletności wskazała palcem na drzwi mówiąc: „Wynoś się”.

Potem nie raz powracała do tego momentu, jak gdyby nie będąc pewną, czy postąpiła słusznie. Ale Wielka Waga z szalkami jak w starej aptece w jej rodzinnym miasteczku, gdzie wszyscy zaopatrywali się w leki, paraleki i całkiem niepotrzebne suplementy diety, wskazywała, że winien jest on, niestety, jej jedyny, pierworodny syn. A przecież wszystkie uczynki rozłożyła na szalach sprawiedliwie, jak to matka. Cóż było robić. Otarła oczy...

Noc pierwsza – „Na początku był chaos”
(*z mitologii greckiej*)

W tym malutkim pokoiku skrzypiały deski podłogi. Słyszał też po nocy jakieś niesprecyzowane

dźwięki dochodzące ni to z pobliskiej ulicy, ni to – a może bardziej realnie – z wnętrza jego głowy, gdzie, bywało, toczyły się ciężkie dysputy, nad którymi nie zawsze sprawował kontrolę. Adrenalina bez ogródek atakowała poszczególne osoby dramatu, a te polemizowały z nią bardziej lub mniej udanie. Niektóre wyrywały się niepytane – co było dość zabawne, krzycząc piskliwie: „Winni są inni”, „Ja mam czyste sumienie”, „O co chodzi!”. Były też myśli-emocje-kameleony. Te cwaniary próbowały komplementami bądź kłamstwami zjednywać sobie... Kogo? No właśnie. I nigdy nie przepraszały, choć winne.

Chaos nie jest dobry, w przeciwieństwie do ruchu, spaceru aż do zdrowego zmęczenia. Uładowywszy jako tako męczące utarczki, wyszedł na przedwieczorną jesienną ulicę. Był to czas, gdy dzień jeszcze nie przegrał z wieczorem. Mżył deszcz i było dość smętnie – obraz świata zbudowany z malutkich kropek jak na obrazach Seurata. I wtedy przypomniał sobie sytuację, kiedy odprowadzał na przystanek autobusowy kolegę, który go odwiedził w tej samotni. Było podobnie, też mżyło, jasność dnia powoli gdzieś zniknęła, więc obaj radośni, rozgrzani kilkoma piwami wyszli na ulicę. I on wtedy wznosił ręce do nieba i rzekł: „Niech się stanie światłość...”. W tym momencie zapaliły się uliczne latarnie. Odjęło im mowę, ale tylko na chwilę. Obaj zaczęli się głośno śmiać z przedniego dowcipu i tanecznym krokiem podążyli ku przystankowi.

Teraz czas był podobny, po prostu *déjà vu*. Nie wyrzekł tamtych słów, a pomimo to rozbłysły uliczne latarnie. W ich świetle wszystko składało się z migoczących kropek, nawet ciężkie ściany budynków i nierówny bruk. Tak to właśnie było.

Od kilku dni męczyła go prawdziwa niemoc twórcza. A przecież praca to nie żarty. Dzięki niej ma swoje małe miejsce na ziemi. Na razie. Czuł zniecierpliwienie reżysera i aktorów czekających na scenariusz z rozpisanymi rolami, didaskaliaми i tym wszystkim, co jest konieczne w pracy całego zespołu nad spektaklem. Prawda, ogromna powieść, napisana wspaniałym, nieziemskim, poetyckim językiem nie ułatwia, wręcz stawia opór biednemu scenarzyście. Trzeba więc brać byka za rogi. Ale co począć, gdy blokada siedzi na tobie jak zmora, nic sobie nie robiąc z twoich terminów, od których zależy nie tylko los spektaklu, ale głównie twój? A jeśli wskażą ci palcem drzwi i powiedzą: „Wynoś się”?

Światłość, jaka zawitała do jego głowy, gdy nocne zjawy i mary zbierały się do odlotu, przyniosła

ukojenie i rozwiązanie gordyjskiego, no może nie węzła, lecz bardziej – węzełka, ale zawsze – supeł to supeł i rozplątać go należy. Zapadł w krzepiący nadranny sen.

„Aktorzy wypatrują mnie z okien i balkonów teatru. Zbliżam się nieodwołalnie. Jakże upragniony.

Podchodząc do gmachu, coraz mocniej czuję, jak im oddech ustaje, głos więźnie w gardłach, krew odpływa z twarzy...

Zatrzymuję się wzruszony. Niby to oglądam fotosy, studiuję bieżący program, zerkam ukradkiem na zegarek. Całą siłą woli staram się przywrócić im spokój.

Och, znowu płoną rumieńce!

Gdy naciskam klamkę u bramy, i mnie także pieką policzki. Zrywam się do braw przed nierozsuniętą jeszcze kurtyną – pośród tłumu beładnie rozstępujących się pustych krzeseł”.

„Śniło mi się
Nie śniło...”

Noc druga – „Nie ma nieba bez chmur” (anonimowe)

Ze scenariuszem zaczęło iść coraz lepiej, co nie znaczy, że bezkolizyjnie. Zdarzało się, że wieczorami, po spektaklu, zostawał na dużej scenie teatru, by oddychać niepowtarzalną, jak mówił, atmosferą tego miejsca i czerpać zeń inspirację. Nad widownią rozpościerało się ogromne, jajowate złote sklepienie-plafon – prawdziwe niebo. Jego blask potrafił zawrócić w głowie. Przymykał więc oczy, siedząc dokładnie na środku, w centrum owego wszechświata. Raz nawet położył się między fotelami na podłodze, niezbyt czystej, nieodkurzonej po wyjściu widzów, i czuł się tak, jakby leżał pod rzeczywistym niebem, podziwiając przesuwające się nad nim białe-złote chmurki podobne do kłaczków waty czy piórek gubionych przez ptaki.

Niebo było złote, a zamiast zielonej trawy, drzew, barwnych owoców i nasion – widział i czuł szaroczną strukturę wykładziny podłogowej podobnej barwą do ziemi.

Usłyszał słowa Poety:

„Gdyby z gwiazd zapalały się kwiaty na ziemi,
gdyby zapach udało się w światło przemienić,
nikt by z nas drogi żadnej nie nazwał daremną,
w pół nadziei nie przepadł, zdeptany przez ciemność”.

W nocy ujrzał przedziwny obraz.

„Jęknęła drgnawszy w posadach góra
ryknął stugniwny wulkan niczym atom
– To dopiero będzie skaranie boskie
gdy nie zabliźni się dziura w niebie

Ledwo rozstąpiła się chmura pyłu
buchnął żywy ogień
i zapłonął w całym majestacie wodospad...”.

Obudziło go przyspieszone bicie serca. Układał się to na prawym, to na lewym boku, to na wznak, ale nie pomagało. Serce łomotało jak szalone. Poczuł strach, gdyż jego ciało obejmować zaczęło od głowy aż po czubki palców u nóg lodowate drętwienie. Sięgnął po termometr. Zakręciło mu się w głowie z radości, gdy zobaczył na podziałce 38,8 st. C. Ach, więc to od tego, jestem po prostu chory, przeziębilem się. Grunt że nie serce! Nic poważnego.

Noc trzecia – „Rozumem nieobjęta Ziemia jest zaledwie prowincją Kosmosu” (Stanisław Nyczaj)

Lubił te bezkresne nocne wędrówki, o których wiedział tylko on. Przyjmował przepisane przez lekarza medyczne procedury i w kilka dni powrócił do zdrowia. A nocą... Drzewa uginały się pod ciężarem owoców, połyskujących fioletowo-czarnymi barwami w nikłej księżycowej poświacie. Trawa też miała ciemny kolor. Jak świeża ziemia. Przez głowę mignęła myśl, że coś to nie tak. Może przyczyna tkwi jednak w nim samym, jeszcze najpewniej nie całkiem wyleczonym, a konkretnie w jego sercu, które było jakoś nierówno, jakby szło samoswoją drogą, niezależnie od gospodarza, podpierając się sękatą laską-rekwizytem z niedawnego spektaklu.

„Obsiadły mnie szczelnie dokoła
siódme góry, lasy, rzeki
i nagle
wszystkie moje ukochane miejsca,
do których wlatywałem sercem,

oddaliły się,
odwracając na pięcie ode mnie.

Znalazłem się sam ze sobą
samotny jak nigdy dotąd,
po siedmiokroć”.

Noc czwarta – „Czas, o nie, wszechczas bez początku i końca!” (*Stanisław Nyczej*)

Po śmierci ojca, o czym powiadomiła go jedna z siostr, odwiedził miłe sercu rodzinne miasteczko i rodzinny dom. Płatanina, paplanina siostr opadły go jak rybacka sieć, z pomocą której wytaszczono kiedyś z Odry olbrzymiego suma. Na haczyk nie dało rady. Gdy tak patrzył poprzez oka sieci na ten mikrowszechświat domowy, w zwykłą, ziemską pogodną noc, tuż po pochówku ojca, i na matkę stojącą ze spuszczoneymi oczyma, ujrzał „*gęstszą jeszcze od cmentarnej ciemność z mnóstwem tłących się gwiazdnych zniczy*”. Poczuł, jakby całym sobą wstępował wraz z ojcem w zapierającą dech niemą otchłań. „*Brniemy pośród ciemności, blado przyświecając sobie nadzieją*”.

Tak oto właśnie po raz wtóry pożegnał ojca i rodzinny dom.

Dzień piąty – Kubuś-Duduś

Gdyby ktoś zaproponował Kubie kupno przyjaciela, z pewnością wykrzyknąłby po trzykroć NIE! Tak się właśnie stało, gdy na kolejnej imprezce „U Kuby” (cieszącej się w teatralnym hotelu zasłużoną renomą z uwagi na wysoki poziom i cykliczność tejże), ktoś mu to przedłożył całkiem serio, a Kuba wykrzyknąwszy po trzykroć NIE, dodatkowo popukał palcem po czole z wymownym i nieprzyjemnym uśmiechem. To mu oczywiście wybaczone, rozumiejąc impulsywność reakcji dodatkowo wyostrzonej wypitym alkoholem.

Noc – normalna rzecz dla Jakuba. A jednak dzień ma to do siebie, że z pomocą słońca powoduje, iż ziarno zawsze wykiełkuje, jeśli tylko nie padnie na skałę.

„Nastał nam nowy dzień!
Oto z mgły dobywa się znajomy blask.
Zbudzone ptaki sponad drzew
Wydziobują ostatnie ziarna gwiazd”.

Zdarzyło się któregoś dnia, że odwiedziła Kubę dawna znajoma. W ręku dzierżyła niewielką klatkę, w której siedziała malutka papużka falista. Zielonożółty ptaszek popatrzył na Kubę nieprzyjaźnie. Kuba na niego podobnie. Ale nie mógł odmówić koleżance, która wyjeżdżała za granicę.

– Na długo? – zainteresował się nowy opiekun ptaszka.

– Jeszcze nie wiem. To zależy, jak się ułoży moje nowe życie. Będziemy w kontakcie.

Zostawiła wszystkie niezbędne akcesoria i instrukcję. Ptaszka należy wypuszczać, musi sobie polatać. Oczywiście najpierw sprawdzić okna. On jest bardzo sprytny i trzeba uważać.

Ptaszek przeorganizował Kubie rytm dnia, a to głównie dlatego, że chodził spać z kurami, zaś wczesnym rankiem, gdy Kuba zwykł był zapadać w kolejne miłe senne marzenie, ogłaszał początek dnia, drąc się wprost nie do wytrzymania.

– Duduś, zamilcz! – krzyczał pan, a ptaszek spoglądał nań przenikliwym oczkiem i dalej skrzeczał.

Ulubił sobie kinkiet, na którym namiennie prześadywał, o czym świadczyły niemiłe ślady, niestety.

Co Kubie przyszło do głowy, sam nie mógł pojąć. Któregoś dnia stanął przed ptaszyną siedzącą na kinkiecie i zaczął w te słowa:

– Kubuś to ja. Duduś – ty. Duduś, chodź tu.

Powtarzał to po wielokroć, ale że z przemęczenia czy z pośpiechu myliły mu się czasem podobnie brzmiące imiona, często wychodziło coś w rodzaju: „Kubuś, Duduś, chodź tu, chodź tu”. Ptaszek przekręcał łebek i spoglądał na pana całkiem sensownie, z zainteresowaniem. Czasem bili się, a raczej „fechtowali”, jak to określał Kuba. Ptaszek ze swego przyczółku na kinkiecie celnie raził dziobkiem palec Kuby, nigdy go jednak nie raniąc zbyt dotkliwie.

I zdarzyło się coś, co przerwało spokojny, zasłużony popołudniowy sen Kuby. Lubił tak czasem przykimać z książką w fotelu – wspaniałym, wygodnym teatralnym wyposażeniu hotelowego skromnego pokoju. Otóż do jego snu (Kuba nie spamiętał jego treści za nic, obrazy przepływały z mroku w jasność dnia na podobieństwo lotni czy raczej wielkich ptaków – żurawi na przykład) przebiły się całkiem wyraźne słowa:

– Kubuś, Duduś, chodź tu, chodź tu...

Noc szósta – „Noc jest echem dnia: podwaja szczęście lub gorycz” (*Emilia Tesz*)

Teraz nocami Kuba słyszał więcej. W starej podłodze toczyło się najpewniej jakieś nieznane mu życie; dobiegały ciche, delikatne stukania, chrupkania, kołatania... A niech tam. Nawet jeśli, to każde stworzenie ma prawo do godnego życia. Nawet kornik, którego obecności w deskach podłogi czy też pod nimi był prawie pewien. Zaskoczyła go

kiedys niedorzeczna myśl, by wzorem emerytów o czułych sercach, podkarmiających nachalne gołębie, dać coś „na ząbek” jego własnemu kornikowi, być może nie takiemu samotnemu, jak... Aż się roześmiał, tak mu się to skojarzenie spodobało.

Koegzystencja z Dudusiem utknęła na opisanym etapie. Pomimo usilnych starań Kuby ptaszek nie poszedł dalej w lingwistycznych możliwościach w zakresie wzbogacenia słownictwa. Natomiast, co Kuba zauważał i doceniał, widać było pilną i systematyczną pracę stworzonką nad cyzelowaniem wyuczonej frazy, co przejawiało się w modułowaniu, zawieszaniu głosu, wypowiedzianiu części zdania albo też całości. Różnie. Towarzyszyło tym wypowiedziom często huśtanie na obu bądź na jednej nóżce, czasem dość gwałtowne, aż Kuba uśmiechając się mruczał pod nosem:

– Oj, Duduś, Duduś, gdyby nie skrzydełka, tobym cię zbierał z podłogi. Ale byłby wstyd!

Generalnie, ptaszek wydawał się z towarzystwa Kuby zadowolony.

Któregoś dnia Kuba otrzymał wiadomość: wraca z zagranicy opiekunka Dudusia, a jego dawna koleżanka. Poznali się w czasie studiów. On był na uczelni humanistycznej, ona studiowała na „wysrołu”. Jej pasją były wszelkie stworzenia małe i duże, raczej jednak duże, czyli konie, których Kuba panicznie się bał. Odstreczał go specyficzny koński zapach, który ona jak raz uznawała za wyjątkowy, niepowtarzalny i dla koneserów. Pewnie tak było, ale Kuba do tej grupy zaliczać się nie zamierzał. A szkoda, bo dziewczyna wywierała swoją urodą i sposobem bycia duże wrażenie. Pamięta jedno szalone Juwenalia... Ech, szkoda gadać, nie czas wspominać. Chyba w ogóle wtedy normalnie nie sypiali, włączając się po klubach studenckich, pijąc piwo, płonąc od pocałunków... Potem poznała kogoś na jakimś jeździeckim obozie dla studentów i Kuba już wiedział, że ten płomień musi ugasić sam.

Teraz drżał z niecierpliwości i podniecenia. Wysprzątał pokój, kłatkę Dudusia, postawił kwiaty w wazonie na stoliku. Wszystko gotowe.

„Skoro odnalazłaś klucz wejść
w mój dom opuszczony Serce mózg
przestronne jak widzisz Wypełnij je
sobą wracając przebłyśk myślom
i rytm uczuciom Więc się rozgość
swobodnie wygodnie – tak jakby
nigdy nic zwyczajnie

To znaczy
jakby coś najważniejszego się stało”.

To najważniejsze, oczekiwane wreszcie stawało się namacalnie realne. Po przylocie musiała nieco odpocząć, więc zaanonsowała radośnie wizytę na dogodny dla obojga termin i godzinę. Kuba sam się dziwił, że tak przeżywa swoją byłą fascynację, aż drży. Prawda, był zakochany, wiązał z dziewczyną poważne plany, lecz gdy jej o tym mówił, chcąc – tak myślał – przebić jak w brydżu „końską” kartę, tylko się uśmiechała mówiąc: „Oj, przecież się nam nie pali. Tak jest dobrze, nie spieszmy się”.

Popędził do drzwi na dzwonek, otworzył.

– Proszę... wejść...

– Kuba, poznajcie się, to Antonio, mój narzeczony. Chcemy wkrótce pobrać się tu, w Polsce. I już cię na ślub i wesele serdecznie zapraszamy!

Irena Nyczaj

W opowiadaniu wykorzystano fragmenty wierszy i prozy poetyckiej Stanisława Nyczaja: *Przeoczony?*, *Płonący wodospad*, *Powszednia baśń*, *W zbliżonych do oddali kręgach*, *Najgorsze, gdy nadziei nie starcza*, *Wejść*, zamieszczonych w zbiorach: *Płonący wodospad*, *Czasochłon*, *Puls*.



Cichy trzepot

na skraju dnia
składam pokłon
mijającym sekundom

zatrzymuję chwilę
by uporządkować
i nawlec jak paciorki
na źdźbło trawy

wysypują się
pianissimo

ulatują
z cichym trzepotem skrzydeł
małych aniołów

Pijesz noc

kiedy duma zмага się z miłością
słyszysz zgiełk tysięcznych orkiestr
w rzece umykającej do morza
łzy mieszają się z kroplami wodospadu
i wyruszasz w zawiłą podróż
w siebie

czas gęstnieje
powoli pijesz noc

zadajesz ciemności pytania
a ona milczy przeciw tobie
nie wygląda zmarszczek myśli
uchyla się
przed audiencją spokoju

żrenice topnieją w mroku
szukając odpowiedzi
i jedności w lawinie
masywnych kamieni

zamykasz butelkę gorzkich snów
świt smakuje ptasim mleczkiem
pocałunkiem i pomarańczą

posypały się wiórki dni
złożyłam je w mozaikę
wplotłam niebiańską nitkę

gwar zastygł
zmrożony upływem lat
nuty spadły z pięciolinii
lecz śmiech wciąż brzmi staccato

szare fotografie gniotą dno pudełka
sepia usypuje liryczne kopczyki
przez ażurowe wieko
prześwitują cykliczne dni i noce

rozgniatam ziarenka piasku
pokruszone aromaty spowija mgła
zacierają się ślady
które już tylko w galaktyce kulistej
zostaną ponad nami

Pył

zanim zabierze nas wiatr
rozsypie po kurhanach
naniesie na niziny

niech echo rozproszy się wołaniem
ułoży na mchach aksamitną tkanką
nici pajęczce popękają pod kroplami rosy
niech strzeliste góry wyglądają ścieżki
by śmiało stawiać stopy
orkiestra dzieciółów zagłuszy
miodopłynny dźwięk dzwonków

zanim zawierucha
wpasuje nas w pył przestrzeni

Nocny hultaj

liście na drzewach furkoczą
kłaniając się w silnym podmuchu
wiatr rozczesuje ciemne obłoki
unosi podarunek
i arogancko rozsypuje pod stopami Perseidy

przywołuje moją uważność
a sekunda nabrzmiewa siłą

na krawędzi oczarowania
wstrzymuję oddech
milkną uderzenia serca
śmierć to czy zachwyty

Grzegorz Rak

Wyprawa do Radości (Fragment powieści)

Krąg

w katedrze lasu brzoźowego
wyśpiewam cichą modlitwę
niech wzleci w bezmiar

zakreślę magiczny krąg
i ożywię niezgłębianą mandalę
a nietrwałe drobinki czasu
zastąpię murłatem

w rytmie mantry rozkołyszę biodra
wniknę w magię drzew
niczym szeptucha

dobrostan podaruję ziemi
i przywołam echo
minionych stuleci

wydobędę z niepamięci
drzemiące we mnie dziecko

Dzwony wszystkich dni

zabrzmiały jednocześnie
przyspieszyły potoki
hukiem zamroziły stawy
budząc zawieruchę

w łoskocie zagubiłam kompas
podarowany przez pramatki

jestem naga
leczyć palce oblane lukrem
uchylają drzwi piernikowego snu
który gościnnie tuli twarz
wyrzeźbioną emocjami

kakofonia niespiesznie
zamiera diminuendo

Anna Partyka-Judge

Stanisława dopadło zmęczenie, zniechęcenie, właściwie to irytacja. Jego wzrok przyciągnął Obcy. Siedział taki inny, śniady na twarzy o nieokreślonej płci. Ni kobieta, ni mężczyzna. Widywał podobnych we wczesnej młodości, z tym że nie aż tak śniadych. W jednym, wybranym dniu miesiąca, schodzili się z całego miasta na dyskotekę do Samanty. Młodzież z dzielnicy też w tym dniu obsiadała okoliczne ławki oraz murek pod delikatesami. Ganiłi cudaków. Mieli zabawę, jeśli któryś wywalił się w szpilkach, a jeszcze lepiej, jeśli wywalony rozbił kolano, podarł pończochy. Niektórzy z koleśków Stasia pomagali im w tych wywrotkach. Podstawiali nogi, nadeptywali na zbyt długie suknie i tym podobnie. Słowem – mieli z nich niezły ubaw, ale zdaje się, że już o tym opowiadałem. Na tego w wagonie Stach patrzył podobnie do patrzenia na dziwaków spod Samanty. Pomału, coraz bardziej zdecydowanie, zaczął czuć do niego niechęć. Na nic zdały się tu przytaczane wcześniej przez narratora mądrości o człowieczeństwie, nakazy miłości bliźniego i potoki niezwykle mądrych przykładów. To przeszłość uliczna, tradycja pokoleń kochających tylko swojaków, wiara w męski świat przemocy zaczęła brać nad tymi mądrościami górę. Niechęć stopniowo przeważała nad ciekawością. Pewnie poczułby tę niechęć do końca, szykowany do niej przez znaczną część podróży, może nawet niechęć przerodziłaby się w nienawiść. Wiedziony zewem krwi – tak o tym mówią – wstałby, podszedł do Obcego, zaczepił go i z bani albo z piąchy wymierzył sprawiedliwość. Odpłacił za nasze wszystkie krzywdy, za niezrozumienie naszych cierpień, za zdradę Zachodu, za niemaszerujących w Londynie lotników, za zostawienie na lata przez bogaty, syty świat na pastwę barbarzyńców; za niepowodzenie w interesach, za brak kasy, za rozczarowania uczuciowe, za wszystko. Tak, Obcy dostałby w ryj.

Stałoby się to nieszczęście, jak amen w pacierzu. Stało, gdyby nie drobna kobietka z trójką dzieci. Weszli ubrani w dresy, każde dziecko z niewielkim plecaczkiem. Dziewczynka drobniutka, ledwo odstawała od podłogi, dźwigała na rękach żywą kudłatą kulkę – pieska. Ledwie rozumiała, co się dzieje, a co dopiero piesek. Mama śpiewną mową

nakazała zajęcie miejsc. Zdjęła, właściwie zrzuciła z siebie ogromniasty plecak, wypełniony po brzegi wspomnieniami przemocy. Wypychał go ból, ruina rodzinnego domu i dotychczasowego życia, wypełniał strach przed mężczyznami o pijanych oczach, którymi z daleka obmacywali jej córeczkę i chłopców, mierzyli działem czołgu w ich życie. Zostawiła to wszystko za sobą, zostawiła. Zabrała tylko wspomnienie poległego męża i zrujnowanego domu. Teraz rozglądała się bezradnie, bo sama już nie miała siły. Nie miała dość siły, aby plecak umieścić na półce. Chciał pomóc, wstał nawet, chwycił za szelkę. Uśmiechnęła się życzliwie, a on też nie miał dość siły. Nie dał rady unieść tego bagażu. On, który podnosił dwa wiadra z zaprawą na wysokość barków, który przepływał wpływ jezioro, który godzinami grał w piłkę i który całą noc trzymał w dłoniach szarpiącą na nierównościach kierownicę. On, który tyle miał kiedyś krzepy.

Wstał też Obcy. Podszedł i chwycił za drugą szelkę. Odliczyli do trzech, każdy w swoim języku. Dźwignęli. Razem dali radę. Stanisław do Obcego, już taki nie był, tylko nazywał go tak w myślach, uśmiechnął się z wdzięcznością.

Znów ktoś wszedł do wagonu. O, teraz przestał żałować Roma/ Cygana, niechęci i sympatii do byłego Obcego, tłumy zjaw wypełniających fotele wagonu. Wszystkich pasażerów, wszystkie zjawy, upiory, wszystko okryła mgła niepamięci. Zostali drugim, a nawet trzecim czy kolejnym planem. Także uciskający serce widok kobiety z małymi dziećmi i tragedią niesioną ze sobą, nawet ten widok zbladł. Wszystko zatraciło ostre krawędzie wobec wkraczającego do wagonu zjawiska.

Najpierw zobaczył nogi. Po nich dopiero wzrok Stanisława wędrując w górę dostrzegł resztę. Rozsmakował się w tej obciśniętej krwistą miniówą reszcie. Patrzył z obawą, czy aby sukienka nie trzaśnie, tak napręzał ją biust i z każdym krokiem atakowały biodra. Ponad czerwienią materiału była jeszcze czerwień ust, a wszystko wieńczyła blond fryzura. Miniówka podciągała się aż do linii koronkowych majteczek, ale krocząca przez przedział zupełnie nie zawracała sobie tym głowy. Wstrząsała nią niczym lwica na łowach, toczyła wzrokiem w poszukiwaniu wolnego miejsca. Tak naprawdę rozglądała się za kolejną ofiarą swojej urody, swojej erotycznej siły. Potoczyła wzrokiem, zatrzepotała rzęsami, znów modnie przedłużonymi, jeszcze raz wstrząsnęła spiętrzoną fryzurą, westchnęła, jakby wykonała ciężką pracę, wydeła lekko policzki i spuściła z nich

powietrze przez rozkosznie uchylone usta. Znów podniosła wzrok do góry.

Stanisław pomyślał – może to warszawianka, do której zapomniałem napisać po powrocie z Krynicy. Tamta też była blondynką. – Wysilił całą pamięć, ile tylko był w stanie jej z siebie wykrzesać, ale nie potrafił przypomnieć sobie twarzy tamtej kochanki. Nie można mieć do Stanisława pretensji, był wtedy jeszcze Stasiem. Minęło tyle lat, a tamtą dziewczynę znał raptem kilka dni. Nawet nie cały tydzień, bo jej rodzice wracali, bo na Stasia czekało morze, plaża, kumple i młodość. Młodość. W końcu uznał zgodnie z rzeczywistością, że to nie mogła być ona; nie mogła teraz w krwistej miniówie, w szpilkach, w blond fryzurze stać pośrodku wagonu – przedziału i toczyć po męskich podróżnych wzrokiem zdobywcy. Oczywiście nie mogła. Tamta dziewczyna z pewnością była szatynką, tak, szatynką. Może nawet brunetką. Gdyby była taką jasną, naturalną blondynką o niebieskich oczach, napisałby do niej na pewno; gdyby miała aż tak długie nogi, nauczyłby się jej adresu na pamięć i w żaden sposób nie wywietrzyłby mu on z głowy na krynickim dancingu „Meduza”. Odnalazłby ją w Warszawie albo przynajmniej zasypał namiętnymi listami, skorzystałby z pieczołowicie schowanego adresu. Nie trzymałby go na kartce, o której nawet nie pamięta, czy wyrzucił ją zaraz po wejściu do pociągu nad morze, czy też upuścił podczas bójki z radomiakami. Wtedy nie miał dość siły, nie miał ochoty – skąd ją miał mieć – nie mógł przecież schylić się pod kolejowe fotele.

Rzecz jasna, to nie ona. Nie mogła to być żadna inna porzucona lub ta, która go porzuciła. Te już wcześniej widział. Jeśli nawet ich nie rozpoznawał, domyślał się z przebiegu podróży, że musiały wsiadać i wysiadać z jego wagonu. Obsiadły sąsiednie miejsca, otoczyły go, okrążyły, świdrowały pełnymi wymówek oczami.

Może Stanisław źle postrzegał sytuację. Ostatecznie one również nie trwały na posterunku cnoty i zasad. Patrzyły na niego nie tak jak wtedy, gdy młody biegał za ich kieckami. Siedziały wygodnie rozparte w fotelach, wystrojone niczym w swoich najlepszych latach.

Obserwował je bezkarnie, przecież nie mogły w nim obecnym rozpoznać tamtego chłopaka z bujną fryzurą, o smukłej sylwetce, wygadanego, pewnego siebie. Nawet poruszał się kiedyś w zupełnie inny, właściwy młodym sposób.

Grzegorz Rak

Cicha zgoda

Szczęście jest głośnie, rozbrzmiewa echem śmiechu, muzyki, dzwonów, trafia do gazet, telewizji, na fora mediów społecznościowych. Troski, kłopoty i nieszczęścia kryją się w cieniu, zamykają w czterech ścianach domu, zalegają na dnie serca. Czasem, kiedy już pełna jest czara goryczy, wylewają się na zewnątrz, wąskim strumykiem słów trafiają do przygodnie spotkanych ludzi, którzy nie mają dostępu do rodziny, domu, znajomych. Pociąg, autobus, ulica stają się miejscem intymnych zwierzeń. Co z nimi robimy? Nic. A co możemy zrobić? Przykład: spotykam ją na ulicy. Niegdyś była piękna, dziś troska pokryła siecią zmarszczek przedwcześnie postarzałą twarz. Było źle, jest źle i nic się nie zmienia. Mąż pije, awanturuje się, poniża ją, wyzywa od najgorszych. – Co na to córki, zięciowie? Nie mogą pani pomóc? – Nie mówię im wszystkiego, bo jeszcze któryś by go za... – I pani się z tym godzi? – pytam, chociaż odpowiedź jest oczywista. Towarzyszy jej wzruszenie ramion i: – Kiedy żyła teściowa, było jeszcze gorzej. Rzucił jedzenie na ziemię, a ona do mnie, że moim obowiązkiem jest pozbierać. I jeszcze musiałam się uśmiechać... Irena ma męża alkoholika. Okresy „ciągu” są dłuższe niż dni trzeźwości. Buntuje się – tylko w słowach. Pogodziła się, taki już los. Niekiedy grozi mu rozwodem, a potem wraca do rzeczywistości. Niebieska linia istnieje – dla odważnych, może nieco młodszych. One czekają. Na co?

Iwona ma niepełnosprawnego syna, na szczęście zdobył zawód, ma jakieś zajęcie i dochód. Poświęciła mu życie, ale co będzie, gdy jej zabraknie? Jej urodę też zabrały troski i myśl o niepewnej przyszłości. Zdrowe dzieci, osiągające sukces, są powodem dumy dla rodziców, ale ile jest domów, w których dorośli synowie pozostają na utrzymaniu rodziców, bez perspektywy zatrudnienia, zarobków, samodzielności? Głośnie są przypadki pedofilii wśród księży, a kto wie, ile dziecięcego nieszczęścia kryją cztery ściany rodzinnych domów? Wszak nie można kłaść własnego gniazda...

Czerpiemy radość z sukcesów Igi Świątek, cieszymy oczy nowymi ulicami, czekając na obskurnych przystankach, spacerując ciągiem alei Piłsudskiego z widokiem połamanych ławek, z odłazającą farbą. Wiemy, widzimy, godzimy się z brudami życia, bo

Język nasz powszedni

Naukowy, urzędowy, potoczny, literacki, gwar... Ma wiele odmian, ale jest jeden: ojczysty. Jest jak powietrze, tlen, bez którego nie sposób żyć. 21 lutego był dniem języka ojczystego. Raz w roku świętuje, a jaka jest codzienność? Pominę wulgaryzmy – w każdym języku i społeczeństwie są one obecne. Zauważamy, że „nowoczesność” objawia się inwazją angielszczyzny. Ze słowem weekend (koniec tygodnia) nic już nie zrobimy, ale wielu określiłby się uniknąć, np.: ktoś reklamuje „new disign”, które można zastąpić określeniami: nowoczesne, estetyczne, modne, coach – trener, lunch – obiad... Przed wiekami Mikołaj Rej bronił polszczyznę przed wszechobecną łaciną; „A niechaj narodowie wždy postronni znają, iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają”. „Gęsi” – niezrozumiały. Język jest jak rzeka, zabiera ze sobą wszystko, co po drodze, mamy więc w zasobie słowa i zwroty z języka rosyjskiego, niemieckiego, tureckiego, łaciny, greckiego. Tym bardziej powinniśmy dbać o nasze, rodowite słowa. A jak jest? Niemen śpiewa: „...często jest, że ktoś słowem złym/zabija tak jak nożem”. Nowe zjawisko i „gęsie” określenie: hejt. Mowa nienawiści, poniżanie drugiego człowieka. Gdyby przypisać to tylko młodzieży, można dodać, że młodość jest szalona i popełnia błędy, ale pełne pogardy słowa pojawiają się w wypowiedziach polityków, nawet tych, którzy szczególnie powinni dbać o kulturę języka. Inną sprawą jest poprawność językowa, której mistrzem był nieodżałowany Bogusław Kaczyński. Dbałość o nią jest jak potrzeba utrzymania higieny osobistej. I co tu mamy? Znany polityk mówi: „półtorej roku”. Następny, czyli „wtory” (stąd wtorek), ma trzy rodzaje, a więc – półtora roku, półtorej godziny, półtora jabłka, dziennikarze myślą końcówki –om i –ą („pomagać rodziną” zamiast „rodzinom”, „roz-mawiać z kolegom” zamiast „z kolegą”). W języku mówionym ważna jest barwa głosu, po której często kogoś rozpoznajemy, np. Krystynę Czubównę, ale i ton wypowiedzi. Słowo jest jak most – łączy ludzi. Słowo ma potężną siłę, potrafi tworzyć, budować, ale i niszczyć, unicestwiać. Na początku było SŁO- WO. Szkoda, że Boskie dzieło uległo dewaluacji.

Mało kto dziś nie zażywa leków. Leki z receptą i bez, suplementy diety, zioła i ziółka. Tak zwane środki przekazu bombardują nas reklamami tabletek, pigułek, syropów, maści mających cudowną moc. Filmowcy wymyślili lekarstwo na miłość, tylko nie zostawili recepty. Zdarzają się tacy ludzie, którzy mają receptę na wszystko – dopóki nie dopadnie ich nieszczęście, choroba. Cóż, są sytuacje, gdy na nic już nie zda się pełen portfel, złota karta w banku, a lekarze bezradnie rozkładają ręce, nie dając nadziei na zmianę, poprawę stanu zdrowia pacjenta. Co pozostaje? Kilka przykładów: Matka Ewy ma 74 lata, jest po licznych operacjach, czeka na kolejną – zaćmy. Ewa bardzo się martwi, jak matka to zniesie. – Jest taka krucha, w lewym ramieniu wielka dziura, której nie ma czym wypełnić. Wciąż się boję, że upadnie, znów sobie coś połamie – mówi z troską. Teresa zbliża się do osiemdziesiątki. Patrzy z miłością na córkę, głaszcze ją po ręce i wyznaje: – Gdyby nie ona, dawno nie byłoby mnie na tym świecie. Żyję dzięki jej miłości i trosce...

Mama opowiadała o pewnym małżeństwie z Kaczki. Ona szesnaście lat leżała, nie podnosząc się z łóżka, opiekował się nią kochający mąż, wierny przysiędze, którą złożył przy ołtarzu. – Jak się do nich poszło, to aż miło było popatrzeć, leżała zadbaną, jak laleczka, a on spełniał każdą jej prośbę – mama przy tych słowach aż się uśmiechała, jakby opowiadała bajkę, która zdarzyła się w prawdziwym życiu. Fakt, nie każdemu starczy sił, cierpliwości i serca, by opiekować się chorym współmałżonkiem, rodzeństwem, a bywa, że i chore, niepełnosprawne dzieci porzucane są przez rodziców. Do dziś nie mogę się pogodzić z okrucieństwem, bezdusnością mężczyzny, który uciekł od żony z chwilą, gdy po urodzeniu drugiego dziecka przestała się samodzielnie poruszać. Na szczęście – za Niemenem: ludzi dobrej woli jest więcej. Ostatnio spotykam często starsze małżeństwo, ona na wózku, on otacza ją troską, w każdej chwili gotów pomóc, wesprzeć. Widzę, jak ulicami, w parkach spacerują niemłode pary, prawdopodobnie już dziadkowie, trzymając się za ręce. Czy to jest miłość? Może już nie taka, żeby motyle latały w brzuchu, ale patrząc na nich myślę: „Gdzie ty Kaju, tam ja Kaja”. Miłość dorosła, dojrzała, o której kiedyś napisałam, że jest ucieczką w bezpieczną obecność drugiego człowieka. Miłość i troska, która dodaje sił na kolejny dzień. Bez recepty, z serca. Na noce i dni...

W biblijnym raju było drzewo wiadomości dobrych i złych. W moim obecnym życiu są tylko wiadomości dobre. Poznałam właścicieli Reksia, którzy zaadoptowali niegdyś bezdomnego włóczęgę. Reksio jest szczęśliwy, bo ma nas wreszcie wszystkich razem. Wabi się naprawdę Felek, co od słowa „felix” znaczy – szczęśliwy. Ja też mam wiele powodów do radości w oczekiwaniu szczęścia, które czeka za progiem – wyborczym. W każdej szkole będzie psycholog (psychiatra?), w każdej wiosce ginekolog, pensje urosną, podatki spadną, służba zdrowia wyzdrowieje. Ponadto leki za darmo, rehabilitacja, cyfryzacja, reorganizacja – jednym słowem raj na ziemi. W ostatnią sobotę, z całkiem ziemskich powodów, poczułam się jak w raju: Siedzę w wypełnionej po brzegi sali muzeum, oczekując wraz z innymi na spotkanie z Wiesławem Ochmanem, sławnym tenorem, w scenerii ubarwionej obrazami Jego autorstwa. Rozmawiam z sąsiadką z prawej. W pewnym momencie ona proponuje bliższą znajomość. Wymieniamy równocześnie imię „Emilia”. – Pani też Emilia? – pytam. – Tak, też Emilia. A pani Tesz Emilia? – pada w odpowiedzi. – Tak, ja też mam na imię Emilia – powtarzam. – Ja pytam, czy pani to Emilia Tesz. Bardzo chciałam panią poznać. Czytam felietony w TIT... I jak tu się nie cieszyć? A spotkanie? Prawdziwa uczta dla serca, uszu, dla strokanej codziennością duszy. Wiesław Ochman ma 86 lat, ale głos jak dzwon, anegdotami sypie z rękawa, na co publiczność reaguje gremialnym śmiechem i żywiołowymi oklaskami. Nastrój na wysokich rejestrach, wykonane na żywo arie budzą podziw, a aria Nadira z *Poławiaczy pereł* (z nagrania) powala z nóg, zatyka dech ze wzruszenia, które za chwilę Mistrz rozładowuje kolejną opowieścią o niezwykłych epizodach ze scenicznej drogi życia. Chwała gospodarzom, wdzięczność dla Józefa Panfila, z którego inspiracji doszło do spotkania ze światowej sławy artystą w tomaszowskim muzeum.

Wracam do domu pieszo. Cóż, nie ma róży bez kolców. Dźwigam ciężką księgę *Złote Myśli Ludzi Wielkiego Talentu i Serca / Twórcy Wizerunku Polski* za 2003 rok, wydanej przez Fundację Dzieciom „Zdążyć z Pomocą”. Dodatkowo obciąża ją autograf Wiesława Ochmana i wycinek z gazety z naszym wspólnym zdjęciem, zrobionym na Zamku Królewskim, na którym jesteśmy młodszy o 19 lat. Jednak, jak widać, on i ja, nadal nie spieszymy się do raju...

Emilia Tesz

Niewiedza

Wydawało ci się, spracowany długim życiem
Zmęczony człowieczku, że w ostatecznym osamotnieniu,
Osieroceniu przez bliźnich, wreszcie sobie odpoczniesz.
Bo już nic nie musisz, wszystko wiesz i nikt
Niczego od ciebie nie chce. Ale niewiedza już legła
U twego wezgłowia i nie zdawałeś sobie sprawy,
Że najgorsze przed tobą: obudzisz się rano
I nikt nawet nie zauważy, że się obudziłeś.
Nikt nie woła, nikomu nie jesteś do niczego potrzebny.
A telefon milczy jak zaklęty.

Kielce, niedziela 30 marca 2025

Navigare

*Mojemu Mężowi
w 60. rocznicę zaokrętowania*

Zrządzeniem zapisanym w gwiazdach
Los przeznaczył nas sobie na długie lata.
I osiedliśmy na pokładzie M-4 na wspólne życie.
Bywało różnie. Raz jedno kapitana pełniło rolę,
A drugie majtką, a czasem odwrotnie.
Musztrowaliśmy ciągle naszą łajbę i wprowadzali
Ulepszające patenty, by na mieliźnie nie osiąść.
Za dni jasnych, pogodnych
Do szczęśliwych dobijaliśmy portów.
W pozostałych, potarganych przez szkwały
Cumowaliśmy w domowej zatoczce cichej
Z ciemną kuchnią.
A gdy na bocianim gnieździe osiadło małe
Wszystko inne nie było ważne,
Bo ono dojrzewało...
A potem wyruszyło w swoją drogę.
Bywało, że musieliśmy kir żałobny
Rozwieszać na maszcie, gdy odchodzili bliscy
I, by nie utonąć w bólu, rozpaczy
Zakładaliśmy kamizelki ochronne przyjaźni
Podszyte serdecznością współczulną ludzi.
Ale bywało też, że w noc sierpniowe
Wypatrywaliśmy tęsknie na mazurskim niebie
Spadających gwiazd, oczekując, że zaplącą się
W sieci naszych marzeń... Ale omijały nasze dłonie
Pryskały w zetknięciu z ziemią jak bańki mydlane
Teraz zmęczeni, zużyci, zapadamy najczęściej

W wysiedzianych fotelach na pokładzie
Wymagającego pilnego remontu M-4.
Wlepiamy osłabłe oczy w ekran niebieski telewizora
Szukając reklamowego napisu:
Navigare necesse est...
Ale czy na pewno... *necesse est?*

Kielce, 13 września 2013

Kamienne tablice

Pośród duchów jeszcze wczoraj
Tak rzeczywistych osób bardzo bliskich
Z kamiennymi tablicami pamięci
Przychodzi nam żyć
Niepostrzeżenie odchodzą
W przeszłość ci, którzy
Prowadzili za rękę, uczyli
Rzeczy prawych
I przepłynięcia przez rzekę...
Potem znów nowe twarze
Znów czyjeś ręce i czułe serce
Znów krótki pracowity rozdział
Życia... poświęcony innym
Jednak ostateczny
A nam pozostanie najtrudniejszy
Etap drogi pośród wspomnień
Mozolnie wyrytych w kamieniu
Zamyśleń nieustępliwych
Opierających się korozji czasu
Kamienne tablice nie znają ciepła
Nie koją serca
One znają tylko bolesną pamięć

19 kwietnia 2010

Matka natura

Podwójna tragedia katyńska
Przepełniła serca nasze rozpaczą
Łzami zalała wszystko
Niczym bursztynowe wieko
Wawelskiego sarkofagu
Patosem przykryło historię polską
Oczy nasze, co zawsze widzą
Wszystko inaczej niż serce
Flagi biało-czerwone skrzepowane
Kirem postrzegają również
Z bezwstydem na każdym miejskim placu

Rozkwitła żółta forsycję
Migdałowce biało-różowe, pozbawione
Zimowych słomianych chochołów
Obleczone w śnieżne etole
Jak białe anioły spieszą
Strapionym ludziom ulżyć niedolę
To Matka Natura spłakanych
Uczestników żałobnych konduktów
Pociesza: ziarno rzucone w ziemię
Musi obumrzeć
By wydać stokrotne plony

17 kwietnia 2010

Gra w zielone

W latach, kiedy graliśmy w zielone
Obrywając listki akacji i wyliczając:
Kocha, lubi, szanuje,
Współczesność jawiła nam się
Wyłącznie w barwach tęczyowych:
Oczarowanie, zachwyt, wspólne planowanie
Radość...
Fascynacja życiem. I myśleliśmy naiwni
Że tak już będzie stale. Ale zielone jest nietrwałe.
Zmienia barwy jak w kalejdoskopie.
Najpierw żółte, potem malowane ochrą
Brazowe i aż czarne...
Unicestwienie.
I kiedy nazbieraliśmy tyle różnych
Przeciwności, że aż trudno udźwignąć
Współczesność zaczęła nam się jawić
Wyłącznie w ciemnych barwach
Jako permanentne wspomnienia przeszłości,
Chorób, odejścia najbliższych.
A zielone? Jest. Buzuje każdej wiosny.
Tylko my już nie gramy w zielone,
Bo wszystko zszarzało...
Zabrakło obiektów westchnień...
Zapomnieliśmy też słów wyliczanki...
Nie obrywamy listków akacji.
Zresztą, gdzie dzisiaj w moim mieście
Rosną akacje? Nie ma. Wycięli...

Kielce, 1 Dzień Wiosny, 21 marca 2025



Bohaterski zryw

Szczęśliwcom obdarzonym dobrodziejstwem
Przywileju późnego urodzenia
Kolejny raz w godzinie W wyjące syreny
Kartami historii przypominają
Ten wyjątkowy bohaterski zryw
W obronie ojczystej państwowości
I choć cały świat wojenna obejmowała pożoga
I wydawało się, że nic tego nie odmieni
Wyszli prężni, młodzi z rodzinnych pieleszy
Na barykady, na ściany ognia, pod gradem kul
Z plecakiem na 3 dni, a walczyli 63...
Niesamowicie długich nocy i dni.
Złożyli swoje młode życie ofiarnie
Na zgliszczach Warszawy tworząc nowy świat
Patrzył na to obciążony sprawami ludzi Chrystus
Z kościoła świętego Krzyża na Krakowskim
Przedmieściu
Bolał i cierpiał jak oni i choć Mu nazistowska
nienawiść
Wytrąciła postument spod stóp obracając w gruz
Znów stoi na straży pamięci poległych
By ona jak Feniks z popiołów przypominała
Współczesnym tamten wielki heroizm, poświęcenie
i zryw.

Kielce, 1 sierpnia 2015 r.

Jesień w moim mieście

Czerwienią koralu jarzębin
polski się wrzesień w moim
dopała mieście. Zapach ognisk
od ogródków działkowych
w uliczkach się niesie
i budzi nostalgiczne wspomnienia.
Słońce już nisko, lekuchno ogrzewa
gasnące dni – już jesień

staje na progu Naszego życia
i coraz szczelniej otula się szalem
z mgieł porannych podszytych
nićmi babiego lata.
Wzgórze katedralne tonie
w bezowej pianie.
Zegar na wieży kościelnej
niezmiennie odmierza czas.
Rozłożył kasztan na Placu Moniuszki
który ocalał z rzezi drzew
perukę przywdział z rdzaworudych liści
i w podzięce kładzie na kamiennej ulicy
jeszcze ciepłe błyszczące kasztany.
Schylają się po nie jesienni przechodnie
i ściskają w dłoniach jak serdeczny talizman.
Pod rzymską kolumną na piedestale
spiżowy imć pan Henryk Sienkiewicz
zaczepia jesiennych ludzi pytaniem:

QUO VADIS?

Jakby chciał wiedzieć
dokąd tak spieszą i co zrobili
z wiosną swego życia.
Jesieni o to nie pyta
bo wie, że do każdego z nas
przyjdzie...

Wyjątkowość

W osamotnieniu w późnym wieku
Trudno się odnaleźć
Smutek, brak celu
Ściemniają obraz świata
Wprawdzie tłumaczą: Bóg dał
Życie wszystkim. Starość wybranym.
A późną starość – wyjątkowym.
Więc jeśli jesteś wyjątkowy
I spotyka cię nagła tragedia
Nie rozpaczaj.
Bóg ma dla ciebie jeszcze inne plany.
Tylko, czy jest coś, co może
Jeszcze sprawić radość w wyjątkowym wieku?

Kielce, poniedziałek 17 marca 2025

Zyta Trych

Prolog

(lipiec 1961)

Długi lipcowy dzień dobiegał końca. Słońce zaszło, a w zapadającym zmierzchu grube białe pnie wyniosłych brzoź wyraźnie odcinały się od pogrążającego się coraz bardziej w mroku leśnego tła. Czarna wołga z przyciemnionymi szybami i wzmocnionym silnikiem, prowadzona pewną ręką wojskowego kierowcy, żwawo pomykała na zachód wąską asfaltową szosą w kierunku miejscowości Usowo.

Zbliżyli się do posterunku wojskowego, kierowca zwolnił, ale żołnierz stojący przy szlabanie bez słowa i zbędnej zwłoki uniósł białą-czarną zaporę. Najwidoczniej był uprzedzony o przybyciu pojazdu o takim numerze rejestracyjnym. Może zresztą znał z widzenia siedzącego na przednim fotelu pasażera, chudego podpułkownika o czarnych, choć już lekko szpakowatych włosach.

– Towarzyszu profesorze – kiedy samochód ruszył spod szlabanu, oficer odwrócił się w stronę siedzącego na tylnej kanapie czterdziestoletniego mężczyzny w grubych rogowych okularach – przypuszczam, że rozumiecie, iż towarzysz I Sekretarz KPZR wezwał was w sprawie najwyższej wagi państwowej. Rozmowa została zaplanowana w prywatnej daczcy towarzysza Chruszczowa, bo w ten sposób łatwiej będzie zachować dyskrecję.

– Od kiedy zacząłem kierować projektem...

– Towarzyszu Sacharow... – w głosie podpułkownika dało się słyszeć ledwo dostrzegalne ostrzeżenie poparte znaczącym spojrzeniem rzuconym w stronę kierowcy. Uczony zrozumiał natychmiast, że nie wolno wymieniać żadnych nazw.

– ... Więc od kiedy zacząłem kierować ważnym i trudnym projektem, zawsze pamiętam o interesie mojej ojczyzny, wielkiego Związku Radzieckiego – poprawił swoją drobną nieostrożność.

– I to chodzi. Za chwilę podjedziemy do daczcy towarzysza Chruszczowa, który liczy na wasze oddanie sprawie poparte wiedzą znanego fizyka – skonkludował oficer GRU.

Podjechali pod wysoki płot zbudowany z grubych okorowanych i zabejcowanych na ciemny brąz sosnowych pni, w którym umieszczono solidną bramę z pomalowanych na zielono stalowych płyt. Wjazd do daczcy był oświetlony dwoma reflektorami

umieszczonymi na wyższych od ogrodzenia słupach. Widocznie byli obserwowani przez ukrytą kamerę, bo prawie natychmiast wrota zaczęły się rozsuwać, najwidoczniej napędzane ukrytym silnikiem elektrycznym. Za bramą była mała wartownia, z której wyszedł kapitan Ochrony Kremla, ubezpieczany przez sierżanta z karabinem kałasznikowa przewieszonym przez szyję.

– Profesor Andriej Sacharow do towarzysza I Sekretarza – podpułkownik podał przez otwarte okno swoją legitymację i jeszcze jakiś dokument. Oficer odpowiedzialny za ochronę daczcy wodza narodu radzieckiego obejrzał papiery, sprawdził coś na kartce wyjętej z raportówki.

– W porządku, zgadza się. Proszę zaparkować obok tej szarej wołgi, którą przyjechał profesor Julij Chariton. Jesteście ostatni, więcej gości nie mam dzisiaj na liście, więc gdyby towarzysz pułkownik zaprowadził od razu profesora Sacharowa do salonu, narada mogłaby się rozpocząć.

Andriej Sacharow spojrzał na parking. Centralne miejsce zajmowała czajka, ogromna czarna limuzyna przypominająca amerykańskie krążowniki szos, należąca tylko członkom najwyższych władz partyjnych. Ponieważ obok stał ZiŁ 111 ze znakami formacji zajmującej się ochroną czołowych dygnitarzy, czajką musiał przyjechać sam właściciel daczcy. Szarą wołgą przyjechał profesor z Wszechrosyjskiego Instytutu Naukowo-Badawczego Fizyki Eksperymentalnej, którego biuro konstrukcyjne ukrywało się pod kryptonimem Arzamas-16. Ale z boku parkingu stał jeszcze jeden samochód, nieco staromodny ZiS 110, w praktyce tylko trochę przerobiona wersja amerykańskiej limuzyny Packard Super Eight z czasów II wojny światowej.

Sacharow wiedział, że sam Nikita Siergiejewicz nie lubił tych samochodów, uważając je za maszyny pozbawione nowoczesnej linii, więc za jego przykładem partyjni i wojskowi funkcjonariusze wyższego szczebla starali się nimi nie jeździć. Zatem do najważniejszej daczcy w państwie musiał nią przybyć ktoś ważny, komu taki samochód przysługiwał, ale jednocześnie ktoś, kto był może odrobinę ekscentryczny albo chcący na przekór innym podkreślić swoją indywidualność.

„No cóż, to się okaże za kilka minut” – podsumował swoje obserwacje profesor, wysiadając z samochodu i podążając za oficerem GRU w kierunku wejścia do domu. Kiedy zbliżyli się na odległość kilku metrów, drzwi wejściowe otworzyły się i sta-

nął w nich rosły cywil, zapraszając ich gestem do wnętrza domu.

Przeszli przez hol obwieszony trofeami myśliwskimi, wśród których wyróżniały się dwa medaliony jeleni, obustronnie koronnych dwudziestaków, po czym prowadzący ich przewodnik zapukał w intarsjowane drzwi, odczekał chwilę, nacisnął klamkę i dyskretnie wycofał się. Oficer towarzyszący Sacharowowi w samochodzie przepuścił profesora przodem, wszedł za nim do salonu, po czym błyskawicznie wysunął się zza jego pleców.

– Towarzyszu I Sekretarzu, melduję wypełnienie polecenia – trzasnęła obcasami.

– Dziękuję, pułkowniku, możecie odejść. Dostaniecie sygnał, kiedy profesor będzie wolny i będziecie mogli go odwiedzić do domu – Chruszczow powiedział to oschłym tonem, nie wstając z miejsca. Oficer GRU zasalutował i wyszedł zamykając cicho za sobą drzwi.

– Siadajcie, towarzyszu profesorze – I Sekretarz wskazał wolny fotel. – Czego się napijecie? Andriej Sacharow usiadł i dopiero teraz rozejrzał się po salonie, w którym panował półmrok rozświetlany tylko dwoma kinkietami umieszczonymi na przeciwnych ścianach i odbłaskiem polan płonących w kamiennym kominku. Przy dużym stole z solidnym dębowym blatem polakierowanym na wysoki połysk, oprócz gospodarza domu siedział profesor Chariton i znany Sacharowowi z widzenia generał armii Iwan Sierow, szef Głównego Zarządu Wywiadowczego, czyli osławionego GRU.

„Ach, więc to on przyjechał tym ZiSem” – przebiegło przez myśl fizykowi, głośno zaś powiedział: – Nikito Siergiejewiczu, dziękuję za zaszczyt zaproszenia mnie do was, do przywódcy naszego komunistycznego mocarstwa. A jeżeli chodzi o wasze pytanie, to napiję się kieliszek wódki. Mogę obsłużyć się sam?

– Nie tylko możecie, ale nawet musicie. Nie będę wam przecież nalewał, a obsługi nie mamy, bo spotkanie jest tajne – Chruszczow zaśmiał się gardłowo. – Tak więc jesteśmy już w komplecie, możemy zaczynać. Towarzysze profesorowie domyślają się, dlaczego ich tu ściągnąłem? – zawiesił głos.

– W sprawie bomby RDS-220? – trochę niepewnie spytał Chariton.

– Jesteście bardzo domyślni, jak przystało na człowieka o ścisłym umyśle – trochę kpiącym głosem ale z dobrotliwym szerokim uśmiechem odpowiedział Chruszczow. – Oczywiście macie rację w sprawie tematu spotkania – spoważniał nagle. – Dlatego

zanim zaczniemy dyskutować chciałbym oddać głos towarzyszowi Sierowowi. – Wypił kieliszek Stolicznej i zagryzł kawałkiem dobrze podsuszanej i solidnie doprawionej czosnkiem kiełbasy z dzika.

– Towarzyszu Sacharow, próba z bombą RDS-220, nazwę ją pieśzcotliwie Car-bombą na wzór Car-kołokoła i Car-puszki, będzie miała ogromne znaczenie propagandowe. Wiecie przecież, że zdetonowanie stumegatonowej bomby, jak to zaplanował przywódca Kraju Rad, naszej komunistycznej ojczyzny, nastąpi 30 października w czasie XXII Zjazdu Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. W ten sposób pokażemy zachodnim imperialistom, szczególnie amerykańskim, że Związek Radziecki dysponuje taką bronią, o jakiej nie śniło się kapitalistycznym wypierdkom. Zgadzaście się z tym, co powiedziałem?

– Oczywiście, towarzyszu generale – przytaknęła wybitny fizyk nazywany przez niektórych partyjnych notabli ojcem radzieckiej bomby wodorowej.

– W takim razie dlaczego – ciągnął swój wywód szef GRU – dociera do mnie coraz więcej raportów kontrwywiadowczych o tym, że kwestionujecie konieczność wypróbowania tak potężnej bomby? Zaprzeczacie samemu sobie, poddając w wątpliwość sens tak wspaniałej termojądrowej próby, zaplanowanej osobiście przez Nikitę Siergiejewicza? – Mina Sierowa przypominała twarz iluzjonisty, który po wyczarowaniu gołębia z czarnego cylindra rzuca wokół dumne spojrzenia w oczekiwaniu na oklaski. Chruszczow zastygł w oczekiwaniu, z kieliszkiem w dłoni, patrząc badawczo na Sacharowa.

– Rzeczywiście wyrażałem wątpliwości, ale tylko przed kolegami z zespołu realizującego projekt – zaczął uczony, ale Sierow mu przerwał.

– Gdybyście o tym mówili publicznie, byłaby to zdrada i wtedy nie rozmawiałbym o tym w domu naszego przywódcy, ale na Łubiance. A pewnie nawet nie ja, tylko któryś z wyższych oficerów. Ale proszę... słucham... wytłumaczcie się, daję wam szansę.

– Dobrze, będę się tłumaczyć. I mam nadzieję, że towarzyszu I Sekretarz zrozumie moje argumenty. Myślę też, że potwierdzi sens moich wątpliwości także profesor Chariton. Być może wy, towarzyszu generale, tego nie zrozumiecie, w końcu nie jesteście fizykiem, macie jedynie wykształcenie wojskowo-milicyjne, ale postaram się mówić prosto. – W gruncie rzeczy to było dość obraźliwe i Sierow zacisnął zęby, ale spojrzał na Chruszczowa, który

raczej wydawał się rozbawiony ciętą ripostą, więc na razie zrezygnował z dalszej agresji słownej.

– Jestem w pełni świadomy, jak wielkie znaczenie dla narodu radzieckiego mają wszelkie pomysły mające wykazać wyższość naszej nauki, pokazujące osiągnięcia przemysłu, a także potęgę Armii Radzieckiej, będącej spadkobierczynią okrytej wojenną sławą Armii Czerwonej – kontynuował uczony. – Niemniej jednak, jako patriota muszę dbać, aby pokaz siły nie stanowił zagrożenia dla naszych obywateli – przerwał na chwilę.

– To interesujące. Mówcie, mówcie... – zachęcił go Chruszczow.

– Zdaję sobie sprawę, towarzyszu I Sekretarzu, że stawiając przed nami zadanie najpierw skonstruowania, a potem udanej próby z bombą o niewyobrażalnej mocy 100 megaton kierowaliście się chęcią pokazania imperialistom, na co nas stać. Apeluję jednak, abyście zezwolili nam na przygotowanie bomby o połowę słabszej. Gdyby doprowadzić do wybuchu stumegatonowej bomby na naszym poligonie na Nowej Ziemi, promień ciężkich zniszczeń sięgnie przynajmniej 500 km. A to oznacza, że wszelkie ludzkie osady na Półwyspie Jugorskim, na Półwyspie Kanin, a nawet na wschodzie Półwyspu Kolskiego przestaną istnieć. Ucierpią nie tylko ludzie, ale także cała przyroda, flora i fauna na całym wybrzeżu Morza Barentsa. Prawda, profesorze Chariton?

– Stuprocentowa – odezwał się drugi z zaproszonych uczonych. – Ale to nie koniec. Opad promieniotwórczy sięgnie znacznie dalej niż promieniowanie ciepłe i fala uderzeniowa. W tym rejonie świata utrzymują się przede wszystkim wiatry północne. Przy odpowiedniej sile skażą radiacyjnie wielkie obszary naszego kraju. Jest jeszcze jedno. W wyniku detonacji o sile stu megaton prawie na pewno grzyb atomowy spowoduje przemieszczenie dużych partii atmosfery w przestrzeń kosmiczną. Skutki klimatyczne takiego wydarzenia trudno przewidzieć, ale one niewątpliwie zagroziłyby północy naszego kraju – Chariton rozłożył dłonie i pokiwał głową jakby dodając powagi swoim słowom.

– Więc co? Mam zrezygnować ze swojego pomysłu. Niech Amerykanie myślą, że jesteśmy słabi? – burknął Chruszczow.

– No właśnie, właśnie, odpowiedzcie Nikicie Siergiejewiczowi – dopowiedział złośliwie Sierow.

– Odpowiedź jest bardzo prosta. Trzeba zrobić test, tylko bomba powinna być o połowę słabsza. Wybuch bomby o mocy 50 megaton będzie i tak

czymś niebywałym, eksplozją ponad trzykrotnie silniejszą niż wykonany najpotężniejszy amerykański test termojądrowy. Uzyskamy pożądany efekt propagandowy i nie ucierpią ludzie radzieccy.

– Przecież zaplanowana bomba jest prawie gotowa. To tak można sobie ją osłabić na życzenie? – złośliwie spytał szef GRU.

– Mówiłem już, towarzyszu generale, abyście nie zaprzęтали sobie tym głowy i pozostawili problem techniczny ludziom nauki. Ale jeśli już koniecznie chcecie wiedzieć, to wyjaśnię, oczywiście możliwie prosto. Jeżeli naszą trzystopniową bombę nieco zmodyfikujemy przez zastąpienie ołowiem niektórych warstw uranu, zmniejszymy jej moc do połowy, a co najważniejsze, bardzo zredukujemy skażenie w postaci opadu promieniotwórczego, gdyż prawie całą energię wybuchu uzyska się z reakcji termojądrowej... – Sacharow chciał jeszcze coś powiedzieć, aby wykazać ignorancję Sierowa, ale przerwał mu głośny rechot. Chruszczow śmiał się do rozpuku, aż mu oczy zaszczyły łzami. Po chwili się opanował, wypił kieliszek wódki, potem kolejny.

– Towarzysz Sacharow ma rację, Iwanie Aleksandrowiczu. Koordynujcie łapanie szpiegów, a budowę bomby wodorowej zostawcie fizykom. To dla was za trudne. Ja mam pełne zaufanie do towarzyszy Charitona i Sacharowa. Godzę się na 50 megaton. – Słyszając to obaj fizycy odetchnęli z ulgą i też sięgnęli po alkohol. Zagryźli pieczonymi udkami dzikich kaczek. Tylko Sierow siedział z ponurą miną, zastanawiając się, czy byłby możliwy jakiś rewanż za, bądź co bądź, rodzaj upokorzenia.

– Właściwie to możecie, towarzysze, wracać już do Moskwy. Chyba że jest jeszcze coś, o czym chcielibyście mi powiedzieć albo może oczekujecie mojej zgody na jakieś posunięcie? – Gospodarz w ten mało zawoalowany sposób dał sygnał do zakończenia wizyty.

– Jest jeszcze jedna sprawa, towarzyszu I Sekretarzu. Rozumiem, że do przeniesienia naszej 27-tonowej zabawki potrzebny będzie Tupolew 95W. To wspaniała maszyna, ale ktoś musi zasiąść za sterami – cicho powiedział Chariton.

– Pewnie, że musi, przecież bombowiec sam nie polecą. – Chruszczow był już lekko wstawiony. – Nawet wiem, kto będzie pilotował. Major Andriej Durnowcew, nomen omen. Jest bardzo dumny z wyboru, ale nie zdaje sobie sprawy, że pewnie już nie wróci z tej misji. Trudno. Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. – Ta pogarda dla ludzkiego życia była typowa i dla generałów, i dla polityków Kraju

Rad. To ona podczas Wielkiej Wojny Ojczyźnianej pchała setki młodych chłopców biegnących na gniazda hitlerowskich karabinów maszynowych.

– Właśnie o tym chciałem porozmawiać. Myślę, że możemy dać mu pewną szansę – kontynuował Chariton.

– Tak? A w jaki sposób? – wyraził umiarkowane zainteresowanie I Sekretarz, nalewając sobie kolejny kieliszek, tym razem francuskiego koniaku. Wypił i zagryzł małosolnym ogórkiem, co smakoszy znad Sekwany zapewne przyprawiłoby o rozstrój nerwowy.

– Nasi chemicy opracowali pewną farbę, która bardzo zniweluje promieniowanie cieplne, kiedy fala uderzeniowa nieuchronnie dosięgnie samolotu. Chodzi tylko o dodatkowe fundusze na produkcję.

– Dobrze, dostaniecie je – łaskawie zgodził się Chruszczow.

– Warto byłoby zrobić też specjalny spadochron, który bardzo opóźni opadanie bomby. Też go mamy na deskach kreślarskich. Ale potrzebujemy przynajmniej 800 kg nylonu. A to może spowodować niedobory tego tworzywa w innych gałęziach przemysłu. Chodzi o to, aby partia i odpowiednie ministerstwa dały nam zielone światło i zablokowały ewentualne głosy niezadowolenia.

– Będziecie mieli priorytet, dopilnuję tego. Zadowoleni... bo jak rozumiem farba i spadochron pozwoli przeżyć Durnowcewowi i jego załodze?

– Da im przynajmniej szansę. Oceniam ją na 50 procent – profesor Chariton był zadowolony z tego co uzyskał.

– No to wypijmy strzeziennego – zaproponował Chruszczow, naciskając jednocześnie czerwony przycisk na ścianie, niedaleko stołu. Generał Sierow napełnił kieliszki. Może uznał, że wobec ugodowej postawy Nikity Siergiejewicza nie byłoby rzeczą polityczną jakiegokolwiek manifestowanie niechęci wobec uczonych. Stuknęli się szkłem i wypili schłodzoną w wiaderku z lodem wódkę. W drzwiach pojawili się oficerowie eskortujący profesorów i adiutant Sierowa.

– No cóż, towarzyszu profesorze. Jebniemy pięćdziesiątką, a i tak amerykańcy zesrają się z wrażenia – Chruszczow klepnął Sacharowa z rozmachem w plecy.

„Po wódce zawsze wyjdzie z niego prostak” – pomyślał Sacharow, ale oczywiście głośno nic nie powiedział.

Bogusław Witkomirski

Coś

Pomiędzy słowami
układam codzienność
z rozbitych szyb
skrawków gazet

boję się
powiedzieć
co kłębi się
w środku

ile mam
czekać
i czy
w ogóle

kolejny świt
nie daje spokoju
choć poranne rytuały
pozwalają żyć

pytania cisną
się na
wciąż zamknięte
usta

Po co

Obserwuję taflę
mojego świata
zamkniętą w ramach
z polerowanego szkła

kolejne fragmenty
przesuwają się
przed oczami nie zostawiając
śladu w głowie

moje źrenice
dopuszczają tylko
bezszelestny kontakt
dystans jest taki bezpieczny

nie bolą wtedy
wcale katastrofy
waszych dusz
ani innych organów

kolejno odliczam
tych których znałem
oraz pozostałych których
zdjęcia opadają w dół

jestem z wami
tak naprawdę
jak pył
lub babie lato w słońcu

Przeżycie

Nie potrzebuję
bycia z tobą
ani niebycia
twojego ciepła
ani chłodu
też twojego
tak jest mi dobrze
samemu
cała reszta jest zbędna
jak zakurzony gazetek
łyżka do butów
czy zielona butelka
po tanim winie

Świat wg Marcina

Niedzielne popołudnie
drwią z nas przyszłe pokolenia
a mędracy zadają trudne pytania

stoję wśród saren i lisów
wsluchuję się w ich głosy
wybieram polną drogę

łączę klasyków z jazzem
nakładam frak na gołe ciało
czerpię radość z obu tych światów

mijany czas ma swoje prawa
ognisko płonie wśród rosy
świerszcze snują pieśń w zaroślach

a ona śpiewa już tylko z płyty
której nie ma
dobrze że choć my
będziemy jeszcze przez chwilę

Trasa

Jadę samochodem
i patrzę w punkt
na końcu drogi

myśli podążają swobodnie
nasycam się spokojem
w radiu Daria ze Śląska

sklejam nerwy
pod powiekami
wygładzam porowatą nawierzchnię

okna kamienic
pulsują życiem
wyczuwam tętno w korytarzach

chciałbym tam zamieszkać
choć na kilka dni
lub na weekend

dzwonek telefonu
wrywa mnie
z odrętwienia

jestem przytomny
to tylko zadrapanie
drobna stłuczka

Warszawski sen

Śnił mi się sierpień
i ty jak szłaś boso
w podartej koszuli
bezbronna z prośbą
o miejsce przy mnie

tylko na jedną noc
bo nie masz nic i nikogo
ja też jestem sam
więc chodź

we dwoje nie boimy się
może ostatni raz
gdy czuję cię blisko
chcę myśleć

jak piękne życie
czekałoby nasze dzieci

Maciej Wódz

A oni po prostu szli

A oni po prostu szli
wypłynęli z chmury
jak tornado

A oni po prostu szli

Zostawili po sobie
spękaną ziemię
bez śladu ziarna

A oni po prostu szli

Słońce
utoneło w oceanie szarości
Księżyc
nie przebił się
aby wyostrzyć kontury ich zmęczenia

A oni po prostu szli

Krucjata
głodu nieszczęścia przegranej
bez marzeń, bez myślenia

A oni po prostu szli

Wypijając barwy
przywracając szare obrazy
jak w zdezelowanym telewizorze

A oni po prostu szli

Człowiek

W szale tworzenia
wymyślił napalm
i bombę atomową
Zapomniał
że zabić można słowem
a jeszcze lepiej bezsłowiem lub
gestem

And they were just going

And they were just going
having emerged from the cloud
like a tornado

And they were just going

They left behind
a parched land
without any traces of a grain

And they were just going

The sun
drowned in the ocean of greyness
The moon
didn't shine through
to sharpen the contours of their fatigue

And they were just going

The crusade
of hunger unhappiness defeat
without dreams, without thinking

And they were just going

Drinking colours
restoring grey pictures
like in a dilapidated TV set

And they were just going

Man

In a fury of creation
he thought up napalm
and a nuclear bomb
He forgot that a word can kill
and the lack of words or one gesture
will do it
even better

Stworzenie

Na początku Bóg stworzył
Niebo i Ziemię
potem
człowiek mozolnie odkrywał
drogę do piekła

Mój wróg

Ja – swój wróg
nie śpię
czuwam
by nikt się do mnie
nie zbliżał

Życiorys

Urodziła się I jest
na przekór
wbrew
i mimo wszystko

Schowana za uśmiechem
odliczam dni
do końca świata

Polityka

Mój brat dzisiaj
zamordował brata
a przecież
słońce z miłością
dotyka nas wszystkich
i liść zieleni się wiosną
dla każdego

To minie

Posypał się
misterny plan
nowe świątynie
wałą się z hukiem

Umęczony Stary Bóg
pełgającym słońcem
dotyka zbolącej duszy

Creation

In the beginning God created
the heavens and the earth
then
man laboriously started discovering
the road to the hell

My enemy

I – my own enemy
I don't sleep
I keep vigil
so that nobody
could get close to me

Life story

She was born and is
against the odds
contrary to nonsense
and in spite of everything

Hidden behind a smile
I count down days
to the end of the world

Politics

Today my brother
has killed my brother
however
the sun touches all of us
lovingly
and a leaf gets green in the spring
for everybody

It will pass

A subtle plan
has fallen apart
new temples
fall to pieces with a bang

The tired old God
touches an aching soul
in the glimmer of the sun

Ofiara

Dzisiaj dostałam od ciebie
róże
mówisz
– piękne
ogromny bukiet
szczerzą do mnie kolce
na każdym kropelka
mojej krwi
mówisz
– życie

Samsara

Przed wiekami
trawą szumiałam
byłam mrówką
tęczowym motylem
sarną biegnącą
przez prawdziwy las

Teraz jestem
człowiekiem

Boli

Zwykły człowiek

A jeżeli moje myśli nie porządkują
świata
moje ręce nie kształtują
przyszłości
moje czyny nie są
heroiczne
moje obrazy nie wiszą
w galeriach
moja muzyka nie porywa
tłumów
i nie napisałam ani jednego
wiersza
Czy to znaczy, że mnie
Nie ma?

Sacrifice

Today I've got roses
from you
you say:
"beautiful"
a huge bouquet
the roses grin the thorns to me
a drop of my blood
on each thorn
you say:
"life"

Samsara

Centuries ago
I rustled as grass
I was an ant
a colourful butterfly
a deer running through a real forest

Now
I am a human being

It hurts

An ordinary man

But if my thoughts don't put the world
in order
my hands don't shape
the future
my acts aren't
heroic
my paintings aren't
in art galleries
my music doesn't move
crowds
and I haven't written even one
poem
Does it mean that
I don't exist?

Barbara Wrońska

Translated by Elżbieta Kwasowska-Jachimowska

Oświadczenie

dzień bez dotknięcia rąbka tajemnicy
nie może być uznany za żywy

A tak chcielibyśmy pozostać

A tak chcielibyśmy pozostać
z naszymi bliskimi
nie rozstawać się nigdy
dotykać ich rąk włosów
patrzeć w oczy i mówić
mówić nieskończenie jak bardzo
głęboko ich kochamy

Mówić tak z oddaniem do żony
syna córki psa i kwiatka na oknie

Lecz przeczuwamy gdzieś w głębi
chwilę co oderwie nas od siebie
dlatego kurczowo ściskamy się za ręce
patrzmy sobie w oczy
śpiewamy najczulsze pieśni karmiąc dzieci i psy
z taką determinacją podlewamy kwiatki na oknie
i nieprzerwanie patrzymy na drogę

Zaczął się nowy dzień

mojej Żonie

na granicy nocy i dnia
już słyszeć pierwsze ptaki
westchnienia porannego wiatru
trawy i drzewa uległe wobec rosy
pobłyskują w promieniach słońca
nawet zrodzone z Molochu
samo-chody

napij się łyk
kawy herbaty wody
cokolwiek byś sobie życzyła
na granicy nocy i dnia
nie ma powodu do lęku

jesteś okiem jasności
jeszcze raz zaczął się dzień
przyjmij go jak ulubionego psa
jak szlachetny kamień który przypadł ci
do serca

Polityka

Zawiązała się nowa partia
kanibali bezstronnych
szefem jest chudy facet
z ropiejącą raną nad okiem
a program jest atrakcyjny
spodziewają się porwać tłumy
nie chodzi tam bynajmniej
o zjadanie się nawzajem
właściwie o nic tam nie chodzi
bo nikt nie zna programu
podobno w ogóle go nie ma
to nasz największy atut
mówi facet z raną
czarny ptak siadł mu na twarzy
poszerza dziobem otwór
jest już na tyle duży
że mógłby tam zamieszkać
lecz macha tylko skrzydłem
przenosi się gdzie indziej
na jakąś inną wyspę
której nikt jeszcze nie widział

Ta twarz jest mózgiem partii
jej cel to ropiejąca pustka

Pisarze

pisarze żrą się jak psy
psy miażdżą kości potężnymi żuchwami

pisarze ryją jak krety
krety zaludniają podziemne korytarze odchodami i resztkami żarcia

pisarze budują kopce jak termity
termity wwiercają się w strukturę kości która staje się kością z wieży
słoniowej

pisarze budują tamy jak bobry
bobry rozpryskują czyste tonie poszukując legendarnego źródła łez

pisarze liżą tyłki władcom tego świata
władcy tego świata miażdżą psy potężnymi zuchwami
ryją podziemne korytarze z kości słoniowej
rozpryskują przejryste tonie wód poszukując legendarnego źródła
nienawiści

* * *

poeta plecakowy jest zwykłym żebrakiem
za trochę makulatury żąda tyle co za kiełbasę
a taki nachalny że aż ręka świerzbi
by nie trzasnąć go w pysk

wszyscy wiersze piszą
lecz któż z tych milionów ośmieliłby się pobierać za nie opłatę
jak za zboże w komorze celnej
to przecież tylko trochę słów powstałych z niczego
czyż samo życie można nazwać kosztem uzyskania
przychodu

dlatego kupczenie książkami powinno być zakazane
chyba że dotyczą one koniecznej inwentaryzacji świata
na polecenie świętych urzędów skarbowych
celem obliczenia ostatecznego podatku
od istnienia

Przeprowa

To tak jakby przechodzić
przez ciemną dolinę
nie ma dobra ni zła
osacza cię noc
NN przyzywa
idziesz w z pętlą przy boku
chybotliwą w wyobraźni
na rufie statku znikąd
Jednak wciąż słyszysz ten dźwięk
być może sygnał z oddali
Coś przybliży się z trudem
centymetr po centymetrze
połyka przestrzeń już słyszysz
flet ze znajomej opowieści

majaczą kontury grajka
Chciałbyś być teraz szczurem
lecz sól cię pożera
nie wiesz jak to się stało
kim czym ta galareta
przedrzeźniająca ciebie
na suchym piasku

Być może w nienadaremnym
oczekiwaniu na chrzest
ludzkich stóp
W obliczu niemilkącego wciąż
oceanu

Samokrytyka

dawniej
gdy napisałem wiersz
wyobrażałem sobie
że wielcy poeci
rzucą mi się w objęcia

teraz
też tak sobie wyobrażam

widzę Rilkego Borgesa
Szymborską
jak tulą mnie do swoich łon
i szepczą
– witaj w krainie wielkości

więc pieszczę się tą wielkością
podziwiam krągłość toczącego się słowa
z rozkoszą znaną tylko starożytnym rozpustnikom

pławię się w oceanie znaczeń
tropiąc nieznane głębie języka

dopiero gdy w kuchni zacinam się w palec
krojąc kromkę zwykłego chleba
klnę głośno i mówię do siebie
boże, jaki jestem głupi

Stary poeta i urzędy absolutu

przenikalność światów staje się regułą
przez pergamin poety przedziera się światło
sączą się zapewnienia podłość zostanie ukarana
szlachetność opatrzy się nagrodą

stary poeta wie że dobro rodzi się w bólu
stary poeta wie że wiersz rodzi się w bólu
stary poeta wie że człowiek rodzi się by doświadczyć
nicości i kategorycznie jej zaprzeczyć

Gdybym

gdybym był ptakiem
skrzydła włókłbym po ziemi
co za stereotyp „fruwający w przestworzach”

gdybym był gadem
wspinałbym się na szczyty
po co miałby ktoś deptać moją płaską głowę

gdybym był trawką
skreśliłbym słówko „jarać” z
achęcałbym do tańca wokół kopki siana

gdybym był drzewem
ściąłbym się na papier
na po co głupio szumieć jak można krzepić serca

gdybym był wódką
zmieniłbym się w konwalię
i posiadałbym elektorat rozwąchanych tłumów

gdybym był ogniem
zgaśłbym natychmiast
niech zatęsknią do światła co pławia się w ciemności

gdybym był strumieniem
wycofałbym się w góry
niech tropią mnie po śladach świeżości spragnieni

A gdy jedyną skałą
roztrzaskałbym się w piasek
niech wszystkie dziwki czasu wyją za opoką

Ale ja

poeci myślą że bez nich zawaliłby się świat
ja tak nie uważam jestem wielorybem ktoś mądry
powiedział świat stoi na głowach wielorybów właśnie
mam jeszcze ogon potężny czujny nos płetwy
którymi macham czasem nabieram przekonania
że gdyby nie świat na mojej głowie to poniosłoby mnie
w przestrzeń jeszcze mój nos wydycha słupek wody
widzieliście kiedyś tęczę potem deszcz
zraszają ziemię zmieniając się w obłoki
w razie potrzeby zasłaniają słońce
żeby nie spaliło wszystkiego co żywe
A kiedy kichnę bo jestem alergikiem
to potop zalewa świat Gdyby nie moja głowa
świat by gdzieś odpłynął gdzie? byle gdzie
A tak w ogóle to nie chcę się wyrażać jakkolwiek
by nie było zawsze można Zakotwiczyć się
w moim sercu to schron co najmniej tak przestronny
jak Salt Mine In Wieliczka God Mit Uns
od kiedy posłannicze Kraków stał się centrum świata
przecie jestem kuzynem smoka wiem że z dziewicami
robił zupełnie coś innego niż podaje legenda
po co burzyć legendy skoro tak wdzięcznie zachwycają
się nimi nasi milusińscy niech trwa ten świat
na mojej głowie przynajmniej Polska Kraków
Zakątek 7 gdzie mieszkam przez 6
gdy wchodzę do domu już w drzwiach
wołam *daj mi zupci* moja basieńka na to *zobrze zobrze*
nie wygląda wcale na żonę wieloryba
wygląda przez okno gdy rano wychodzę
do pracy macha mi ja jej odmachuję
gdyby oni wszyscy wiedzieli że jestem wielorybem
i trzymam na głowie świat zrobiliby ze mnie wariata
co za pomysł Ja nie mam czasu na choroby
beze mnie zawaliłby się świat

Szczęśny Wroński

„Twarze współczesnych poetów polskich. Odsłona pierwsza”

Kwartalnik Literacko-Kulturalny „LiryDram”, dystrybuowany przez sieć EMPiK oraz bezpłatnie w wersji elektronicznej, istnieje na rynku od ponad 10 lat. Niezłomnie prowadzi go redaktorka naczelna Marlena Zynger. Każdy kolejny numer obszernie przedstawia sylwetkę twórczą (utwory, wywiad, recenzje) wybranego poety lub poetki, a na okładce widnieje jego lub jej portret autorstwa profesora dr. hab. Roberta Manowskiego – artysty i rektora Wyższej Szkoły Artystycznej w Warszawie. I tak zebrane przez lata 43 grafiki znanych i nagradzanych współczesnych polskich poetów z różnych środowisk literackich (ZLP, SPP, UL oraz niezrzeszeni) stworzyło ciekawą wystawę „Twarze współczesnych poetów polskich. Odsłona pierwsza”. Wielkoformatowe wizerunki (1 m x 1 m) wędrują teraz po całej Polsce, a otwarcie każdej kolejnej wystawy Marlena Zynger (kuratorka) zamienia w happening, zwłaszcza w sejmie miał on ciekawy przebieg. Innymi miejscami ekspozycji były już: Dom Literatury w Warszawie, Miejskie Centrum Kultury w Gorzowie Wielkopolskim, Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Kielcach, Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Opolu, Muzeum im. ks. dr. Władysława Łęgi w Grudziądzu, Muzeum Niepodległości w Warszawie. Wystawie towarzyszy kolorowy album (230-stronicowy, formatu A4), w którym pomieszczone są rozmowy z poetami. Przedsięwzięcie popularyzuje współczesne środowisko poetyckie w Polsce.

Na wystawę (odslona pierwsza) składają się wizerunki poetów (kolejność alfabetyczna): Bożena Boba-Dyga, Aldona Borowicz, Krzysztof Bockowski, Kazimierz Burnat, Anna Czachorowska, Maria Duszka, Julia Fiedorczuk, Jerzy Jankowski, Adriana Jarosz, Jacek Jaszczyk, Adam Kaczanowski, Beata Patrycja Klary-Stachowiak, Ryszard Krauze, Małgorzata Lebda, Dariusz Tomasz Lebioda, Ewa Lipska, Natalia Malek, Zbigniew Milewski, Joanna Mueller, Aleksander Nawrocki, Marcin Orliński, Alicja Patey-Grabowska, Małgorzata Karolina Piekarska, Marta Podgórnik, Uta Przyboś, Małgorzata Skwarek-Gałęska, Tomasz Różycki, Alicja Tanew, Andrzej Tchórzewski, Grzegorz Trochimczuk, Marek Wawrzekiewicz, Magdalena Węgrzynowicz-Plichta, Marek Wołyński, Bohdan Wrocławski, Michał Zabłocki, Adam Zagajewski, Andrzej Zaniewski, Ewa Zelenay, Kalina Izabela

Zioła i Marlena Zynger. Z przyjemnością oznajmiamy, że wśród tak znakomitych postaci znaleźli się Stanisław Nyczaj oraz należący do Oddziału Świętokrzyskiego ZLP Stefan Jurkowski i Elżbieta Musiał. (EM)



Elżbieta Musiał (górna graf., niżej Uta Przyboś) wraz z autorem Robertem Manowskim, Dom Literatury w Warszawie 2022



Wystawa w Sejmie RP 2025 (po lewej Uta Przyboś)

Zdjęcia wykonała Elżbieta Musiał



Portret Stanisława Nyczaja; wystawa w Domu Literatury w Warszawie, 2022



Stefan Jurkowski (u góry), Ares Chadzinikolau (poniżej), w tle pośrodku Elżbieta Musiał (u góry), Uta Przyboś (poniżej); Aldona Borowicz po prawej; Wystawa w Domu Literatury, Warszawa 2022



Specjalnie dla „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego”

Marek Wawrzekiewicz

Poetyckie podróże w przestrzeni, czasie i wyobraźni

Żadna podróż nie jest urzeczywistnieniem,
choć każda jest nadzieją.

Jarosław Iwaszkiewicz

Poeta ma niewiele praw, ale za to wiele obowiązków. Niektóre z nich lubi, innych nie cierpi. Ma prawo do wątpienia, czy to, co stworzył jest doskonałe. Nie cierpi wielu rzeczy, najbardziej pisanie. A lubi podróżować.

Poetę lądującego w jakimś obcym mieście czy kraju miejscowi pytają o wrażenia. Mniej lub bardziej szczerze odpowiada, że jest zachwycony. Na to gospodarze powiadają: o, to zapewne powstaną teraz wspaniałe wiersze (o naszym kraju, mieście czy okolicy). Poeta jest więc traktowany jak fotograf: przyjechał, zobaczył, zachwycił się i zrobił zdjęcie, widokówkę. Owszem, znam poetów, którzy po parodniowym pobycie w jakimś kraju napisali o nim kilka, albo nawet kilkanaście wierszy, czasem całą książeczkę. Ale przeważnie są to utwory niewiele warte, choć czasem tłumaczone i zamieszczane np. w okazjonalnych folderach czy albumach. Po co więc poeta podróżuje? Czy mu się to twórczo opłaca? Po co go przyjmują gospodarze, oprowadzają, pokazują, karmią i poją? Z jaką nadzieją udaje się w daleką podróż? Poeta z natury rzeczy jest skąpcem, jest właścicielem wielkiego magazynu rzeczy przydatnych i zbędnych. Gromadzi je świadomie lub nieświadomie w przekonaniu, że mu się kiedyś przydadzą. Ta śrubka, ten kawałek szmatki, gwoździć, zepsuty zegarek, stare okulary. Fragment zobaczonego krajobrazu, zachód słońca nad obcym miastem, przelotne spotkanie z nieznanym człowiekiem, urywek rozmowy, zapach nieznanych ziół, zasłyszana historia. Rupieciarnia. A jednak coś, co w przyszłości okazuje się niezbędne. Pamięć ludzka jest niezbadana, pamięć poety jeszcze bardziej zagadkowa i tajemnicza. Pamięć krótka: zapamiętujemy coś na chwilę, na kilka dni,

na miesiąc. I pamięć jak stara, od lat nieeksploatowana, zasypana piaskiem kopalnia: nagle, po upływie dziesiątków lat wychyla się z niej dawne przeżycie, wzruszenie, informacja, pejzaż. Ożywa coś, co z pozoru było martwe, coś, czego istnienia w naszej pamięci nie podejrzewaliśmy. Poeta więc podróżuje: w przestrzeni, czasie i wyobraźni. I dlatego czasami bywa poetą.

Jarosław Iwaszkiewicz wielokrotnie wracał w wierszach i prozie na Ukrainę, gdzie się urodził, spędził dzieciństwo i lata młodości. Być może to właśnie – ukraińskie przestrzenie i krajobrazy, zapach stepów, melodie mowy i pieśni – na zawsze nasyciły jego twórczość niepowtarzalną nostalgią, rozlewnością i refleksyjnością. I nie chodzi tu tylko o utwory młodości, a i te, które powstawały wiele lat później. Inną miłością poety była Italia, a szczególnie Sycylia, do której podróżował bardzo często. W jego wierszach i opowiadaniach, a także dziennikach są opisy architektury, pejzaży, klimatu, zmieniających się pór roku. Ale to wszystko jest drugorzędne, stanowi tylko tło. Dekorację, w której dzieją się uczucia i przeżycia, możliwe do odczucia tylko tam, mogące tylko tam się urodzić. Wśród licznych utworów, których natchnieniem była Italia, były oczywiście takie, które tam powstawały, były zapiskami z teraźniejszości. Przeważają jednak inne – napisane później, czasem po latach. Poeta sięgał do magazynu, jakim była jego wrażliwa pamięć.

Stronami choro, a stronami zdrowo,
Stronami śmiesznie do łez czasem śmiesznie
Czasem pod nogami, a czasem pod głową,
Czasem na Marszałkowskiej, a czasem na Lesznie.

Czasem w twoim ręku czasem w moim słowie
Czasem na Stawisku, czasem na Sycylii
Czasem w ciemnej stronie lub w jasnej połowie
Czasem wszystkich oszuka najczęściej nikogo nie zmyli.

Poeta nie jest fotografem. Julian Przyboś napisał świetny wiersz o paryskiej katedrze Notre Dame. Wiersz to nie fotografia: opis architektury jest czymś służebnym w stosunku do idei wiersza, a jest nią próba oddania dostojności i majestatu tej budowli, będącej z jednej strony czymś materialnym – dziełem ludzkich rąk i ludzkiej myśli, z drugiej zaś czymś należącym do sfery mistyki.

Wiersz nie jest fotografią. Mieczysław Jastrun w wydanych 60 lat temu wierszach z cyklu „Miasto nad morzem” (tom *Genezy*) pisze – z pozoru – o pewnym greckim mieście, o jego ulicach, domach, alejach nadmorskich, o turystach, którzy tymi ulicami się przechadzają. Ale w gruncie rzeczy są to wiersze o tym, jak przeszłość wpływa na teraźniejszość, o greckich mitach, legendach, o greckiej kulturze, z której wywodzi się cała kultura Europy. Nawiasem mówiąc: dlaczego pamiętam krajobraz i nastrój wierszy przeczytanych pół wieku temu...?

Liście akantu, okwiaty kamieni,
Osoby dramatu,
Na płaskorzeźbie brodaty alchemik
Wśród retort i garnków
Zamienia słońce w strumień złota czuły.
Mały niedźwiadek gwałci dziewczynę,
O naturze aniołów
Mruczą inkunabuły,
Mędrcy badają pierwszą przyczynę.

Chiński poeta z Syczuanu, Liang Ping, gość Warszawskiej Jesieni Poezji, napisał tom poezji *Polska w kolorze bursztynu*. Obok wierszy, które są portretami współczesnej Warszawy i Polski zamieścił tam utwory o historii Warszawy. Zapewne nie zrozumiał dokładnie tego, który mu tę historię opowiadał, więc dzieje mojego miasta są w tych wierszach zupełnie fantastyczne. Ale czy fakt, że nie mają wiele wspólnego z prawdą historyczną sprawia, że są pozbawione wartości? Poeta pochwycił pewne wątki i zbudował z nich inną, fascynującą historię. O jakości wiersza nie decyduje przecież to, czy wiernie odtwarza rzeczywistość. Prawda bywa nieatrakcyjna, niepoetycka. Napisana z talentem fikcja tworzy nową prawdę. Wiersz nie jest dziennikarskim sprawozdaniem z wydarzenia, nie musi też być kroniką.

Poeci odrzucili aparaty fotograficzne, napisali wiersze, które są podróжами w przestrzeni i czasie.

Poeta odbywa niekiedy podróże w przeszłość albo w przyszłość. Odwołuję się jeszcze raz do Iwaszkiewicza, do jego spostrzeżenia o roli dzieciństwa w rodzeniu się poetyckiej wrażliwości.

Zapewne wielu z nas ma podobne doświadczenia. Wracamy oto po wielu latach nieobecności do miejsc, w których zaczynaliśmy poznawanie świata. Towarzyszy temu i wzruszenie i zdziwienie. Bo to, co zapamiętaliśmy jako wielki i tajemniczy dom, okazuje się małą wiejską chatą. Pokoje, kiedyś ogromne, są dziwnie małe i ciasne. Wielka góra niedaleko domu jest w rzeczywistości piaszczystym pagórkem. Wyrośliśmy, a wszystko, co nas w dzieciństwie otaczało, zmalało... I nagle jesteśmy właścicielami dwóch sprzecznych z sobą prawd: tej dawnej i dzisiejszej. Ale czy to, co dało nam dorosłe widzenie jest więcej warte od tego, co zapamiętaliśmy i co było najważniejsze, zanim go nie zweryfikowała teraźniejszość?

Adam Mickiewicz znalazł się w Paryżu w roku 1831, a swoje ojczyście, litewskie strony opuścił jeszcze dawniej. Nasz narodowy epos *Pan Tadeusz* napisał w roku 1834, a jego akcja rozgrywa się przeszło dwadzieścia lat wcześniej. Pomińmy jednak warstwę fabularną, bo niezależnie od jej atrakcyjności, sugestywnie nakreślonych postaci w niej występujących, bogactwa detali, które uprawdopodobniają opowieść, coś innego jest przynajmniej równie ważne. Jest to opis Litwy, krainy dzieciństwa i młodości, która jawi się jak raj utracony, za którym się tęskni i powrót do którego jest wątpliwy. Litewskie pejzaże, rośliny, zwierzęta, chmury nad lasami i polami, budowle, pogody i niepogody, słońce – wszystko poeta namalował z miłością, nostalgią i tęsknotą. I to właśnie jest najbardziej autentyczne i najsilniej przemawiające do współczesnego czytelnika.

Od przynajmniej dwustu lat uczeni rozważają, czy rzeczywiście w VIII wieku przed naszą erą żył i tworzył poeta nazwiskiem Homer, czy też *Iliada* i *Odyseja* są dziełami wielu autorów złożonymi później w jedną całość. Zdania są podzielone, ja wolałbym, aby Homer był postacią z krwi i kości i żeby to on napisał te podstawowe dla literatury europejskiej dzieła. W XIX wieku pewien archeolog niemiecki odkrył ruiny Troi, z czego wniosek, że opisane w *Iliadzie* wojny trojańskie rzeczywiście się rozegrały. Ale dokładnie kiedy? Ile dziesięcioleci, a może stuleci po nich Homer je opisał? Mimo tych

niepewności utwór jest nie tylko arcydziełem, ale także źródłem historycznym.

Lew Tołstoj pisał *Wojnę i pokój* blisko sześćdziesiąt lat po wojnach napoleońskich. Czy przez to obraz tych wydarzeń jest mniej wiarygodny? Wielka literatura powstaje w dystansie czasowym. Proza czy wiersz reagująca natychmiast, realizująca jakieś społeczne czy polityczne zamówienie, bardzo rzadko opiera się próbie czasu. Aktualność starzeje się najszybciej, a autorzy okazjonalnych wierszy często się ich wstydzą i wymazują je z bibliografii. Wydarzenia, o których sądzi się, że są ważne i trwale zapisujące się w dziejach, ulegają zapomnieniu, natomiast w historii literatury pozostaje to, co pozornie jest mało znaczące – indywidualne losy ludzi, które jednak okazują się uniwersalne.

Dystans w tym przypadku to cofnięcie się w czasie. Czas weryfikuje znaczenie wydarzeń, a literatura przywraca nie tylko pamięć o nich, ale też nadaje im odpowiednie do znaczenia proporcje.

* * *

Cała światowa literatura s.f. jest podróżą w przyszłość, jest próbą i sprawdzianem wyobraźni. A bezwzględny i bezlitosny weryfikatorem wyobraźni jest czas. Czytamy na przykład książki, które powstały 50 czy nawet tylko 30 lat temu i wzruszamy ramionami. Bo oto wynalazki, sprzęty, przyrządy, które w fantazji autora wtedy powstawały, dziś są powszechnie używane. Dwudziestoletni czytelnik nie wyobraża sobie świata bez komputera, telewizji, telefonu komórkowego, nie wierzy, że taki świat w ogóle istniał. Co więc z tej literatury pozostaje, co sprawia, że czas ocala pewne książki? Ludzkie sprawy – miłość, tęsknota, cierpienie, przemijanie. Są wiecznotrwałe i nie ma znaczenia, w jakiej przyszłości i w jakiej dalekiej galaktyce się dzieją. Przykładem takiej literatury jest *Solaris* Stanisława Lema.

Poezja rzadko się wybiera w podróż do krainy fantastyki. Woli raczej penetrować okolice jeszcze bardziej niesprawdzalne, metafizyczne, transcendentne. Nie projektuje jakiegś przyszłej rzeczywistości, nie dlatego, że cierpi na brak wyobraźni, po prostu zdaje się uważać, że najważniejsze ludzkie sprawy, uczucia, bo przeżycia w każdej, nawet najdalszej przyszłości będą w gruncie rzeczy takie same.

Świetny poeta rosyjski Wadim Szefner w jednym ze swoich wierszy pisze o jakiegś bardzo dalekiej przyszłości, ale ten kosmiczny wędrowiec jest przybyszem z równie dalekiej przeszłości. Ale tam,

w obydwu czasach, w kosmosie, znajduje to, co występuje tylko (?) na naszej planecie.

Po nieznanej planecie, strasznej i niezwykłej,
Pozaziemskim bezdrożem, z ziemskim swoim
[marzeniem,
Idzie Orfeusz w piekło włączywszy swój nadajnik
I woła Eurydykę, pieśni wabi ją brzmieniem.

Dwa zielonkawe słońca w obłoku pyłu wschodzą,
Błękitny wąż jest pełen bezgrzesznej cichości –
Po planecie dalekiej w tęsnocie, w nadziei brodzi
Pieśń niosący Orfeusz ze swoją ziemską miłością.
(wiersz w moim przekładzie)

Mój zmarły przed trzynastoma laty przyjaciel, znakomity poeta Krzysztof Gąsiorowski, wydał tom wierszy pt. *Yell. Ballady i romanse s.f.* Tytuł nawiązuje oczywiście do pierwszego zbioru poezji Adama Mickiewicza, ale nie ma z nim nic wspólnego: są to wiersze dziejące się w jakichś absolutnie nieznanach i fantastycznych planetach, wśród do niczego niepodobnych stworów. Ale uczucia są nam znane, bo są to uczucia ludzkie.

W połowie lat siedemdziesiątych, kiedy jeszcze nie mówiło się tak wiele o ekologii i o tym, jak wiele ludzie robią, aby zniszczyć jedyny dom jaki mamy – planetę Ziemię, napisałem długi i gorzki wiersz o przyszłości. Widziałem ją jako śmietnik, jako świat dogorywający w trujących odpadach, pokaleczony, pozbawiony słońca i czystego powietrza, zaludniony przez wyrosłe z brudu stworzenia. I w tym świecie umieściłem Chrystusa miejskiego, Boga tragicznego, który w swej wszechmocy nie może świata uratować. Oby ta moja podróż w czasie i wyobraźni była tylko zapomnianym wierszem! Oto jego ostatnia część.

A potem trochę potem kiedy reflektory
Skierujemy na słońce by świeciło jaśniej
Kiedy w jedną się zleją wszystkie roku pory
I w przerażeniu cudzym odnajdziemy własne

Zrozumiemy że każdy jest jak miejski Chrystus
Co ginie choć nikogo odkupić nie może
To spotkamy się wszyscy nad równiną wyschłą
Z pistoletem i żalem z nadzieją i nożem

Nim nas jeszcze na strzępy rozerwie powietrze
I rozdziobią nas dziwne światłoskrzydłe ptaki
To popłyniemy w szklistym niegasnącym wietrze
Do swojego Betlejem do swojej Itaki

Lecz tęsknota to sprawi że zaczniemy spadać
Na kamienne pustkowia na piasek jałowy
Gdzie za cywilizację będą nas spowiadać
Czarni mnisi w habitach półneutronowych.

* * *

Daleka podróż to nie tylko przebycie wielkich odległości i zmiana stref czasowych. To także wyprawa do innych krajobrazów, zapachów, obyczajów, innych ludzi, obcego języka, niekiedy nawet do innej epoki. Daleka podróż owocuje fascynacją albo rozczarowaniem. Fascynacja skutkuje chęcią powrotów w to miejsce, rozczarowanie – czymś przeciwnym. Ale zawsze powinniśmy kierować się chęcią rozumienia. Podróże nie tylko kształcą, mogą być także lekcją pokory. Bo oto wyjeżdżamy gdzieś przeświadczeni o swojej wszechwiedzy, o wyższości kręgu kulturowego, z którego się wywodzimy, o bogactwie naszej historii, o wyjątkowości naszego kraju w dziejach świata, a tu nagle daleka podróż ustawia wszystko we właściwych proporcjach i właściwym miejscu. Fakt, że w Chinach byłem dziewięć czy dziesięć razy świadczy z pewnością o fascynacji tym krajem, a być może także o tym, że za mało jest we mnie pokory...

„Ponad Lijang wznoszą się turkusowe śnieżne szczyty...” napisał w pieśni 63 Ezra Pound.

Wielki poeta języka angielskiego czytał książkę o europejskim podróżniku, który osiedlił się na stałe w odległym zakątku Chin. Poznane z lektury krajobrazy zafascynowały go i natchnęły do napisania kilku płomiennych strof. Przypominałem sobie o tym, kiedy kilkanaście lat temu tłumaczyłem zbiór wierszy *Magiczna ziemia* chińskiego poety Jidi Majia. Pochodzi on z mniejszości narodowej YI i ze stron, o których pisał angielski poeta. I o których współcześnie pisze wiersze chiński poeta. W ten sposób raptem spięły się we mnie dwie epoki i dwie kultury, a uczyniła to poezja.

Opuściliśmy przed chwilą hałaśliwy dok
I weszliśmy we wrogi szum dworca.
I tak zawsze ścigamy się z czasem
W niepowtarzalnej wciąż podróży.
Nam, ludziom, nie dane jest przeznaczenie.
Mówię wam to ja, syn koczowniczego narodu,
Miłość i śmierć zawsze są tym samym
I mogą nam się zdarzyć tylko w drodze.
(wiersz w moim przekładzie)

Poeeci podróżują do miejsc bliskich i odległych po to, żeby znaleźć tam coś własnego, lub dopiero branego na własność. A może – żeby znaleźć samych siebie?

Marek Wawrzekiewicz



Portret Marka Wawrzekiewicza na okładce Kwartalnika Literacko-Kulturalnego „Liry-Dram”. Wewnątrz numeru obszerne omówienie twórczości Poety. Zachęcamy do zapoznania się z tym ciekawym materiałem <https://online.flipbuilder.com/sqtu/vitm/>.

By przetrwali w pamięci

Najnowsza książka Jana Chruślińskiego (wyd. 2023, 2024) *Od zmierzchu do świtu* daje szeroki obraz działań partyzanckich na Kielecczyźnie w czasie II wojny światowej. Autor opiera się na historycznych faktach zaczerpniętych z zapisów uczestników walk, podaje daty, miejsca wydarzeń, dokładnie opisuje przebieg działań. Przewija się tu cały szereg nazwisk partyzantów z ich pseudonimami, postaci znanych, jak i tych mniej znanych, nawet anonimowych. Jest też i ludność cywilna, która dźwiga cały ciężar okupacji ponosząc jej konsekwencje.

Autor książki nie po raz pierwszy podejmuje trudny temat wojny i okupacji. Czytelnicy pamiętają jego wcześniejsze powieści *Miłość i wojna* oraz *Z Chrobrza na wojenną tułaczkę* cieszące się ogromną poczytnością. Nie bez znaczenia jest tu i to, że autor w momencie zakończenia wojny miał osiem lat, a więc jego najwcześniejsze dzieciństwo przypadło na ten niezwykle trudny czas, mający również to do siebie, że lata wojny liczą się jakby podwójnie; trzeba szybko dorosnąć, by sprostać innej, nowej rzeczywistości.

Na kartach powieści pojawiają się osoby bliskie autorowi: rodzice, rodzeństwo, sąsiedzi i znajomi, a miejscem tego wojennego dzieciństwa jest Busko, konkretnie dom autora przy ulicy Ogrodowej. W czasie wojny był tu punkt kontaktowy kapitana „Srogiego”, przebywała tu również jego łączniczka Zofia Kozłowska. Ów osobisty wątek bez wątpienia miał wpływ na wybór tematyki książek, zarówno tych wspomnieniowych, jak i powieści. Ale nie bez znaczenia są również studia w Wyższej Szkole Oficerskiej, a później studia historyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Splatają się w biografii autora dwie różne dziedziny – z jednej strony wojskowość i wszystko, co ona niesie, z drugiej historia. Nie dziwimy się więc faktografii i historycznego na nią spojrzenia.

Ale *Od zmierzchu do świtu* jest przecież powieścią, a raczej opowieścią składającą się z wielu rozdziałów, posiadającą narrację, fabułę, dialogi i wojenną dramaturgię. A więc te wszystkie walory, co czynią książkę ciekawą i trzymającą czytelnika w napięciu. Te partyzanckie akcje dokonywane właśnie od zmierzchu do świtu są niekiedy peł-

ne brawury, ale i lęku, zwyczajnego ludzkiego strachu. Ustawiczne ocieranie się o śmierć odbija się na psychice młodych ludzi. Autor oddaje te wszystkie nękające partyzantów, żołnierzy Polski Podziemnej rozterki, wahania, nastroje. A także potrzebę wsparcia, zwłaszcza dla ludzi młodych, a nawet młodocianych.

Wojna, naznaczona niebywałym okrucieństwem (tortury, obozy koncentracyjne, łapanki uliczne, ustawiczny strach, groźba śmierci) wyzwalają w ludziach skrajne zachowania i postawy. U jednych heroizm, odwagę, poświęcenie, u innych niegodne człowieka czyny, które być może nie ujawniłyby się w czasie pokoju.

Wszystko, co dzieje się w od zmierzchu do świtu, jest w warunkach wojny niezwykle trudne. Partyzantom, żołnierzom różnych formacji (Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich i innych) jednak sprzyja las, noc i nawet pogoda, najbardziej ta trudna, jak jesienna słota, deszcz, wiatr czy śnieżna zawieja. Trzeba tu powiedzieć, że J. Chruśliński niemal po mistrzowsku oddaje wszystkie jej kaprysy, nastroje, załamania. Pod jego piórem staje się ta przyroda niemal żywą istotą, czującą, a nawet współczującą, gdy tak wiernie towarzyszy żołnierskim zmaganiom. Zmaganiom, które rozciągają się przecież na długie lata; ile trzeba więc wykrzesać z siebie cierpliwości, ale i nadziei, że koszmar wojny się skończy.

W ogniu tych wszystkich żołnierskich zmaganił miłość do ojczyzny – jak pisze autor – rodziła się sama; potęgowała ją tęsknota za utraconymi marzeniami, za rodziną, za dawnym, spokojnym i szczęśliwym życiem. Widok hitlerowskich mundurów stawał się coraz trudniejszy do zniesienia. Chęć odwetu za zbrodnie pojawiała się samorzutnie.

Książka J. Chruślińskiego wiernie oddaje tę całą panoramę odczuć, nastrojów, emocji, także codziennych trosk i zmaganił narodu uwikłanego w okrucieństwo wojny. I choć minęło już tak wiele czasu od tragedii, jaką była dla ludzkości II wojna światowa, to jakże istotnym staje się ustawiczna pamięć o tych, co oddali swoje życie za wolność. To wobec nich moralny obowiązek.

Jan Chruśliński, *Od zmierzchu do świtu*, Kielce 2024.

W ogrodzie słów

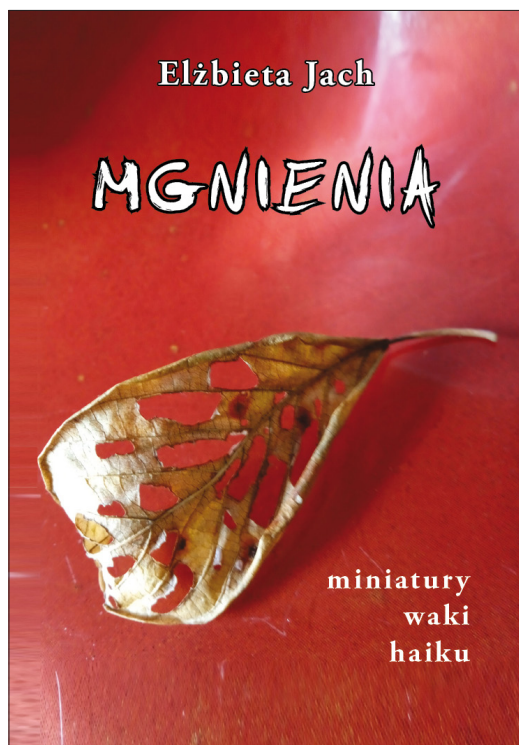
Do swojego bogatego dorobku literackiego Elżbieta Jach dołączyła dopiero co wydany zbiór

zawierający miniatury, waki i haiku. Nosi tytuł *Mgnienia* i wskazuje, że będą to utwory krótkie, niemal lapidarne, jednym słowem coś, co trwa jak „okamgnienie”. Mimo woli przypomina się wiersz Daniela Naborowskiego mówiący o tym, że nasze życie jest zaledwie „czwartą częścią mgnienia”, bo tak kruche jest i ulotne.

Poeci przekonali się niejednokrotnie o tym, jak trudno wyrazić swoje myśli, uczucia, prawdę o życiu w krótkiej, zwięzłej formie, jak zmieścić się w wersyfikacyjnym rygorze tych niewielkich form narzucających już z góry określoną ilość wersów czy sylab. W sukurs przychodzi im tu tzw. niedopowiedzenie, a więc to, co zostaje w domyśle. I co więcej, jak sprawić, by znalazły się w tych wierszach tak trudne kategorie jak żart, humor, ironia, niekiedy sarkazm.

We wcześniejszych już tomikach autorka dowiodła, że dobrze sobie radzi z takimi formami, jak fraszka, satyra czy humoreska. W tym najnowszym tomiku największą jego częścią są miniatury. Z definicji gatunku jest miniatura poetycka „lapidarną i ascetyczną konstrukcją literacką” – to słowa autorki z zamieszczonych na końcu książki objaśnień dotyczących form zawartych w podtytule. Czytelnik ma możliwość skonfrontować je z samymi utworami, nawet zabawić się w liczenie wersów i zgłosek.

Spójrzmy zatem na miniatury Elżbiety Jach, ale najpierw przeczytajmy to, co pisze autorka w wierszu *Zamiast wstępu* będącym niejako mottem do zbioru:



Gdyby tak można było zawrócić czasu tryby,
powrócić do młodości, ludzi i miejsc szczęśliwych...

[...]

mieć znowu skrzydła mocne, okulary różowe,
gwiazdy nocami strącać, pomysłów pełną głowę!

Gdyby tak można było rzucić się pędem w nieznane...
nie bać, że straci się wszystko, jak piękny sen nad ranem...

Czas będzie miał swoje należne mu miejsce
w tym miniaturowym monologu. Wyłoni się
nieemożliwość wskrzeszenia tego, co już przeminęło,
odeszło. Dobrze, jeśli ostało się w pamięci. Oto
dopełnienie tych refleksji podmiotu lirycznego
w innym już wierszu, ujęte w piękny, artystyczny
sposób. Zacytuję ten utwór w całości:

Szarością wieczoru
czernią nocy
osłoniętą
wracam myślami
w przeszłość

Czasami długo
wędruję ścieżkami dzieciństwa
chodzę boso po łąkach
głaszczę kłosa zbóż
w krzewach bzu
za kapliczką się chowam...
Czasami wpadam tylko
na chwilę
na moment
na m g n i e n i e
by zaczerpnąć rodzinnego powietrza
by ułagodzić trzepot serca
by nie zapomnieć

Jakże zachęca ten wiersz, by podążyć za myślą autorki, nawet gdy w odniesieniu do współczesnego świata nie jest ta myśl optymistyczna. Zaświadczają o tym niektóre apostroficzne wiersze zaczynające się od smutnych, ale prawdziwych konstatacji: „Świecie okrutny, zepsuty, zły!” czy: „Współczesny człowieku,/ im więcej wiesz,/ tym bardziej jesteś zgubiony.”

Czas, zarówno ten obecny, jak i przyszły, rodzi zwyczajny ludzki strach przed ową „tajemniczą krwiożerczą Bestią”, a los, ten pisany dużą literą „kartami znaczoneymi gra/ oszukuje/ nęci marzeniami”.

Pojawiają się w tych refleksyjnych miniaturach aforyzmy, sentencje, maksymy spełniające niekiedy rolę podsumowania czy puenty, np.:

Drogi do szczęścia
czasem przez nieszczęście prowadzą...

albo:

Prawda nigdy nie zginie i hydrze głowę utnie...

Niektóre z miniatur są tak krótkie, że same
w sobie stają się sentencją czy maksymą, np.

Serce nie potrzebuje rozumu,
aby się zakochać,
ale odkochuje się dzięki niemu...

Te słowa to cała, wręcz znakomita, kwintesencja
miłości. A jeśli miłość, to i nieodzowna zazdrość.
Spójrzmy, w jak przewrotny, trochę ironiczny, trochę
żartobliwy sposób można ją wyrazić:

Co to jest zazdrość...
nie wiem...
Jest mi bardziej obca,
niż układ pokarmowy dżdżownicy,
bardziej odległa
niż siódmy księżyc Saturna...

Ale powiedz
– skąd ten czerwony szminki ślad na koszuli...

Następna część zbioru to *Waki*. Dobrze, że
autorka dała definicję tej, może mniej znanej, ja-
pońskiej formy wierszowanej. Musi ona zawierać
trzydzieści jeden sylab, według schematu 5+7+5
w części górnej i 7+7 w części dolnej. To chyba
już wyższa szkoła poetyckiej jazdy. Oto przykłady:

Znów upalny dzień.
Powietrze gorące drży,
jak skrzydła ważki.

Albo listki osiki.
Lęk bywa zaraźliwy.

Albo:

Dziś cieplejszy dzień.
Śnieg znika z pól, łąk i dróg.
Kwitnie przebiśnieg.

Zimy już się nie boi.
Jest odważny z natury.

Waka dzieli się, jak widać, na dwie części. Pierwsza jest raczej opisowa, druga refleksyjna, wynika-

jąca jakby z tej pierwszej i będąca uogólnieniem. Co istotne, zaskakuje nas często nieoczekiwanym wnioskiem. W sumie tylko pięć linijek, ale jakże dużo zawierających; może to jakiś superminiaturowy japoński „sonet”, skrótowy aż do bólu. Obie części waki są swoistą harmonią, scalają się w jedno.

Ale są też i „niewaki” – to dalsza część tomiku. Na pierwszy rzut oka widać, że nie mają części górnej i części dolnej. Czy ilość sylab się zgadza? Z czystej ciekawości możemy zabawić się w liczenie. Nazwę „niewaki” wymyśliła sama autorka na użytek swojego zbioru. Oto przykład tej nowatorskiej formy:

Ciemna noc dzisiaj.
Deszcz za oknem grymasi.
Księżyc gwiazd szuka,
przed chmurami ucieka...
Lubi czyściutkie niebo.

I ostatnia już część: haiku. To japoński utwór mający swój szablon – trzy wersy według wzoru 5/7/5. Oto przykłady:

Ulica mokra
Mróz nocą zetnie wodę
Będzie ślizgawka

albo:

Zimowe ptaki
na dębie stadnie siedzą
grzeją konary

I może jeszcze jeden:

Lód na jeziorze
błyszczą tafla srebrzyście
lustro księżycy

Ta forma to rzeczywiście „mgnienie”, błysk i przebłysk. Haiku to swego rodzaju słowna zabawa dworski żart. Rozsławił tę formę Matsuo Basho, japoński poeta wieku XVII. Co ciekawe, polscy poeci siedemnastego wieku (barok) pisali również wiersze bawiąc się słowem, prześcigając się w pisaniu kunsztownych, pomysłowych utworów. Słowo jest przecież przebogatym narzędziem dla poetów. Autorka tomiku *Mgnienia* znakomicie porusza się w ogrodzie słów, dodajmy, zaczarowanym ogrodzie. Może pomaga jej w tym malarska wyobraźnia, może obserwacja natury czy też inne jeszcze duchowe predyspozycje. Jej wiersze zarówno te z poprzednich tomików, jak i te z tomiku

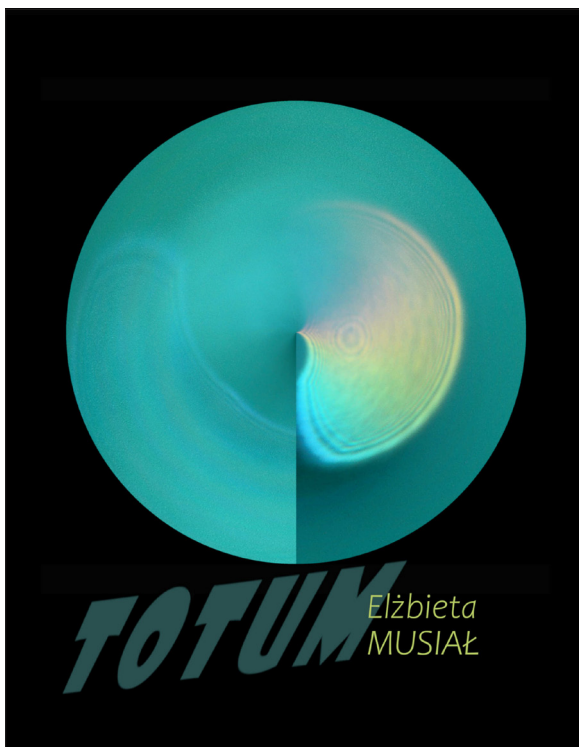
Mgnienia przynoszą zadumę nad urokiem świata natury, przyrody, ale i nad zagrożeniami, jakie są udziałem naszego kruchego i znikomego istnienia w tym świecie.

Elżbieta Jach, *Mgnienia. Miniatury, waki, haiku*; Ilustracje: Irena Nyczaj, Kielce 2025, wydanie pierwsze, s. 145, ISBN 978-83-66538-89-4.

Algorytmy naszego istnienia (O poemacie *Totum* Elżbiety Musiał)

Poemat *Totum* Elżbiety Musiał to swoista mowa żywiołów, tych, co zastygłe w milczeniu kamienia, i tych, co żywe, stale obecne, nieprzemijające. A w środku tych żywiołów zmagający się z nimi i ze sobą człowiek. Istota zbyt złożona i jednocześnie zbyt prosta. Od prawników pytająca o swoje istnienie, tak nikłe, że niewidoczne prawie. Co po nim zostanie, może tylko krótkotrwała pamięć albo „ślady na piasku i kręgi na wodzie” – jak pisze autorka, przywołując tu frazę z wiersza Staffa.

Strofy o przemijaniu i znikomości istnienia mają swój kontekst, np. filozoficzny, gdy poetka zastanawiając się nad jednym z tych żywiołów – jest nim woda – przywołuje Heraklitowe słowa i, co więcej, stawia przed nimi jakby znak zapytania, zauważając: „w kontekście dziejów, / zwłaszcza nowych – nawet rzeka przemija. Tym razem / nie napłyną inne wody – tylko ten cień, tylko cień



wody”. Starożytny mędrzec nie mógł przewidzieć coraz to innej postaci przemijania świata.

Jedna z części poematu nosi tytuł „Przestrzeń”. To też jeden z żywiołów – starożytni nazywali go powietrzem. Ma swoją magię, irracjonalną, bo niezgłębioną. Podmiot liryczny usiłuje zmierzyć się z tą wielowymiarową przestrzenią: „Wchodzę w nią, a ona nieustająco we mnie”. To swoiste przenikanie, wzajemne sycenie się sobą. Przestrzeń jest przecież wszechobecna: „i gdzie się w proch nie obrócisz ONA jest”. Powstaje pytanie, czy zamiarem autorki było wyrazić to wszystko, co wokół nas i co w nas samych? Tytuł poematu *Totum* (z gr. całość) wskazuje na tę złożoność naszej egzystencji w świecie. Nasz byt, aczkolwiek znikomy, ma wiele barw i odcieni. Każda chwila, każdy dzień przynosi coraz to inne doznania, przeżycia czy przemyślenia. Ich bogactwo pulsuje w nas, zatrzymując w pamięci minione. Apostrofą właśnie do tej przemożnej siły, jaką jest ludzka pamięć, rozpoczyna autorka kolejną część poematu.

Po wielokroć ONA, nieodgadniona nawet dla siebie.
Otworzy chwilę. Wyjmie westchnienie z przestrzeni,
nuty jak z katarynki popłyną.

Starożytna bogini pamięci Mnemozyne z zadowoleniem wysłuchałaby pełnych uznania fraz:

Emanacja pragnienia,
emanacja zwątpień,
emanacja zdarzeń.
Summo emanacji.
Rachunku sumienia –
miej choć odwagę pamiętać.

Niektóre fragmenty poematu przybierają postać ody lub hymnu. Ale poemat ma to do siebie, że jego pewne akapity mogą zaistnieć samodzielnie. Tak jest i w części zatytułowanej *Myśl*. Z definicji jest myśl wytworem naszego umysłu, aktywnym ruchem neuronów. Jak w poetycki sposób wyrazić to wszystko, co zawiera w sobie myśl i czym w istocie swej jest? Oto wspaniała jej kwintesencja:

Nie, wodą nie jesteś,
a przelewasz się z pustego w próżne.
I bujasz w obłokach jak na zawołanie,
w nieznane przenosisz to tu, to ówdzie,
bez wysiłku. Roztrząsasza wątpliwe
i co leży na sercu, bezkarnie dociekasza,
do czasu bezkarnie.

I jeszcze fragment kończący tę niezwykłą odę do myśli, ale już przeniesioną w przeszłość:

Myśl – czy wykona skok kwantowy?
Cogito ergo sum. Wyobraźnia czy
logika dyktuje pytania?
I która pierwsza przed drugą.

Anima – to fragment poematu, który ukazuje, że pojęcie duszy czy też filozofia duszy jest znacznie trudniejsza niż filozofia przestrzeni, pamięci, myśli, nawet kamienia. Czy dusza istnieje, a jeśli tak, to czy jest nieśmiertelna – pytanie zadawane od dawien dawna. W każdym razie na pewno zaistniała w filozofii i w poezji. Mottem do *Anima* są słowa z wiersza Szymborskiej *Trochę o duszy*. Dusza – to temat wdzięczny dla poetów, pamiętamy przecież upersonifikowaną duszę młodopolskich twórców i nie tylko.

„Być całą sobą – to nie takie proste” – tymi słowami zaczyna się tytułowa część poematu. Jak trudno niekiedy być sobą, całą sobą, gdy jedna część tej całości zмага się z drugą. Ale być całą sobą – znaczy coś więcej dla podmiotu lirycznego. To odczuwać świat na sposób niemal mistyczny czy metafizyczny, podziwając go i wiedząc, że „niepodobna stworzyć coś bardziej niż błękit i konstelacje gwiazdne zawieszone nad podziw”. Fascynacja strukturą świata ma tu wymiar panteistyczny, wynosi świat do sfery sacrum. Zwracają uwagę motywy, toposy: ogrodu, róży, łąki, cienia. Poprzez swoją symbolikę ukazują łączność człowieka z naturą, z kosmosem. Wzajemne przenikanie tworzy jedność i całość. Ta swoista symbioza ma moc ocalającą. Spójrzmy na poetyckie apostrofy wskazujące na tę jedność:

Zajrzyj w moje oczy, fraktalu róży,
Zajrzyj w moje oczy, boski ogrodzie.
(...)
Zajrzyj w moje oczy kosmosie –
czy jestem równa tobie?
Unus mundus – jak na górze, tak i na dole.
Jeszcze tylko stawić czoło własnym cieniom
– cokolwiek by to miało znaczyć.

„Być całą sobą” znaczyłoby tu również, jak pisze poetka, „stawić czoło własnym cieniom”. Motyw cienia, nazwijmy go archetypem (idąc za filozoficzną myślą Junga) jest czymś, co istnieje w naszej podświadomości – to jakby ciemna strona naszej psychiki. Chcemy ją ukryć przed światem i przed sobą.

Jak się okazuje, najtrudniej poznać samego siebie i co więcej – mieć świadomość tego poznania. Nieprzypadkowo autorka zaczyna swój poemat od starożytnej maksymy: „temet nosce”, czyli poznaj samego siebie, widniejącej na frontonie świątyni Apollina w Delfach.

Ostatnia z dziewięciu części poematu to *Liczba*. Obecna niemal wszędzie, towarzyszy nam od zarań dziejów. Autorka w poetycki sposób ujmuje rozważania filozofów na temat teorii liczb. W tej nieco matematycznej części nie zabrakło i humoru:

Weźmy algorytm zero-jedynkowy tak tak nie nie
– nawet on zaczął odpowiadać słowami
naszego świata. Powtarza: na początku było słowo...
Lecz czy słowu wierzy? Tylko patrzeć,
jak bez suflera będzie pisał
własne pi-ematy. Zacznie od
wybuchu wielkiego? Potem
chaos dotknie liczbą **fi**
niczym palcem bożym
i nakręci spiralę porządku?
W sukurs przyjdzie **pi**, może nawet
starczy przestrzeni dla liczby nieodkrytej jeszcze,
założmy, że z tendencją do dekadencji, dla równowagi.
A jeśli ona i bez naszej wiedzy już jest jako ten wzór,
na przykład w regule kamienia, który o tym milczy?
Bo cóż by mu przyszło z naszych rozmownych słów,
owszem, w ekfrazach biegłych?
A czy pragnienie ugasi nimi rzeka?
Chyba że SŁOWO wyobraźnią jest
i zarazem przemożnym pragnieniem.

Liczbo, nie patrz tak na mnie
niczym bezimienny fraktal
z wróżebnych kart.

Ale tę liczbę, albo też liczby, co „rozsiadły się w kosmosie”, przeciwstawia autorka słowu (słowom), bo przecież „Na początku było Słowo, / a słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo”. Dokąd prowadzi ta konfrontacja, co będzie, jeśli „to liczba wybiegnie przed szereg”? Podmiot liryczny (poetka) pewnie zaufałyby bardziej Słowu, co w zasadzie jest zrozumiałe. Tak o tym pisze:

Zawczasu uprowadzam z siebie, co nieśmiertelne.
Zagięłam parol na SŁOWO. Jego wnętrze, lustra,
widma – otwieram księgę. A jakbym
nie drogę wybierała słowu, a percepcję.

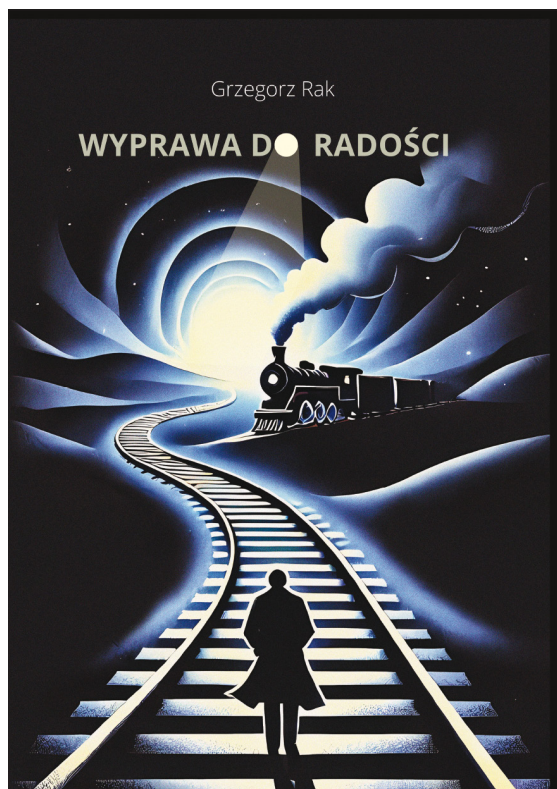
A trzeba tu dodać, że obcując ze Słowem, wybrała spośród wielu jego odcieni i znaczeń te najtrudniejsze i doskonale sobie radzi w tym – dziś już

rzadziej spotykanym – gatunku, jakim jest poemat. Przywróciła go do łask i ożywiła, wnosząc tematy, pojęcia sobie niejako przeciwstawne, jak np. ciało – dusza, życie – śmierć, byt – niebyt, cisza – chaos, cień – światło. Taka opozycja zanurzona w metafizycznej, niekiedy mistycznej aurze ma swoją symbolikę. Oddaje nie tylko sferę naszego istnienia, naszego bytu, ale i sferę ducha. I co warte szczególnego podkreślenia, to że zarówno ten poemat, jak i poprzednie urzekają pięknem poetyckiego słowa. Poemat *Totum* nazwałabym liryczno-metafizycznym, to wspaniały tekst do aktorskiej recytacji, a połączony z grafiką poetki oraz tłem muzycznym byłby niezapomnianym przeżyciem.

Elżbieta Musiał, *TOTUM*, grafiki, projekt okładki i skład – Autorki, wydanie własne 2025, s. 56, Drukarnia COMPUS w Kielcach, ISBN 978-83-972321-2-9

Czas miniony i czas obecny w powieści Grzegorza Raka

Wyprawa do Radości to już czwarta powieść Grzegorza Raka. Rozpoczyna ją *Prolog* będący w niemałej części ładną poetycką prozą – jej niema, ale, jak się okaże, wiele mówiącą bohaterką jest noc: „Duszna a zarazem pogodna, upalna a także mroźna, cicha a jednocześnie wrzaskliwa. (...) Stanisława wciągnęła owa noc pełna zaskakującej magii. (...) Wciśnięty



w kolejowy fotel w pustym przedziale przymykał oczy i wypełniał przestrzeń duchami przeszłości.”

Wyprawa do Radości będzie więc wycieczką w przeszłość jej bohatera: Stasia, Stacha, Stanisława wreszcie, bo widziana już z perspektywy dojrzałego mężczyzny. Literacka konwencja podróży jest tu pretekstem do metaforycznego przedstawienia ludzkiego życia, jego rozwoju, poszukiwania sensu i tożsamości. To centralny element fabuły. Podróż (zwłaszcza nocą) w rozkołysanym pociągu osobowym lub bardziej komfortowym pospiesznym, mijane kolejne stacje, wsiadający i wysiadający pasażerowie (i inne jeszcze podróżne niuanse) będą samorzutnie przywoływać wspomnienia. Zmieniał się będzie ich czas i tło. Czytelnik nadążając za bohaterem będzie przenosił się w coraz to inne miejsca, od Sosnowca aż po plażę Bałtyku. Pozna realia PRL-u, tego z czasów Gomułki, jak i tego późniejszego z okresu Gierka. W zatłoczonym pociągu mając bilet drugiej klasy usiądzie na drewnianych ławkach (kto jeszcze takie pamięta!) zadowolony, że znalazł miejsce. Może wyjdzie na korytarz, by nie czuć dymu i potu. PRL-owska codzienność pokazana zostanie tu jak na dłoni. Pełna absurdałnych zakazów i nakazów, zgrzebna, ale też pełna świetlnych haseł i idei. I ludzi – na swój sposób nieźle sobie radzących w tamtej, już odległej rzeczywistości. W konfrontacji z obecną może okazać się w wielu aspektach nie taką straszną.

Trzecioosobowy narrator przywołuje wspomnienia należące do dwóch światów: tego z okresu PRL-u i tego z czasu transformacji ustrojowej. Te dwa światy przedzielone pozorną, jak się później okaże, cezurą Solidarności były wprawdzie różne, ale obydwa trudne, a każdy na swój sposób nieprzyjazny dla wrażliwych i uczciwych ludzi. Oto jak je widzi bohater powieści:

„Dawniej, w pierwszym z systemów, w jakim żył Stach, liczył się plan. Tony. Normy, ich przekraczanie. Przekraczanie zdrowego rozsądku, rachunku ekonomicznego, niszczenie zapału, niszczenie zdolności jednostek. Udupianie ludzkiej inicjatywy w zarodku. Największym wykróceniem w tamtym świecie było odstawanie od reszty – indywidualizm. Całe grupy ludzi obrzydzały życie każdemu i wszędzie. W imię równości, w imię bylejakości wszystkich i wszystkiego.

W tym drugim z systemów, kapitalizmie, zgodnie z nazwą najbardziej liczy się kapitał. Bogiem jest zysk go powiększający. Pieniądz. Wartość człowieka jest tym większa, im więcej zdoła zgromadzić, zarobić

kasy. (...) Gromadzenie i konsumowanie, konsumowanie i gromadzenie – oto sól tego systemu”.

Większość czytelników zna te światy z autopsji; w nich żyła i podobnie jak bohater powieści zmagająca się z czasem i historią.

W kreacji bohatera powieści, jak i też innych postaci, możemy doszukać się fragmentów biografii autora. Podobnie jak i w debiutanckiej *Miłości w Rzeczniowie*. Sprawdza się tu zdanie historyków literatury, że tworzywem dla pisarza jest najpierw jego biografia, potem dołączają się już inne składniki dzieła, jak np. fikcja literacka wynikająca z wyobraźni twórcy. Narrator powieści jest bardzo bliski bohaterowi, wyraża jego uczucia, emocje, poglądy i refleksje jakby był nim sam. Co pewien czas świadomie się ujawnia, mamy wrażenie jego obecności.

Etapy życia bohatera (Stasia, Stacha, Stanisława) rzucone są tu na szerokie tło społeczne, obyczajowe, także i polityczne. Lata dzieciństwa i wczesnej młodości (pojawia się w nim Rzecznio) jawią się jak niemal arkadyjskie w porównaniu z dorosłym już życiem, trudnym, skomplikowanym, ale dynamicznym, pełnym energii i witalności. Zagłębiając się w owe przeżyte chwile dzieciństwa i młodości, i widząc je oczami bohatera zauważamy, że były one czymś najlepszym, co mogło się zdarzyć. Najlepszym, ale nie w porę docenionym.

Tę powieść czyta się również dla psychologicznej prawdy w oddaniu całej złożoności życia rodzinnego, dorastania i dojrzewania, wchodzenia w dorosły świat, a w nim szukania siebie, swojego miejsca, swojej przyszłości. Nie zawsze się to udaje, bo rzeczywistość jakże często jest nie do zaakceptowania. Bohaterowi w tej magicznej, niemal mistycznej podróży towarzyszy zaduma nad sensem życia, nad egzystencją jednostki w świecie. Topos podróży ma również wymiar duchowy. Bohater szuka sensowności bytu, pragnie jego afirmacji.

Ta quasi-biograficzna odyseja zbliża się już do końca. Kolejowy megafon zapowiada stację Radość. Bohater zostawia za sobą, dosłownie i metaforycznie, cały swój bagaż. Może zbyt ciężki. Wsiądnął z owego pociągu z pewną dozą optymizmu. Jakby z ciemnego tunelu wychodził na spotkanie czegoś, co będzie światłem, a nawet blaskiem.

Grzegorz Rak, *Wyprowa do Radości*, Kielce 2025, wydanie pierwsze, s. 256, ISBN 978-83-972321-3-6.

Krystyna Cel

Julia Grzodecka

Gdy proza śni o wierszach

Kilka dni temu do moich rąk trafił nowy zbiór opowiadań *Dobro-Dziej* Joanny Nowocień, którą znałam do tej pory przede wszystkim z kilku tomów znakomitej poezji. Tym razem Autorka nowatorsko eksploruje konwencję krótkiej prozy, inkorporując poezję do struktury tekstowej. Ta wielowymiarowa konstrukcja narracyjna zgrabnie łączy elementy liryzmu i dramatyzmu z głęboko humanistycznym spojrzeniem na ludzką kondycję. Każde opowiadanie kończy się wierszem dopełniającym kompozycyjną symetrię, co znakomicie zachęca do wielopoziomowej interpretacji, gdzie metaforyczna warstwa wiersza wzmacnia narracyjną głębię tej podwójnej konstrukcji (opowiadanie plus wiersz).

Nim przyjrzymy się kilku wybranym utworom, warto zwrócić uwagę na motto Platona patronujące całemu tomowi: „Najwyższym dobrem jest nie tylko czynić dobro, ale stać się dobrem”. Podążając za tym słynnym powiedzeniem Autorka prezentuje niezachwianą wiarę w Dobro, rozumiane jako empatia wobec wszystkich istot. To również ciepłe, wypełnione najgłębszą miłością zrozumienie dla ich życia, nie zawsze łatwego czy oferującego oczywiste



wybory. Toteż nie dziwiło mnie, że tytuł książki został zaczerpnięty z tekstu *Dobro-Dziej*, w którym bohaterowie snują teozoficzne rozważania nad pojęciem dobra i zła sugerując, że „dzianie się” dobra może obudzić w każdym z nas boski pierwiastek. Autorka głęboko wnika w emocje, motywacje i intencje swoich bohaterów, nie unikając przy tym nieoczywistych rozwiązań fabularnych czy bliższego spojrzenia na ludzkie problemy, które w wymiarze indywidualnym mogą osiągnąć rozmiary doczesnej tragedii. Jednak bohaterowie poszczególnych opowiadań nie tylko okazują empatię, zrozumienie i współczucie spotykanym na swej drodze ludziom, lecz wychodzą poza granice codziennego komfortu. Swoimi wyborami udowadniają czytelnikowi, że dobro to nie tylko wyuczone gesty i słowa, lecz najgłębsza potrzeba duszy. Autorka niezmiennie traktuje swych bohaterów z najgłębszą życzliwością, a meandrując przez zaskakujące nieraz zwroty fabularne i zabiegi formalne stara się ich przeprowadzić przez życiowe zakręty na „jasną stronę mocy”, jakkolwiek ją rozumiemy. Nie oznacza to oczywiście, że każda historia kończy się emblematycznym happy endem – czasem wystarczy zrozumienie własnych emocji (*Stokrotki*) lub piękny, krzepiący sen (*Różowy rowerek*).

Zatrzymajmy się na chwilę przy opowiadaniu *Różowy rowerek* – narracja przekracza tu granice klasycznego realizmu dzięki introspektywnej narracji pierwszoosobowej, a zastosowanie reminiscencyjnego palimpsestu generuje napięcie fabularne, także poprzez nakładające się na siebie emocjonalnie gęste retrospekcje. Symbol różowego rowerka jako środka komunikacji między światem żywych i zaświatami wprowadza oniryczną poetykę, charakterystyczną dla Schulza i realizmu poetyckiego Cortáзара.

Z kolei w opowiadaniu *Stokrotki* odnajdujemy impresjonistyczną poetykę koncentrującą się na krótkotrwałości emocji oraz zmysłowym przedstawieniu rzeczywistości. Odkrywamy tu nieoczywiste interakcje między dzieckiem a dorosłym, zaś motyw serca ułożonego z kamieni pełni funkcję ekwiwalentu semantycznego, co podkreśla powszechną ludzką potrzebę akceptacji. Metaforyczne znaczenie przedstawionej tu relacji przenosi jej rozumienie na głębszy poziom i przekształca tekst w opowieść o empatii, która może zawiązać się między bohaterami mimo wszelkich dzielących ich psychologicznych i fizycznych barier. Jak już wyżej wspomniałam, w takich właśnie sytuacjach fabularnych widać szczerą sympatię Autorki do swoich bohaterów

i jej głęboką wiarę w Człowieka, rozumianego jako uniwersalny wehikuł wartości, niosący w sobie epifaniczny depozyt Dobra, wbrew wszelkim ograniczeniom nakładanym przez umysł, tradycję, przeszłość i wychowanie. Widać to doskonale we wspomnianym opowiadaniu *Dobro-Dziej*, gdzie Joanna Nowocien potwierdza swoją mistrzowską władzę nad emocjami czytelnika, nie stroniąc od odważnego poszukiwania nowych dróg literackiej ekspresji i zgrabnie unikając zgranych klisz narracyjnych – któż bowiem spodziewa się, że groźny złodziej jest tak naprawdę nie tylko pociągającym, eleganckim mężczyzną, o którym marzyć może niejedna kobieta, ale i solidnym dżentelmenem „starej daty”?

Zwróćmy też życzliwą uwagę na *Motyle*, gdzie tradycyjny temat pragnienia i rozczarowania jest ograny w sposób niemalże rewolucyjny. Kobieta znajduje schronienie w świecie poezji, który – pełniąc eskapistyczną funkcję świata osobnego, prywatnego i jakże intymnego – gruntownie przekształca jej tożsamość. Ten tekst należy do literatury autotematycznej, ponieważ twórczość poetycka przyczynia się tu do redefinicji jaźni bohaterki i jej spojrzenia na świat codzienny. Pomieszczony na końcu opowiadania wiersz wybornie puentuje przemianę wewnętrzną bohaterki i dzięki temu staje się fascynującym studium świadomości poetyckiej.

W swoich utworach Autorka łączy zarówno lirycznie intensywne narracje, jak i teksty satyryczne, takie jak *Kieliszek jadu*. Ta z kolei historia bada granice groteski, przedstawiając literacki portret artystycznej próżności i rywalizacji. Jej humorystyczny styl przypomina prozę Gombrowicza, a społeczne maski funkcjonują tu jako pretekst do ciekawych zabiegów formalnych. W tej narracji wiersz pełni rolę kontrapunktu prozy poprzez wyrażenie dramatyczną ekspresję, która kontrastuje z ironiczną stylizacją opowiadania i pokazuje wielowarstwowość narracyjną strategii autorskiej przyjętej przez Joannę Nowocien.

Cały zbiór opiera się na mocnej podbudowie filozoficznej i nie chodzi tu tylko o motto zaczerpnięte z rozważań znanego myśliciela. Nawet tak krótkie opowiadanie jak *Pytanie*, pozornie banalne w treści, bada problematykę istnienia przez zanurzenie się w literaturze kontemplacyjnej. Analiza pytania o płaczącą marchewkę prowadzi do fenomenologicznej refleksji nad bytem, zaś Autorka nie unika niejednoznaczności, pozwalając czytelnikowi interpretować tekst według własnego zrozumienia.

Dzięki oczywistej warsztatowej biegłości językowej i precyzyjnej konstrukcji fabuły Joanna Nowocień ze swobodą wykorzystuje bogaty wachlarz technik literackich obejmujących między innymi delikatne paralelizmy, świadome konstrukcje rytmiczne oraz skuteczne budowanie napięcia dramatycznego. Czytelnik z przyjemnością wnika w strukturalne ramy fabuły i uczestniczy w estetycznym doświadczaniu tekstu dzięki jego wewnętrznej harmonii, spójności i bogactwu środków artystycznego wyrazu. Jest to najbardziej widoczne dzięki pozostawianiu przestrzeni do własnych dociekań nad tekstem. Tego rodzaju konstrukcja fabuły

wynika, moim zdaniem, z faktu, że Autorka jest przede wszystkim poetką. Dzięki temu narracyjny rdzeń jej opowieści gładko łączy się z szerokim polem interpretacyjnym, charakterystycznym dla dojrzałej, świadomej swej mocy liryki, a czytelnicy poszukujący piękna języka oraz głębokiej refleksji znajdą w tej książce wszystko to, czego oczekują od literatury najwyższych lotów.

Joanna Nowocień, *Dobro-Dziej*, Kraków 2025, s. 72, ISBN 978-8111-83-384-7.

Julia Grzodecka

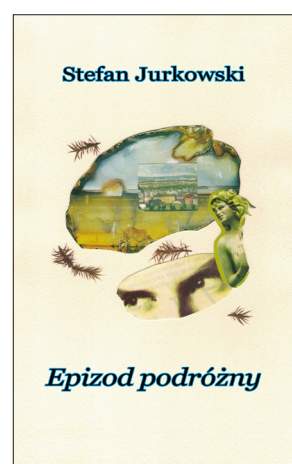
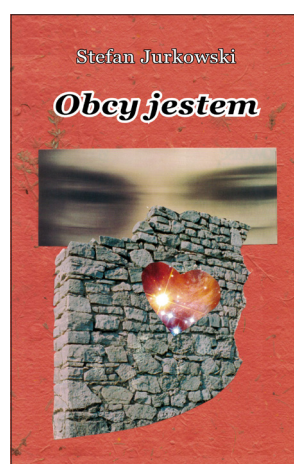
Andrzej Gnarowski

Poezja świata adogmatycznego

Obcy albo Człowiek szczęśliwy
Camus

Na biurku przede mną leżą dwie książki poetyckie Stefana Jurkowskiego *Obcy jestem* (2020) i *Epizod podróży* (2023) wydane w Oficynie Wydawniczej „STON2”, która należała do nieodżałowanego Staszka Nyczaja, jego żony Ireny i syna Pawła. Mogę śmiało powtórzyć za Elżbietą Musiał, że poeta „dzieli się z nami jednym z największych, odkryć: „światło wewnętrzne” wciąż świeci mimo upływu lat, to tylko gaśnie świat zewnętrzny, zostawiany w drodze za sobą”. I że to symboliczna, metaforyczna synteza artystycznych, twórczych możliwości poety. „Obcy jestem”, ale Człowiek szczęśliwy – twierdził Noblista. Natomiast młoda poetka, którą poznaliśmy na Międzynarodowej Jesieni Literackiej Pogórza – Kaja Cyganik napisała: „Śmierć własnego świata zawsze warunkuje powstanie nowego. Pisząc wiersze nigdy nie byłam szczęśliwa”. Można przyjąć, że wyznanie poetki opiera się w gruncie rzeczy na rusztowaniu myślowym dość tradycyjnym – wliczając w to osobowość kobiecej psychiki wyprowadzając z tego typowe wnioski poetyckie.

Poetę Stefana Jurkowskiego postrzegam jako Człowieka szczęśliwego – krocącego po nowym gruncie życia – na którym od jakiegoś czasu tka swój przyszły los. Można dopatrywać się przepychu wokół tego, co właściwie jest jedynie sprawą dusz. Sprawą, która należy do świata idei. Do świata idei należy także nasz dom, bo „kiedy znowu światło



wstaje/ udajemy się do zwykłych zajęć/ bo wszystko takie jasne/ bo wszystko takie zwyczajne”. „Coś takiego jest w poezji, że nawet gdy mówi o bólu i żalu, jeśli to robi w sposób idealny, chcemy to czuć na okrągło” – to cytat z Anny Janko.

Dlatego świat adogmatyczny w poezji Jurkowskiego – to świat przestrzeni przejściowej, niejako próbnej, a przez to negocjującej wszystko, co za chwilę może nabrać kształtu.

„Trzeba wyliczyć i zmierzyć matematycznie niejedną rzeczywistość i niejedną fikcyjną przestrzeń, zanim się człowiek jako myśliciel zbliży do problemu przestrzeni. (...) Ale też problem przestrzeni, jako czyste zagadnienie myślowe, nie wydaje się w istocie przedmiotem, nad którym człowiek mógłby trwać pracą i latami”. (Hesse).

A lata potrafią wnikać w obszary ducha – w obfite przyjemności życia – w uroki w sztuce i naturze. Można się w niej rozpościerać do woli. A u Jurkowskiego – pełny oddech wiersza, gładki i chropawy – zmienny jak pory roku. W których można zanurzyć się jak w zwierciadle nadziei, miłości i wiary. Poeta wierzy w potęgę miłości – wie, że po burzy słońce rozdziela chmury, a z serca

uciekają zwątpienia i lęk. Kolorowa tęcza wspina się na niebo...

Ale ja miałem mówić o syntezie sztuki dokonującej się – tu i teraz. Wiemy, że od podstaw życie wymaga ustawicznego pogrążania się we wszechogarniającym się morzu słów.

Ale „cóż po poecie w czasie marnym” (to z elegii Hölderlina). Myślę, że jednak „poeci czasu marnego” muszą z rozmysłem tworzyć poetycko „istotę poezji”. Na pytanie, czym jest poezja Jurkowskiego w „czasie marnym” istnieje prosta odpowiedź – jest kopalnią dla filozofów. Doszliśmy tą drogą do punktu, który jest fundamentalnym paradygmatem filozofii: „Poetycki nastrój budowany jest tu również symbolicznie: dzięki krajobrazom, a także detalom codzienności. Pejzaż niesie tu niemal zawsze filozoficzne konotacje, czasem emocje – nigdy nie pozostaje natomiast czysto estetycznym szkicem. W pierwszych tomikach bywa centralnym motywem wiersza, z którego wyprowadzane są nawiązania filozoficzne. (...) Stopniowe wzmacnianie filozoficznego wymiaru pejzażu przyczynia się do eliminacji szczegółów obrazu i eksponowania znaczeń symbolicznych”. (Anna Maria Musz, *Alfabet poezji Stefana Jurkowskiego*).

Jurkowski od lat jest poetą, którego los umieścić w pierwszym rzędzie: pozostało mu tylko nie wypaść z obranej drogi: może nie najbezpieczniejszej, lecz najprostszej:

wypadłem i lecę w dół albo w górę
obok mnie
imię i nazwisko znam je
ale nie mogę znaleźć
drogi stąd dotąd
obcy jestem
(*Amnezja z tomu Obcy jestem*)

Jurkowski jest poetą od pięćdziesięciu sześciu lat. Myślę, że od tamtej pory sprzedaliby duszę diabłu za każdy następny wiersz – znamy się przecież jak dwa łyso-konie.

Słyszałem, że Petrarka potrafił pisać, podróżując na koniu (z tego, co mi wiadomo Jurkowski nigdy nie dosiadał wierzchowca – jedynie konia skrzydlatego jako symbolu polotu poetyckiego), ale w swoją pracę wkłada tyle starania, subtelności, co we wszystkie inne działania dotyczące materii poetyckiej.

W roku 2020 trafił do rąk czytelników tom wierszy *Obcy jestem*. A tak naprawdę cóż wiemy o sobie samym i co w ogóle ludzie wiedzą o sobie?

Natura, kultura i cywilizacja – to są żywioły miotające człowiekiem na wszystkie strony i gdzie by nie zwrócił spojrzenia tam musi trafić na sprzeczności. Człowiek właściwie pozostaje sam. Może tylko noce pełne miłości bywają wyjątkiem (kobiety i mężczyźni powinni być jednym ciałem – a nawet jedną Duszą). Według tradycji szamańskiej dusza nie zostawia śladów w cieple domowego ogniska, lecz chodzi bezszelestnie – czasem przybiera kształt pszczoły. Może właśnie trzeba iść za głosem natury, głosem emocji – wtedy poeta dostrzega wąską szczylinę między poetą a światem (zapatrzony w słowo jak w słońce). Oto refleksja z wycieczki do muzeum (s. 39) pojmując kompetencje kreacyjne sztuki w duchu rzeczy ostatecznych:

patrzcie i podziwiajcie
to był wielki poeta
(...)
nic dziwnego był już słoneczkiem ludzkości
ale wyrósł wchłonął światło w siebie
popatrzcie młodzieży i weźcie za przykład

Tak naprawdę (nie ośmieliłbym się) nazwać Jurkowskiego poetą „bezwstydny” – przecież tyle wierszy erotycznych napisał – ale to tylko liryka stała się projekcją życia oglądanego przez pryzmat płci – miara istnienia wpisana w pragnienia miłosnego pojednania. Ktoś mógłby zapytać: jaka to tonacja? Ale ja wiem, że natura jest pierwotna – antycypuje nas, kiedy do kultury i cywilizacji musimy dojrzeć:

a kiedy jestem zamknięty w tobie patrzę
na świat i na siebie poprzez twoje oczy
jak na obrazy które zostały daleko na zewnątrz
(*Szczeliny z tomu Obcy jestem*)

Trzeba wierzyć, że w tym szaleństwie, w tym dążeniu do spełnienia kryje się jakaś logika – i że bez kobiecego pierwiastka życie nie miałoby sensu...

W drugim tomie *Epizod podróżny* (2023) w wierszu otwierającym pt. *Dekalog mój* znajdujemy coś jakby deklarację z pogranicza liryki wizyjnej:

nie będziesz miała nikogo przede mną
(...)
bo jesteś moja – niczego też nie będę uzgadniał
z jakimś wąsaczem brzuchaczem czy innym
gładko wygolonym szczurkiem
od razu obronię nasz świat pięścią w mordę
nożem lub naganem

Widzimy jasno, że autor dekalogu nie traci swej podmiotowości – pogrążony w wirze czasu teraźniejszego – i jest mocno zatrwożony ogarniającym świat szaleństwami (może to sfera owych niuansów biografii tworzących inną skalę dramatu poetyckiego?).

Tak też bywa – w istocie nie doświadczamy nigdy owego „tu i teraz” – nie jesteśmy całkowicie poza przeszłością i przyszłością: jeżeli uda się nam pogodzić sprzeczne żywioły – odnajdziemy żywe, wrażliwe obszary autentycznego istnienia. Wiersz *Awers i rewers* jest tego wyśmienitym przykładem:

z cmentarza w miasteczku pilica
widać klasztor z przysadzistą sygnaturką na dachu –
grobowiec ciągle żywych nadziei

Mam poczucie, że wszystko to było dawno, dawno temu – a może to tylko pamięć odziedziczona w spadku widzi siebie odbitego w zwierciadle prawdy? W książce Anny Marii Musz *Poeta i przestrzeń* jest znakomity wywiad (najlepszy, jaki poeta udzielił kiedykolwiek), w którym jakby zobaczył w osmozie przeszłości i teraźniejszości tę szczęśliwą stronę człowieczej egzystencji. Nie ma ucieczki od pamięci, tak jak nie ma odwrotu od siebie. Żeby wspomnieć Pilicę potrzeba przywołać chwile odbite w zwierciadle czasu – czytamy:

„Z Warszawy do Kaśnej Dolnej z Grażyną i Andrzejem Gnarowskimi, z Krysią Konecką”. Przez kilkanaście lat jeździliśmy wspólnie na Międzynarodową Jesień Literacką Pogórza (organizatorem był Andrzej Grabowski – poeta, pisarz dla dzieci, dziennikarz, felietonista, wydawca i w końcu Kawaler Orderu Uśmiechu). Wyjeżdżaliśmy z Warszawy na kwadrans przed wschodem słońca – kiedy niebo lśniło przeźroczystym rozszczepionym światłem rzucając blask jakby przepuszczony przez czarną mgłę. Podziwialiśmy poetę w roli kierowcy Poloneza. Było coś somnambulicznego w jego posągowej postaci – w jego roztopionym wzroku, kiedy to: „modlitwy romansują z przekleństwami”. Pewnego razu zdarzyło się (bo zdarzyć się mogło) zostaliśmy „przyłapani” przez urządzenie radiolokacyjne zwane radarem – i nie było ucieczki w „zaprzesze”, bo być nie mogło (ani w podobne fantasmagorie). Poeta w roli kierowcy złapanego na gorącym uczynku – nie przejawiał zbytnej nerwowości – raczej pewne zrozumienie (jakby dawał pełen asumpt poetyckiej filozofii). A przed nami rozpościerały się pola rzepaku wybuchające maślano-żółtym kwieciami (przez

moment pomyślałem, że może kula ziemiska wypiętrzy się i ujrze krzywiznę horyzontu).

Kiedy las wycofał się ustępując miejsca płaskim przestrzeniom – zachodziło szkarłatne słońce i wszedł pomarańczowy księżyc – to był znak, że dojeżdżamy do Kaśnej Dolnej do Dworku Paderewskiego. W międzyczasie (jak zwykle) mieliśmy przerwę w podróży oczywiście w Pilicy – gdzie regulaminowo był „schabowy z kością” w restauracji u „Pana Rysia”.

Wiersz pt. *Nad grobem Alfreda Łaszowskiego* z 50 Antologii Warszawskiej Jesieni Poezji (2022) przywiódł nas z powrotem na cmentarz „w miasteczku pilica” skąd „widać klasztor”. Tam leży pan Alfred wśród tych, którzy byli z rytualnym nabożeństwem odprowadzani na miejsce spoczynku. Nie wiem, czy pan Alfred uważał się za powołanego do tworzenia wielkich rzeczy, jak gdyby miał w swoich rękach losy całej ludzkości – znaleźmy się zbyt krótko. Pamiętam, jak z nagich gałęzi drzew spadały lodowate krople deszczu:

na szczycie góry cmentarz
(...)
wypełnił się cmentarz tobą
niczym pociąg do stacji wieczność
stoimy z poetą andrzejem gnarowskim
na peronie – przed płytą strzaskaną
i przez okienka pamięci
widzimy twoją znikającą twarz
w kotlinie
nad miasteczkiem pilica

Alfred Łaszowski (1914-1997). W Cieszynie był uczniem Juliana Przybosa. Prozaik, eseista, krytyk literacki. Przez lata związany z PAX-em. Współpracował z czasopismem „Prosto z mostu”. Autor powieści *Psy gonące*. Był członkiem ONR-u. Żywo interesował się sprawami UFO – oraz istotami nadprzyrodzonymi o wielkiej mocy...

A grób, w którym leży, wieńczony będzie zapewne kwiatami z nieznanych dziś jeszcze planet.

W twórczości każdego poety (Jurkowski nie jest tu wyjątkiem) – wcześniej czy później następuje taki moment, kiedy spogląda w jedną stronę życia graniczącą z niebytem: „świat mija pozornie, i przekształca się w inny wymiar” napisała Urszula M. Benka. Zawsze w takim przypadku poezja, staje się „czymś” więcej niż tylko kwestią języka:

poła śliskie jak białe kombinezony
przewracamy się i nie możemy wstać

ani zwracać leżymy na plecach
w czarnej szczelinie czujemy
jak zabawnie przestajemy istnieć
(*Ten rok z tomu Epizod podróżny*)

Stefan Jurkowski

Postowie

(O zbiorze *Struny gniewu* Ireny Nyczaj)

Staram się zaczerpnąć, ile tylko mogę,
tej znikliwej, niknącej w oczach ulgi,
by w każdym, na kogo czyha zła liczba,
choć małą nadzieję ocalić.

Stanisław Nyczaj, *Złe liczby*

I to jest to, co nazywamy świadectwem istnienia, o którym przyjdzie nam mówić już w czasie przeszłym – usłyszymy wtedy „krzyk drzew/ świst ptasi/ krzyże/ wbite w ziemię”. Już sama myśl o bycie przesuwana się w stronę wiecznego cienia, ogołaca z dotychczasowych atrybutów języka. „Myśl wyrażona niejako ponad „formą”, słowo przenicowane przez życie i śmierć aż do rdzenia”. Często się zdarza, że zmniejsza się presja „formy”, ale ile determinacji myślowej znajdujemy w obnażaniu przepastnych głębi ludzkiego losu. Poeta zdaje sobie sprawę, że tworzenie jest kreacją – nieustanną walką twórczą, której żąda od poety czas, jaki on sam zamieszkuje.

Prawdą oczywistą jest (nazwisko i adres autora są mi dobrze znane) i wiem, że zamieszkuje tam artysta naszych czasów – poeta, który odnalazł w sobie poezję „że zmierza do świata, że świat jest w poezji, tak jak w człowieku wychylnym w istnienia”. Dobrze się stało, że tam właśnie jest – bo z tamtego miejsca – z tego punktu życia widać najlepiej i najdalej. Poeta zachowuje to wszystko, co stanowi zdziwienie wchodzenia w świat i życie – niczego nie przesłodził, nie przeszczebiotał, nie sprowadził do języka sentymentalnych wzruszeń.

Stąd jego „widzenie inaczej” – to próba przewartościowania tych obiegowych mitów, próba wyrugowania dziś już archaicznych uprzedzeń, stereotypów wartościowania. To prawda, że im bardziej wchodzimy w szczegóły danej twórczości, tym bardziej ją kreujemy w oderwaniu od hierarchii zjawisk towarzyszących (i niech tak pozostanie).

W recenzji tomu *Rekonstrukcja* (1997) napisałem: „Poeta nie jest bynajmniej (w tej teraźniejszości) prorokiem prawd odwiecznych. Powierzono mu jedynie rolę Syzyfa, pchającego swój kamień pod wysoką górę.”

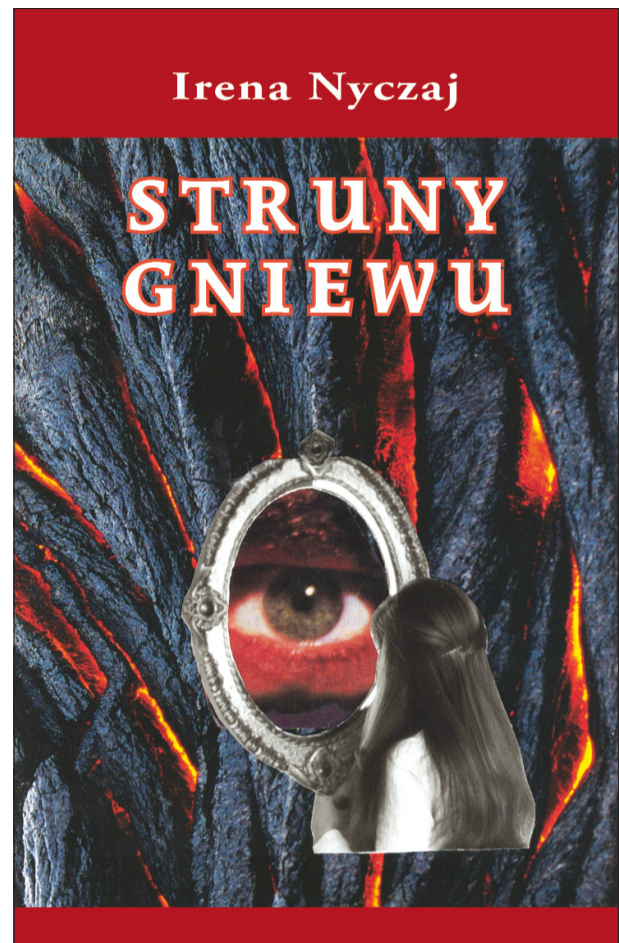
I tak poeta Stefan Jurkowski wkroczył w relikwiarz własnej poezji...

Andrzej Gnarowski

Stefan Jurkowski, *Obcy jestem* (2020), *Epizod podróżny*, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, Kielce 2023.

Nie od rzeczy będzie zacząć niniejsze posłowie do tomu opowiadań Ireny Nyczaj, bogato inkrustowanego poezją Stanisława, jeszcze jednym cytatem z wiersza tego wybitnego poety. Od razu można zauważyć, że opowiadania zawarte w niniejszym tomie łączą cechy świetnej prozy z głęboką refleksją i wrażliwością poetycką. W materię tych prozatorskich tekstów nie bez kozery obficie wplecione zostały fragmenty utworów poetyckich autora *Żarliwego niepokoju*. Podkreślają one wydatnie ponadczasowe przesłania opowiadań, wpisują się precyzyjnie w ich warstwę refleksyjną.

Nie chodzi tutaj przecież o samą „akcję”, o pokazywanie rozmaitych sytuacji na zasadzie „fabu-



larnych ciekawostek”. Bohaterami opowiadań Ireny Nyczaj są – wydawałoby się – zupełnie zwykli ludzie, ale niektórzy z nich jednocześnie niezwykli. To, jak nietrudno zauważyć, proza kontrastów. Z jednej strony autorka pokazuje jednostki skrajnie biedne materialnie, wydawałoby się nawet: prymitywne, a w których wbrew pozorom drzemią bogate pokłady prostej szlachetności, często także nieobcej im głębszej, egzystencjalno-filozoficznej refleksji. Z drugiej portretuje prawdziwie beznadziejne, prymitywne otoczenie; mieszkańców małego osiedla, którzy nie są w stanie wznieść się ponad konwencjonalne myśłatka, traktując tych pierwszych jak odmieńców, dziwaków, nienormalnych.

Zdarza się to nie tylko w stosunkach – powiedzmy – sąsiedzkich, ale także w rodzinach. Już w pierwszym opowiadaniu tego tomu widzimy zdziwaczalą, apodyktyczną matkę, obsesyjną „kolekcjonerkę” bibelotów, która niszczy życie swojego syna, doprowadza do rozpadu jego małżeństwa.

Ludzie ci nie potrafią dojść do porozumienia. Dochodzi do wciąż zaostrzających się konfliktów, które wskutek kompletnego, wzajemnego niezrozumienia doprowadzają – jak pamiętamy – do dramatycznego finału.

Irena Nyczaj zarysowała tutaj różne sytuacje, ale nigdy nie stawia kropki nad „i”. Niektóre opowiadania stwarzają nawet wrażenie pozbawionych wyraźniejszego zakończenia. Ale to tylko pozory. Autorce nie chodzi bowiem o sam opis czy spuentowanie zewnętrznej, fabularnie atrakcyjnej czy „egzotycznej” sytuacji, ale przede wszystkim o ukazanie dramatu poszczególnych jednostek – i to nie tylko owych biedaków „nieudaczników”, ale także ich prymitywnych i podłych prześladowców. Bardzo często wpływ otoczenia, zwłaszcza w dzieciństwie, determinuje ludzkie postawy w życiu dorosłym. Agresja z zewnątrz wywołuje odruchy obronne, które bardzo łatwo przeradzają się w nienawiść, poczucie pustki. W najlepszym razie w wewnętrzny dyskomfort, poczucie wyobcowania.

Są to opowiadania w głównej mierze psychologiczne i jakże refleksyjne. Mamy tu celne obserwacje tzw. „życia”, postaw ludzkich, przeciętnego i prymitywnego pojmowania religii; tego bezmyślnego, dosłownie pojmowanego kultu, trzymania się „liter”, co nie ma nic wspólnego z autentyczną wiarą w Boga rozumianego w sposób metafizyczny, nie zaś pogańsko-dosłowny; z wiarą przekładającą się

w praktyce na wewnętrzny etos. To, jak się tutaj okazuje, najczęściej właśnie ci gorliwcy, „prawdziwi katolicy” wyznający „pseudoreligię” najgorzej traktują swoich bliźnich.

Proza Ireny Nyczaj przesycona jest opisami codziennych, pospolitych zdarzeń, które są powodem albo nieporozumień, albo prawdziwych dramatów. Teksty te w dużym stopniu dotyczą, choć siłą rzeczy nie wyczerpują, zakresu obserwowanych przez pisarkę zjawisk. Ale owe codzienne zdarzenia stanowią istotne tło jej opowiadań, a jednocześnie odkrywają jakieś ich tajemnicze podłoże poetyckie. Oczywiście nie w sensie dosłownym, ale raczej wrażeniowym, co zresztą potwierdzają wspomniane liczne cytaty z wierszy Stanisława Nyczaja.

Nie można nie zauważyć głębokiego humanitaryzmu tych opowiadań. Przypomnijmy jeden z najważniejszych utworów zawartych w *Strunach gniewu*, mianowicie *Kto nie był ni razu człowiekiem*. W sposób ekspresyjny pokazała autorka dosyć zamknięte, prymitywne środowisko, w którym pojawiła się Ukrainka z córeczką. Z jednej strony zobaczyliśmy tam osoby życzliwe, tolerancyjne, opiekuńcze, z drugiej zaś prymitywny, ordynarny motłoch ze śmietnikowymi pijaczkami na czele. To świetnie napisane opowiadanie (relacje trzech narratorek) w sposób niezwykle plastyczny pokazuje, do jakich skutków mogą doprowadzić skrajnie prymitywne i chamskie postawy ksenofobiczne. To wszystko dzieje się na naszych oczach, jakby za naszymi drzwiami, pod naszymi oknami. Zauważmy, że opowiadania Nyczaj nie noszą najmniejszego śladu dydaktyzmu, nie są pisane „ku pokrzepieniu, czy też ku pognębieniu”. To ekspresyjne, bezpośrednie relacje z rzeczywistości. Wyciszenie, staranne trzymanie autorskich emocji na wodzy, to właśnie jeden z najistotniejszych walorów tej prozy.

Prozy gorzkiej, ale jakże obiektywnej. Przejmujące jest opowiadanie *Najcichsza odwaga*. Oparte na motywach biografii Stanisława Nyczaja ukazuje dramat matki walczącej heroicznie o zdrowie, a konkretnie o zagrożony wzrok małego synka. Spore partie tekstu, to autentyczna relacja matki. Irena Nyczaj zachowała tu język, sposób mówienia bez żadnej ingerencji. To żywy tekst mówiony przez bohaterkę. W ten sposób pokazała autorka przejmujący autentyzm ogrom cierpienia, niepewności, obaw, wewnętrznego bólu kobiety i dziecka w czasach II wojny światowej oraz tuż

po jej zakończeniu. Dzięki tej nieprawdopodobnej walce, jak wiemy, matka uratowała syna. Oddajmy głos samej narratorkie – matce:

Na zakończenie wspomnę, że będąc od 1945 do 52 roku razem z nim w klinikach okulistycznych, chciałam poświęcić moje życie tylko dla niego. Teraz doszłam do wniosku, że on już sam może decydować o sobie i swojej rodzinie.

A więc pełne zwycięstwo.

Choć w prozie Ireny Nyczaj mamy do czynienia z morzem zła, to jednak autorka, co łatwo zauważyć, dostrzega pierwiastki dobra. Ta proza, co należy zapisać na plus, nie jest jednoznacznie pesymistyczna. Raczej obiektywna. W wielu opowiadaniach istnieje sporo nadziei, wiary w ludzkie możliwości; w możliwości skutecznego przeciwstawiania się złu; złu, które na kartach tych utworów jest konsekwentnie piętnowane.

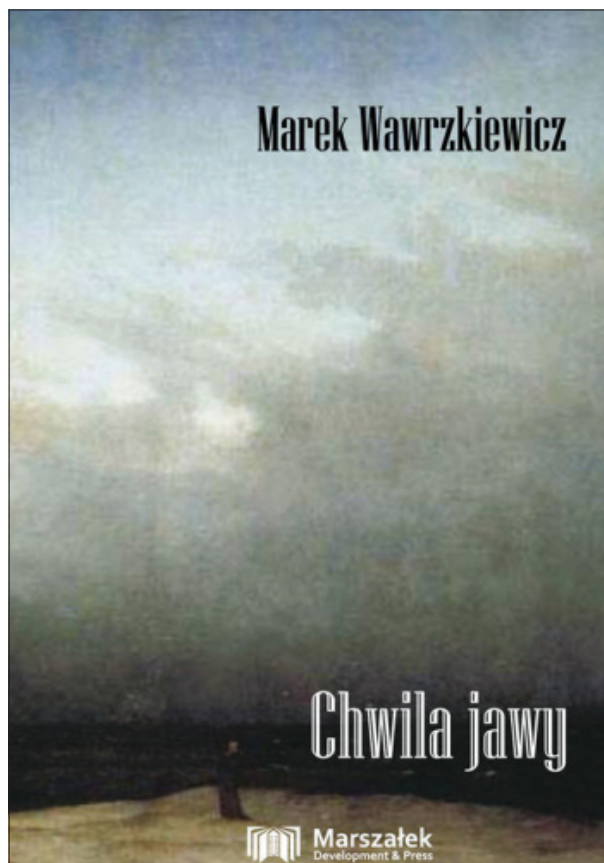
A więc można z całym przekonaniem powiedzieć, że w bogatej, gęstej, niekiedy nawet brutalnej w swym obiektywizmie prozie Ireny Nyczaj możemy odnaleźć paradoksalnie wiele pierwiastków dobra dostrzeganego w tragicznym chaosie otaczającej nas rzeczywistości. A wszystko po to, aby właśnie można było „choć małą nadzieję ocalić”.

Irena Nyczaj, *Struny gniewu*, Kielce 2024, wydanie pierwsze, s. 120. Druk i oprawa: Drukarnia COMPUS, L. Grochulski, P. Szyszkowski, ISBN 978-83-972321-0-5.

Liryczny realista

Jeszcze bardziej poszerzył się zakres doświadczeń, wykrystalizowała się wirtuozerska forma, wyostrzył się zmysł obserwacyjny, wyczuliła wrażliwość. I tak powstała *Chwila jawy* Marka Wawrzekiewicza. Trzeba koniecznie podkreślić, że jego utwory to zawsze najczystsza liryka, świetnie zmetaforyzowana, oszczędna, pełna swoistej ironii, humoru, dystansu; wciąż świeże widzenie rzeczywistości. I zdumiewająca precyzja słowa. Przejmujące wiersze mówią o przemijaniu, o miłości, o sensie ludzkiego życia, pomimo postępującej i bezsensownej erozji wszystkiego na tym świecie. Ale też jest w jego poezji duża doza optymizmu. Niejednokrotnie gorzcy zamienia się tutaj w ironię lub poetycki żart.

Wawrzekiewicz stale zaskakuje, nie można go w pełni opisać. I ta nieprzewidywalność jest właś-



nie miarą jego twórczości. Poeta wciąż pochyla się nad życiem i jego ulotnością, pięknem, miłością. Humor, pomysłowość, rzadko dziś spotykana obrazowość, błyskotliwość skojarzeń, ironia, dystans, przy jednoczesnym zamyśleniu lirycznym – oto co od samych początków, aż do wydanej ostatnio *Chwili jawy*, charakteryzuje twórczość autora *Światelka*. Podmiot liryczny dotkliwie odczuwa destrukcyjne działanie czasu. Ale nadrabia miną pomimo egzystencjalnego lęku, żalu za systematycznie kurczącym się dla każdego z nas światem oraz znikaniem wszystkiego, co kiedyś było tak ważne. W poezji Wawrzekiewicza jest jednak nie tylko poczucie bezsilności wobec praw natury, ale i przekonanie o potrzebie aktywnego uczestnictwa:

Doczekać. Donieść swoją niecierpliwość
Do domu. Tam zaczerpnę haust samotności.

Niecierpliwość jest cierpliwa.
Otorbi się, wytrzyma do najbliższej okazji.

Będzie czekać do czasu, kiedy już
Przestaną się niecierpliwić.

(W gościach)

Twórczość Wawrzekiewicza nie zastyga w ulubionych przez poetę formach. Zawsze jest on sobą, a pisanie traktuje jako coś najbardziej naturalnego.

Spontanizność tych wierszy bynajmniej nie oznacza braku świadomości i niekontrolowanej żywiołowości. Autor *Smutnej pogody*, jak mało który poeta, jest mistrzem formy; lirykiem, jakich obecnie można ze świecą szukać. Ma niebywałe wyczucie słowa, jego odcieni, najrozmaitszych pobocznych znaczeń. Pisze wiersze krystalicznie czyste, finezyjne, choć zarazem czytelne, pozbawione wszelkiej pretensjonalności. Jest to mądra, czuła i bardzo męska liryka, której oś stanowi niezmiennie miłość i przemijanie. A uniesienia miłosne są często świadomie sprowadzane do powszedniości:

Spełniona miłość przypomina wystużoną, drewnianą
[łyżkę]
Do mieszania gulaszu.
(*Dwie miłości*)

Pozwala to uniknąć czułościowości, sygnalizuje dystans, jaki podmiot lityczny utrzymuje w stosunku do poetyckiego wzruszenia, do całej sfery emocjonalnej. Nie deprecjonuje to jednak uczucia. Poprzez kontrast (tu: drewniana łyżka – spełniona miłość) uzyskuje większą ekspresję. Poeta lęka się czułościowości i banału, rzeczy ważne sprowadza zatem do poziomu zwyczajnych. Zabieg ten, wbrew pozorom, podkreśla ich wagę i znaczenie.

Twórczość Wawrzkievicza sięga do najlepszych źródeł i tradycji poezji w ogóle, ale nie znaczy to, że jest zachowawcza czy „uwsteczniowa”. Przeciwnie, w swojej klasie jest nowatorska. Zarówno jej przesłania jak i język przedstawiają świat współczesny w sposób ekspresyjny i komunikatywny. A wiadomo, że komunikatywność nie wyklucza nowatorstwa.

Dystans, ironia, poczucie absurdu, a nawet pewien cynizm, są charakterystyczne dla liryki Wawrzkievicza. Dodają jej lekkości, intrygują, zaskakują śmiałymi skojarzeniami i znaczeniami. W ten sposób poeta niejako wytrąca wiersz z ustalonych kanonów lirycznych, wersyfikacyjnych. Jest to również pewien sposób „oswajania” stale obecnej w tej poezji śmierci, a zwłaszcza miłości, która bywa jednocześnie czymś konstruktywnym i destrukcyjnym. Tak samo piękno i brzydota. Poeta jest wciąż daleki od wszelkiego idealizowania:

Jeśli olśni cię twarz dziewczyny,
Pomyśl, jak będzie wyglądała jej czaszka,
I może zachwyt zwiędnie.

Ale na pewno za dwadzieścia lat
Grabarz lub archeolog podzieli twoje uczucia.

Albowiem piękno nie przemija.
Ono się tylko przeinacza.

(*Piękno*)

Podobnie jak u Grochowiaka. Tam „bunt nie przemija, bunt się ustatecznia”.

To cały Wawrzkievicz... Jego wciąż wzbogacana o nowe doświadczenia poezja, ukrywa liryczne wzruszenia za sztafadem żartu, pewnej obojętności. Pozwala mu to na osiągnięcie obiektywnego dystansu do świata i samego siebie:

A może jest tak, że wszystko już napisałem,
Nawet to zapomniane, niezapisane.
Może jest ze mną tak, jak z wyczerpanym długopisem,
Piórem bez atramentu, laptopem
Z przepełnioną pamięcią na dysku, herbatą tak słodką,
Że nie tonie w niej ziarenko cukru. Gorzko, gorzko.

(*Płomyk*)

Trzeba zauważyć, że podmiot liryczny patrzy na człowieka jak na integralną część natury. Dostrzega wszelkie biologiczne i psychologiczne ograniczenia. Jakakolwiek idealizacja – jak się rzekło – jest tej poezji obca. Wawrzkievicz to „liryczny realista”. Im natura jest tutaj mniej „uczułowczona”, tym – paradoksalnie – staje się bardziej ludzka. Człowieka bowiem nie można od natury oddzielić, nawet gdyby się bardzo chciało. W niej bowiem żyjemy, kochamy, doświadczamy śmierci, pragniemy nawiązywać ze sobą relacje, choć nasze pragnienia często wykraczają poza przyrodzoną rzeczywistość. Chcielibyśmy mieć więcej, mamy więc poczucie niedosytu. Pragniemy coś ważnego przekazać – a język okazuje się zbyt ułomny. Żyjemy – jednocześnie z odroczonym, ostatecznym wyrokiem. Ten pewnego rodzaju egzystencjalny dramat, pokazany jest w poezji Wawrzkievicza w sposób niezwykle obrazowy; w poezji czystej w brzmieniu, a w rysunku swoim bardzo delikatnej, ale też zarazem ostrej i bezkompromisowej w bezpośrednim nazywaniu tej rzeczywistości. Podkreślimy raz jeszcze często dochodzące tutaj do głosu poczucie absurdalności całego istnienia, groteskowości ludzkich poczynań. Poeta bawi się poetyckim tworzywem, czyli tym, co zwykliśmy nazywać „warstwą pojęciową życia”. Cała groza egzystencji jest pokazana właśnie poprzez poetycki żart i pełną przekory zabawę, co w konsekwencji wypada jeszcze bardziej dramatycznie. I niewątpliwie ciekawiej. Nieuchronny proces biologiczny

stale przedstawia akcenty ze sfery cielesnej w rejony duchowe. Życie wraz z jego wszelkimi przejawami nie jest wszak niczym innym jak osobliwymi zapasami z czasem. Zarazem kontemplacją piękną, fascynacją ulotnymi chwilami. Ale i te chwile mogą nas zaskakiwać:

Pozwólmy sobie na domysł:
Ta kobieta jest z pewnością prześliczna.
Zostańmy z tym przekonaniem,
Odejdźmy zanim zdejmie maskę.

Popatrzmy raczej na siermiężnego trybuna –
Jego worki pod oczami czynią go bliskim,
Jak nasze własne odbicie w lustrze. Ale on
Otwiera usta. – Załóż maskę! Krzyczymy
Przez maskę.
(...)

Maska kryje szyderczy uśmiech
I tamuje plwociny.
Upowszechnia zdradzieckie mordy,
Choć ich nie ułaskawia.
Nie wiadomo, na którą zapadnie wyrok,
Nie wiadomo, na którą wypadnie.
(...)

Na Bałtyku tonie zamaskowana
Orkiestra z Tytanika.
Grają. Czy to jeszcze Mazurek, czy już bulgot?
(Krajmaskowy)

Okazuje się, że wciąż trwamy w permanentnej iluzji. Nie jesteśmy w stanie dotrzeć do istoty rzeczy. Wszystko, łącznie z nami, jest „zamaskowane”. Nasz ogląd rzeczywistości daleki jest w gruncie rzeczy od obiektywizmu. Dzieje się tak, gdy np. przyglądamy się kobiecie, której prawdziwej twarzy możemy się domyślać. Ale jednocześnie cytowany wyżej wiersz jest w pewnym sensie polityczny. A polityka, to bardzo pokrętne, oszukańcze, cyniczne zjawisko. Mami nas, dopóki jesteśmy do jej celów potrzebni. Okazuje się jednak również nietrwała i zwodnicza. Jest swojego rodzaju tonącym okrętem zmierzającym ku zagładzie. To wiersz wieloznaczny, napisany ze skrywanymi emocjami, czyli w sposób charakterystyczny dla poetyki Marka Wawrzkiwicza.

Jeśli już mówimy o katastrofie, to koniecznie trzeba zwrócić uwagę na świetny utwór *Zagłada*. Zdarzenia dramatyczne w poezji autora *Chwili jawy* często są pokazywane w sposób prześmiewczy, a jednocześnie nie tracą nic z dramatyzmu. To cecha indywidualna jego twórczości, nigdy nie

będącej jednoznaczna w warstwie językowej, a także przesłaniach. Autor lęka się naiwności. Stara się wszystko racjonalizować, ale czyni to wprowadzając akcenty humorystyczne zaprawione gorzką ironią. Oto – jak czytamy – „miasto zdobyte”, spustoszone, zrujnowane:

A potem wiatr przekupny rozwieje sztandary
Zwycięskich hufców: Tesco, Lidl, Biedronka,
McDonald, Real i ich sprzymierzeńców.
(...)

Na skrzyżowaniu ulic Wielkiej z Niepodległą
Dogorywa w męczarniach ostatni sprzedawca
Wiejskiego salcesonu, boczku i kielbasy.
Już z dłoni niedomytych wypadł mu odważnik
I nie wydana reszta.

Belferscy historycy napisaliby setki, jeśli nie tysiące, ciężkich stronic martyrologicznych – właśnie o zgubnych rezultatach wojen, a ów sprzedawca wędlin urósłby do rangi narodowego bohatera. Sportretowanego z całą tragiczną powagą. Tymczasem poezja Marka Wawrzkiwicza nigdy nie popada w naiwny patos, bo właśnie patos najskuteczniej ośmiesza to, co w gruncie rzeczy bywa poważne. Poeta stara się na wszystko patrzeć z pozycji ironicznego obserwatora strącającego ustalone, dęte hierarchie z piedestału. Czy to będzie zagłada, czy śmierć, czy miłość – poeta konsekwentnie trzyma emocje na wodzy. Wróćmy do *Zagłady*. Oto nowe pokolenie uczci w przyszłości pamięć poległych i złoży pod monumentalnym pomnikiem miejskiego warzywniaka wieńce z marchewki, pomidorów i innych płodów ogrodniczych,

I zadumają się chwilę nad wprawionym w cokół
Fragmentem muru, co przetrwał zagładę,
Z inskrypcją zagadkową napisaną sprayem
I martwiejącą ręką: CAŁUJTA MIE W DUPE.

I wzniosą gromko okrzyk, okrzyk rytualny
Niezanego autorstwa: NAWZAJEM! NAWZAJEM!

Tu przytoczę anegdotyczne zdarzenie. Zaproszono nas kiedyś z Markiem na jakąś poetycką imprezę, na której, w porządku alfabetycznym, mieliśmy prezentować swoje wiersze. Więc najpierw zaczęły się produkować różne poetessy, bardzo wzniosłe, drżącymi ze wzruszenia głosikami wychwalające kwiatki i ptaszki, poszukujące piękna w pięknie, co – jak wiadomo – jest mało odkrywczе. A na sali wśród innych delikatnych pań, wytworzył się nastrój

„liryczno-poetyczny”. I na zakończenie wystąpił Marek czytając *Zagładę*. To było jak dobitne „amen” spotkania. Proszę sobie wyobrazić te zgorzone miny, gniewne spojrzenia, szmer „potępienia”. Mało go nie zlinczowały za takie świętokradztwo. A my niemal tarzaliśmy się ze śmiechu.

Nie można pominąć, zwłaszcza w świetle autentycznych wydarzeń, które teraz obserwujemy na porządku dziennym, wiersza (aczkolwiek nie najnowszego), który nawiązuje do wcześniejszych apokryficznych listów, wydanych w osobnych tomach, a który nic nie stracił ze swojej aktualności. Dobrze, że znalazł się w tym tomie. Nosi on tytuł „Nieznacznie uwspółcześniony (w warstwie językowej) list prałata Giacomo F. do siostry Bettiny z zakonu Wspomożenia (XVI w.)”

W sposób misterny pokazuje tutaj poeta hipokryzję i obłudę duchowieństwa. Język lekko archaizowany podkreśla zabawną groteskowość sytuacji:

Choć grzech tu się pleni jako chwast paskudny.
Lecz wolną wolę mamy, żeby się nie poddać
Niskim wołaniom ciała i bezmyślnym chuciom.
(...)

Ja jutro o północy zjawię się w Twej celi –
Niechaj stoi otworem. Pokażę Ci wszystko,
Co grzeszne i wszeteczne. A teraz bądź zdrowa
I żyj w oczekiwaniu, że poznam cię nocą,
Tak jak poznawano w Starym Testamencie.

Aby oddać w pełni klimat tego wiersza (jak zresztą wszystkich innych) trzeba by cytować utwory w całości. Trudno wypreparować z nich wersy ważne i mniej ważne, ponieważ ta poezja jest tak bardzo spójna. Zawsze jednak mówi o rzeczach ważnych, a jeśli w sposób prześmiewczy, to nie wyzbywa się dobrego smaku. Nie znajdziemy tu również narzucających się elementów dydaktycznych, optujących za jakąś ideologią czy światopoglądem. To poezja – powtórzmy kolejny raz – krystalicznie czysta, w najśmielszych, swobodnych obrazach i metaforach nigdy nie będąca wulgarną. Finezyjna, dowcipna odnosi się bezpośrednio do wyobraźni, inteligencji i wrażliwości czytelników.

Stefan Jurkowski

Marek Wawrzekiewicz: *Chwila jawy*, Marszałek Development & Press, Toruń 2021, s. 74.

Szkic „Ukryj mnie Luizo” jest próbą interpretacji wiersza „Scena balkonowa” Andrzeja Bursy (1932-1957) i zarazem postaw twórczych tego autora. By nie naruszyć dziedziczenia praw autorskich, wiersz nie został przytoczony w całości, przez co jego zapis i melodia zostały pogwałcone, jednakże internet podaje go w całości bez skrępowań.

Andrzej Bursa

Scena balkonowa

Kleryk Józef ma wesołe oczy ciemne
Siostra Klara ma dziewiętnastą wiosnę
Na dziedzińcu seminarium w dzień wiosenny
Kleryk Józef zobaczył ją z okna

A dzień dobry... dzień dobry siostro Klaro
Ach przełękłam się księżu Józefie...
Kwiecień mamy upalny nie do wiary
Ano coś grzeje słoneczko pięknie

Rzeka targa złotą rdzą szuwaru
Wierzgający obłok przy niej czeka
Śnieżny jaśmin mroczne ścieżki zaślął Klaro...
(...)

Kleryk Józef ma bary syna ludu
Siostra Klara uśmiechem go obdarza
Ale stanął pośrodku podwórza
Anioł z mieczem płonącym na straży

Elżbieta Musiał

Ukryj mnie Luizo

Andrzej Bursa jeden ze swoich wierszy datowany na 1956 rok zatytułował *Scena balkonowa*. Nie będzie niczym zdrożnym, jeśli do tego tytułu jako rozszerzenie atramentem sympatycznym i wyłącznie na potrzeby tego tekstu dopiszemy jego własne słowa: „źródło cichych tajemnic klarownych i czystych”. Zabieg będzie tyleż samo zabawą, co i nakierowaniem uwagi na tajemnicę, która zawsze nas intryguje. Wiersz jest myśloobrazem rzuconym w przestrzeń naszych imaginacji. Wywołuje niebezpieczną wędrówkę wyobraźni, której podejmuje się czytelnik już na własne ryzyko.

O czym więc mówi wiersz, o raju i dwojgu w nim ludziach owładniętych wizją niepokalanych serc i przy tym wyposażonych w młodość ciał pragnących spełnienia? Czy są niewolnikami własnych

wyborów? Jaka walka się w nich toczy? Dlaczego wpadają w pułapkę narzuconych norm i schematów postępowania i przeciwko ciału stawiają duszę? A może w ogóle podobne wewnętrzne konflikty odzywają się w nas ludziach niczym spuścizna powygnaniowa z raju, a protagoniści w teatrze wiersza to nam tylko uzmysławiają?

Scena balkonowa jest marzeniem o raju. Wizją ogrodu szczęśliwości. Mitem Arkadii. I jednocześnie... niepohamowanym wybuchem pragnienia. Przyrodę tego miejsca widzimy bujną i pędzącą. Mieszkańcami wiośnianej krainy są ludzie w habitach – wiercy czystości ciała i duszy, wybrańcy Boga. A w jasnym czasie i miejscu rozgrywa się mniej więcej taka akcja: dziedziniec klasztoru krokiem nabożnym a lekkim przemierza siostra zakonna. Spłoszona głosem dobiegającym z góry przystaje. Głos ten to powitanie radosne księdza Józefa, wielce przychylne, na dźwięk którego rozpromienia się twarz siostry Klary. Wymieniają między sobą zachwyty nad dziwami natury w porze soczystej zieleni. I tak toczy się na dziedzińcu ich uroczą pogawędkę przyrodo-miłosna.

Nie bez powodu wiersz ten Andrzej Bursa nazwał *Sceną balkonową*. A nazwał go tak prowokacyjnie, by skojarzenia krążyły wokół sławnej miłosnej rozmowy Romea i Julii, dwojga wielkich kochanków tragedii Szekspira. Zatem wiersz z założenia ma już coś z teatru (Bursa współpracował z teatrem Tadeusza Kantora „Cricot 2”) i podszyty jest motywem miłosnym. Żywy jest w nim jeszcze ideał piękna. Zresztą wola przywracania etycznych reguł, czystych i prostych, nie poległa w twórczości Bursy aż do końca nawet wtedy, gdy znikł mu już z oczu ogród harmonii, zastąpiony „dokładnym wydeptywaniem dna piekła”. Ale i ono, to ewokowanie czarną powiastką i wręcz infernalnym obrazem, przyczynę miało w tęsknotach za prawością. I trzeba przyznać, infernum Bursy jest nadzwyczaj oryginalne, wykorzystywał w nim chwyt groteski i absurdu. Ta poezja wyrażnie na nas oddziałuje, ekscytuje, między innymi z powodu cynicznego filtru, jaki niekiedy nakładał na treści. A ponadto jest to poezja myśląca obrazem.

Do scen absurdu autor *Zabicia ciotki* (proza nadrealistyczna) miał wyjątkową skłonność; „To, że wszyscy dzień w dzień wylupujemy oczy, łamiemy ręce i serca, to, że wszyscy chowamy w domach trupy, nie zwalnia mnie od prawnej kary” (tamże). Wystarczy wspomnieć, że od sentymentalnych

tonów z dziecinnego pokoju *Zgaśnij księżycu do Zabaw i gier dziecięcych* wystarczyły dwa lata, by rys Mrożkowski czy Gombrowiczowski (styl i narracja) wykształcił się i pokazał w całej okazałości.

Ale póki co, pomówmy jeszcze o raju, o franciszkańskiej nieomal aurze *Sceny*, nim ją utracimy. Topos krainy szczęśliwości autor znakomicie powiązał z formą: tradycyjną, klasyczną, idealnie zgraną z potrzebami tej wizji. Między wątkiem a słowem nie ma rozdźwięku. Jakże składnie, ba, śpiewnie i lekko dobywają się z wiersza słowa i jak wdzięcznie rozgrywa się ten ziemski czy nieziemski epizod. Niewinny z pozoru obrazek posiada niezwykle żywą wewnętrzną dramaturgię, która intryguje odbiorcę i dalej dokonuje się już w jego wyobraźni. Zatem miła oku scenka jest przyczynkiem do domysłów i poważnych dociekań.

Kwiecień mamy upalny nie do wiary
Ano coś grzeje słoneczko pięknie

Rzeka targa złotą rdzą szuwaru
Wierzgający obłok przy niej czeka

Spore jest tu nagromadzenie uroczych widoczków i zarazem niepokojąco perwersyjnych. Przyroda w nich aż kipi i domaga się. Wyrывa, prze. To poczucie zmysłowej natury upoważnia nas do pewnych skojarzeń. Ale czy autor opiewający ideał piękna, bo w głębi duszy był jego orędownikiem, daje nam przyzwolenie na konfabulacje? Chyba jednak tak. Bowiem w naturze poety leżało też to, że był buntownikiem i odkłamywaczem mitów. Stąd przecież prowokacyjny tytuł i gra słów: „Kwiecień [...] nie do wiary/ Ano coś grzeje słoneczko pięknie”, które budują ukrytą dramaturgię utworu. I bez wątpienia są to sygnały rzucone nam do gry symulacyjnej. A skoro odczytaliśmy podteksty, pokażmy się o grzeszne rozstrzygnięcia. Wszak Bursie, jak się zdaje, o taki tok naszego rozumowania z domysłem chodziło.

Zatem konfabulujmy. I na przykład przyjmijmy, że jesteśmy widzami małego przedstawienia w malutkim teatrze. Teatrze na cztery osoby (protagoniści, ja i ty) ze sceną obrotową. Kurtyna idzie w górę, gra się rozpoczyna. Najpierw doświadczamy ujmująco pięknego obrazu ogrodu w odsłonie pierwszej zatytułowanej **Raj**. Ogród jest dziedzińcem seminarium duchownego (wirrydarz z toposu chrześcijańskiego ogrodu), o czym już za moment się przekonujemy. Bowiem krokiem nabożnym a lekkim wiośnianym dziedziniec przemierza siostra

zakonna w białym (taki wybierzmy kolor) habicie. Z klasztornej okna zauważa ją ksiądz Józef. Obserwuje przez chwilę nieświadomą jego obecności postać, goni wzrokiem jej gibkie ciało podkreślone w talii sznurem i skrywane przez sandały boso stopy (my też to widzimy, ty i ja). Chęć rozmowy z młodą znajomą bierze górę nad opamiętaniem. Wita ją więc radosnym głosem: „Ach dzień dobry siostró Klaro”. Klara, pochłonięta dotąd obrządkiem własnych myśli i doglądaniem ogródka, wzdraga się: „Ach przelęknęłam się księżę Józefie...”.

Scena obrotowa w naszym umownym teatrze przesuwają się powoli i dwie postaci widzimy już pod pewnym kątem. Następuje odsłona druga: **Kuszenie Ewy**. Zmiana perspektywy wywołuje w nas pewną niedogodność, nie ma już bowiem *vis-à-vis*, musimy uruchomić wyobraźnię. Siostrę Klarę dostrzegamy nieco z boku, nagle zaglądamy jakby nie w jej jasne oblicze, a w jej myśl i przyłapujemy tę myśl na gorącym uczynku, zajętą osobą Józefa... Ach! Przelęknęłam się, zlekęłam się, zlekęłam... Słowa spłoszone jeszcze gnieźdzą się w naszym uchu, bohaterowie zaś (za sprawą sceny) od nas się odwracają. Lecz nie przestają mówić i niby to zdawkowo, a na jakże wysokich tonach domysłu, prowadzą rozmowę, ani chybi, wzbudzającą w nas podejrzenie dialogu z drugim dnem. Tak, te cudowności przyrody, którymi się komunikują, są miłosnym wyznaniem!

Odsłona trzecia: **Zerwanie jabłka**. Protagonistów oglądamy od tyłu. Rozmowę słyszymy niedokładnie, z pojedynczych słów składamy domniemany tekst (ty i ja konfabulująca): Błądzić przy rzece będę kleryku Józefie/ Siostró Klaro zmysł kipi – znajdzie twoją rzekę/ W ścieżkę mroku tam wejdziemy Klaro/ Ano cóż śnieżny jaśmin ją uszał Józefie.

Odsłona czwarta: **Wygnanie z raju**. Znów rysuje nam się profil dwóch postaci, od przeciwnej tym razem strony. Ich święte habity i aureole uśmiechu zostały im odjęte. W zamian przywdziali szarą codzienność. Są czymś strapieni. Nic nie mówią. (Słowa konfabulujące: Ucichły bary syna ludu/ Rodzicielka ma smutne oczy matki/ Smugą cienia oboje są spowici/ W gasnący punkt światła ogrodu wpatrzeni).

Scena właściwie już zatoczyła koło. Osiąga punkt wyjścia z ogrodu, którym był Raj. I nie może być inaczej – obraz tym razem staje się naszą pamięcią – raju utraconego. Marzeniem o nim.

Oczywiście, Bursa inaczej zakończył swoją scenę. Między dwoje błądzących ludzi zesłał anioła, czym

potwierdził słuszność tropu nawoływania do grzechu; *Ale stanął pośrodku podwórza/ Anioł z mieczem płonącym na straży*. Ratując protagonistów, zakpił chyba z nas, konfabulujących. Najpierw miłym widoczkiem zamącił nam w głowach, potem ze sprytem poruszył „nasze dno piekła”, siebie przy tym pozostawił czystego. To nie on, to my wykonaliśmy tę całą zabawę pokus i przykre tego następstwo. Nas anioł nie powstrzymał. I po wielokroć mamy poczucie podobnego mechanizmu, czytając wiersze Bursy; on tylko, nabrawszy dystansu do sprawy, z przymrużeniem oka ją relacjonuje. My, będąc niejako naoczniymi świadkami lub rozgrywającymi, przejmujemy odpowiedzialność, winę.

A w tej poezji gra się na przykład w aniołka i staruszkę. To znów w zabawie znudzonych dzieci w *Rankiem w parku (Z zabaw i gier dziecięcych)* przyglądamy się, jak komuś z tobołka wypada ucięta noga kobieca. Ale już w innych obrazach (fragmentach) nie możemy powstrzymać galopady hrabiego-weterana w ułańskim siodle w jego własnym gabinecie (*Siodło*). Mnożą się te surrealistyczne scenki, absurdy, zapewne wyciągnięte na światło dzienne z dna podświadomości. I owszem, przypominają nieco migawki z tej sceny obrotowej, której już raz użyliśmy. Wszystko na niej może się zdarzyć. I zdarza wszystko, również to najgorsze, zdeformowane skróconą perspektywą, odbite w lustrze groteski i absurdu. Obraz sam w sobie jest precyzyjnie skonstruowany. Wymyślony na niby, ale potem, gdy staje się naszą ułudą, nabiera prawdziwości i prześladowuje. Na tej scenie możemy podglądać samych siebie. W tym teatrze możemy być aktorami. Ale nieważne, kto i jaką rolę odegra, zawsze towarzyszyć mu będzie poczucie przemierzania błędnego koła (scena się kręci), sytuacji bez wyjścia.

Osamotnienie spojrzeń bezcelowość kroków
Krew wina puls kryształu konstrukcja obłoków
(Książę)

Winy doszukiwać się będziemy w naszych wyborach. A droga, jaką przemierzamy, sprowadzi się do dreptania po obwodzie koła, którego przekroczenie jest granicą niemożliwości. Czy to nie absurd – iść i nie dochodzić? *Istotne jest to czego nie osiągniesz nigdy* (jw.).

U Andrzeja Bursy owa świadomość tragizmu istnienia niejako decyduje o kształcie jego poezji. Ona z tego tragizmu wynika. Więc jest (oprócz

pierwszych utworów) ciemna i egzystencjalnie smutna, choć przecież – o czym była mowa – przełożona na groteskę, humor i autoironię. Bunt autora *Luizy* jest racją postawy młodego (wtedy dwudziesto-, dwudziestokilkuletniego) człowieka. Ale jest też zdeterminowaniem, wynikającym ze szczególnego wstrętu do praktyk prowadzących ku jakimkolwiek deformacjom, do fałszu, fasad, mieszczańskiej obłądy, stereotypów. Na domiar uczulony był on na terror codzienności, z którym walczył i w tej walce się spalał. I obsesyjnie wprost podejmował temat krzywd, jakie ludzie sobie czynią. Dochodziła jeszcze presja biologicznych uwarunkowań – świadomość nieuleczalnej choroby serca, która przedwcześnie go pokonała.

Pisał zaledwie trzy i pół roku (nie doczekał się za życia debiutu książkowego). Pozostawił próbkę niezwykle oryginalnego talentu, który przechadzał się w krajobrazach nieskalanych, jak ten w *Scenie*, doświadczał pełni szczęść i nieszczęść egzystencjalnych labiryntów ogrodu Luizy. I na krótko trafił do infernalnego czyśćca. Pobyt ten (literacki) był owocny, zauważony przez krytykę – przyniósł poecie rozgłos, ale już po śmierci. Do panteonu wielkich wprowadziła go jednak *Luiza*, poemat składający się z ośmiu wierszy. Jarosław Iwaszkiewicz nazwał go klejnotem poezji współczesnej.

Co kryło się pod pojęciem „Luiza”? Kobieta, miłość, poezja? Jakim onirycznym przeczuciem był obezwładniony – pisząc:

Teraz szukam w uściskach Luizy
Snów zgubionych jak ślady na wodzie
(*Piosenka jazzowa*)

Każdy kiedyś te sny gubi, gdy zajrzy mu w oczy rzeczywistość; *Wyszło na jaw że kapitan to szuler i złodziej* (jw.).

Tu bogowie bogowie hulają co się zowie
Krzywoprzysięstwa dyszą popędliwe wargi
(*Krajobraz I*)

Nawet miłość okazać się może li tylko zaspokojeniem pierwszego głodu i wielkim ograniczeniem dla samej siebie; *Tylko rób tak żeby nie było dziecka* (*Miłość*).

Do głosu u natur wrażliwych dochodzą jeszcze ludzkie lęki.

Lecz urok nie odwróci od skazańca pętli
Zabitego spojrzenia długo krąży astral

Bo kto dzieckiem w kolebce przed chimera kłęknął
Ten młody zginąć musi pod toporem miasta
(*Pętla architektury*)

Niežnośnie jest mieć taką świadomość. Świadomość napierającej rzeczywistości i własnych obsesji, które dławia szlachetność psychicznych konstrukcji i dostrożeń. I dlatego: *W wesółych łódkach dłoni ukryj mnie Luizol Przed straszną konsekwencją martwej perspektywy* (jw.). Osaczony wizją martwej perspektywy (niemożliwość życia wynikająca z nonsensu, brak zgody na normy społeczne) roi sobie ideał – Luizę. Jej świat wart jest marzenia i w staraniach o nie – nadludzkiego wysiłku. Bo gdy harmonią zakwitnie ten ogród – będzie azylem. Ucieczką i wyzwaniem. Szansą i sposobem.

Popatrz to nasz sekretny alfabet składany
W pejzażu zagrożonym mieczem i piorunem
(*Krajobraz II*)

Kraina powoływana pragnieniem i słowem autora, z tą wiarą, że ciałem się stanie. Czyli bezkompromisowa czystość moralna miałaby być tego ogrodu naturą? *Zawieszony na tęczu pod gwarancją wizji* (*Ogród Luizy*).

A tak naprawdę, kim jest Luiza? Kobieta czy poezja? Której z nich w ofierze składa „sekretny alfabet” swych intencji, wymyślony świat? Obie godne są miłości, która sama w sobie jest wartością wyższą i trwałą. Jest bodźcem do życia. Nią też zjednuje się serca kobiety i poezji. Są wszak źródłem najwyższego szczęścia – ogrodu miłości; *Którego nieistnienie zabija jak topór* (*Ogród Luizy*). I dopóki możemy śnić tęczowe wizje i swój ideał, dopóty jesteśmy zwyczajcy; *Pojąć potrafi tylko prawy i szlachetny/ Prostotę tajemnicy ogrodu Luizy* (jw.).

Lecz by zapewnić sobie ochronę światłonośnych skrzydeł, potrzeba szaleństwa i odwagi; *Łaskę Luizy może zdobyć tylko męstwo/ Pewność rzutu i nerwów szaleńcze napięcie* (jw.). O kobietę trubadurską, która właściwie jest ideałem nieosiągalnym, zabiegać może tylko rycerz. A o poezję? *Przynies jej łwią paszczę i serce łabędzie* (jw.). A jeśli zdołasz to uczynić, staniesz przed nią; *Zwycięsko umazany gęstą krwią zwierzęcą* (jw.).

Piękno w naszym świecie – o ironio – wymaga walki, czystości – ofiary. Poezja – odwagi do przekraczania granic, by nie rozmieniła się na kłamstwo, pozory i zwykłość. Bursa nosił w sobie (a teraz jego wiersze) świadomość, że w algorytm dążenia do doskonałości wpisane są sprzeczność,

ironia i absurd; po łokcie umazany we krwi ideał. Jego poezja paradoksalnie była takim właśnie ideałem, którego szuka się w absurdalnych stertach trupów, omyłek i nonsensu. A prawdę wyśpiewać umie tylko „stara piosenka krwi”. Bursa szczególnie musiał być na ów konflikt uwrażliwiony. A że należał do „życiopisarzy”, w życiu i w poezji uznawał ten sam kodeks. Zatem poezja przenikała do życia i odwrotnie. Nawzajem się osaczały. Bo przecież trudno wprost pogodzić społeczne realia czasu, w którym żył, z rycerską poezją *Luizy* (tylko literacka przewaga). To była kolejna pułapka. Nazbyt bolesne moralne niezaspokojenie. Musiało dojść do jakichś nowych rozstrzygnięć. I czego można było się spodziewać – były to zmiany w poezji związane z przeistoczeniem jej ducha. Poparte, rzecz jasna, stosowną wersyfikacją, o co Bursa zawsze dbał. Klasyczna strofa (niekiedy kantylena) ustąpiła miejsca tonacji „Różewiczowskiej”. Rajski ogród stopniowo zamieniał się w dno piekła (*Luiza* jest fazą przejściową, zachowującą jeszcze cechy pierwszego ogrodu), w którym już zaznaczają się ślady infernum. Znowu nasuwa się tu porównanie do ludzkiego dramatu z teatru życia; wszystko jedno gdzie, kiedy i jaką rolę gramy – życie i tak jest pułapką. A ludzie są graczami, marionetkami, na tej czy innej obrotowej scenie. Rozbudzona świadomość Bursy musiała być w nie lada potrzasku; *Przecież znasz wszystkie moje chwytł/ życie mojej/ wiesz kiedy będę drapał krzychał i rzucał się/ znasz upór moich zmagani* (***) *Przecież znasz wszystkie moje chwytł...*

Zdeterminowany policzeniem mu przez chorobę dni, wybrał bunt, który przełożył na poezję; *Szedłem wtedy śpiewając niosąc biały narcyz (Krajobraz I)*. Chciał zamienić życie w pochód światłości, a wokół działał się inaczej. Chciał pić ze „źródła cichych tajemnic kłarownych i czystych”, a nie powiodło się; wody źródła coraz częściej truła nieznosna naokół codzienność, „mgły nonsensu” smużyły proste u zarania ścieżki ogrodu (potem labirynty); *Luizo... ja wiedziałem tu uderzy piorun* (jw.). Wszechobecny fałsz, poza i mieszczańska deformacja ideału deptały po piętach. „Puls kryształ”, ta struktura nieskazitelna została złamana.

To Luiza sprawczynią tej zbrodni i bredni
Ona szyny i mury zawiązuje w pętlę
I cios miecza się spełni i piorun się spełni
(*Zbrodnia Luizy*)

Zawiodły wszelkie oczekiwania, moszczone wiarą złudne krajobrazy padają w gruzach niczym nadzieje. „*Wypasiona na stęchłej padlinie neurozy*” wariatka Luiza tylko tryumfuje; *Ale piersi Luizy pozostaną piękne* (jw.). Tylko ona. Niezawisły zamiar ogrodu; *W rezerwacie, gdzie chodzić nie wolno pod broń* (***) *Prowadziły nas lata tamtego niedziele...*

Nierealność nieskalanego ogrodu jest zbyt wielka; *Którego nieistnienie zabija jak topór*. Więc wszystko jedno, w jakim dramacie i w jakiej roli się znajdziemy – dopadnie nas wszechpotężne poczucie błędnego koła; scena obłędu kręci się. Raj już nie stanie się nam rajem, będzie powracał do nas jak nieosiągalne pragnienie. Bursa przed tragizmem jednostki nie widział ucieczki. Chwytał się ironii jak oręży. Schronienia szukał w poezji.

W wesołych łódkach dłoni ukryj mnie Luizo
(*Pętla architektury*)

Niezwykłej urody jest to przejmujące, liryczne życzenie. Wypowiadać je – to już jakby doznawać oczyszczenia. *Luiza* pozostanie ogrodem wierszy, który jeszcze po wielekroć będzie się rozgrywać w wyobraźni czytelnika.

Epizod na miarę życia

świat za mną wygasa
świat przede mną błyska
i łąka świeci
jak zielona lampa
nie rzucam cienia
na wysokie trawy
wznosi się czarna
ściana widnokładu
jakbym cisnął oczy
w sam środek słońca
(*** świat za mną wygasa, s. 59)

Jak potężnym zmysłem poetyckim i jaką przeszczenią zmetaforyzowanego słowa trzeba dysponować, by napisać zacytowany wiersz? Należy do **Stefana Jurkowskiego** i wyjęty został z ostatnio wydanego tomu *Epizod podróży*. Nieprawdopodobna jest w tym utworze kondensacja fenomenu życia sprowadzona do metafizycznego wymiaru. To już nie są słowa, słowa, to nie jest nawet stan umysłu, a stan najwyższej jednostkowej świadomości zjednanej ze wszechświatowością. A w kryterium literackim – liryka w najczystszej postaci. Autor mówiąc – „*jakbym cisnął oczy / w sam środek słońca*”

– dzieli się z nami jednym z największych odkryć:
„światło wewnętrzne” wciąż świeci mimo upływu
lat, to tylko gaśnie świat zewnętrzny zostawiany
w drodze za sobą.

Odkrycie to rozpatrywać można na różnych
poziomach rozumienia. Zaczynając od planu fi-
zycznego – wszystko, co dawniej było dla lirycz-
nego „ja” (dla nas) przejawem faktyczności bytu
i oczywistą potrzebą, zaczyna tracić barwy i swój
magnetyzm. Owo zewnętrzne wszystko, które
miało mówić o człowieku więcej, niż jego wne-
trze, stopniowo rozprasza się. Pozostaje jedynie
ulotnym i coraz bardziej ulotnym wspomnieniem
przechodzącym w przeciągłą zadumę, by koniec
końców zdematerializować się (?), zamienić w czystą
energię. To jest ten nasz pęd ku światłu? Dalszymi
rozważaniami można by dotknąć nawet zagadnień
fizyki kwantowej.

patrzy na mnie a ja patrzę w siebie
liczę lata – wciąż odkładają się we mnie
słój radości i klęsk zmęczenia i odpoczynku
gniewu strachu i zniechęceń – czuję się drzewem
bo tylko ono
może pomieścić
tak dużo

(*Pocieszycielka*, fragm., s. 61)

Bohater liryczny z rozumieniem poddaje się
upływowi czasu. Staje się obserwatorem swojego
wewnętrznego stanu. Kontempluje przemianę. Dzię-
ki bezpośredniości wyznania jak na dłoni widać tę
transpozycję. Procesy wewnętrzne zrównane zostają
z „poetyckimi procesami”. Doskonale odczytuje się
wspomniane przeistaczanie materii w nie materię.
Owo przejście z jednego stanu skupienia w drugi.
O tak, poeta Jurkowski jest wytrawnym alchemi-
kiem. Dla niego czynność poetycka jest zarówno
przemysliwaniem życia, jak i swoistą medytacją.
I wciąż otwartą drogą do własnej i przez siebie
odkrywanej prawdy. Która jest na miarę życia.

do widzenia panie jot
nie mówię żegnaj
mogę powiedzieć: bądź zdrow
ale z pewnością
niestosownie by to zabrzmiało
znikasz – nie wrócisz
jedziemy tym samym pociągiem
w osobnych wagonach
wysiadzimy na wspólnej stacji
na różnych peronach
może na innych planetach

albo – co jest najpewniejsze – wewnątrz starej
– krzyk drzew
świsł ptasi
krzyże
wbite w ziemię
samoloty – –

(*Epizod podróży*, s. 57)

Poeta w tytułowym wierszu doczesne życie na-
zywa epizodem podróży. Jakby domniemywał,
że takich epizodów jest wiele, choć sama podróż nie
ma końca. Bo nawet jeśli ziemskie życie ma kres,
duchowa podróż już jest bezkresna. Nie zwykliśmy
w ten sposób myśleć o naszym istnieniu, nie uczą
nas tego żadne „rozumne” szkoły, co nie znaczy, że
nie stykamy się z takim pojmowaniem. Tego typu
sugestie dostrzegam w wierszach Jurkowskiego.
Oczywiście są one podane w poetycko wysublimo-
wany sposób, niemal niedostrzegalny. Mówiłam,
że to wytrawny alchemik.

chcieliśmy uwięzić godzinę
ale się wymknęła
niczym wirus z laboratorium
jest
przeźroczysta jak pamięć
lekka jak ziemia
(przysłowie się wypełnia)
drabina
wsparta o słońce
zjeżdżalnia
w głąb – –

(*Moment*, s. 75)

Z tak pojemnych semantycznie utworów daje się
wywieść zapewne jeszcze inne linie interpretacyjne,
dostawić inne szkło powiększające i ujrzeć inne prze-
słania. A że każdy nosi w sobie własny obraz świata,
ukształtowany przez osobiste doświadczenia, może
więc doszukiwać się wątków, treści i podtekstów,
na które szczególnie jest uwrażliwiony. Znajdzie je
w tomie „Epizod Podróżny” Stefana Jurkowskiego,
wystarczy tylko użyć własnego filtru (jak to zrobiłam
ja) lub wielu filtrów – by poetyckie doznawanie
wierszy stało się pełnowymiarowe.

Stefan Jurkowski, *Epizod podróży*, Oficyna Wydawnicza
STON 2, Kielce 2023, s. 90.

Elżbieta Musiał

Po spektaklu w Żeromskim Tęsknota w Teatrze Żeromskiego

Tym razem nie zawodowy spektakl przykuł moją uwagę, a praca grupy amateerek. Właściwie nie przykuł – to wyświechtane określenie. Spektakl *Misje piękna*, z wykorzystaniem tekstu Sybille Berg, wcisnął mnie w fotel i dopiero ostatni monolog pozwolił na swobodny oddech. Dał nadzieję, że jeszcze jest jakieś jutro przed nami, że nie poddaliśmy się całkowitej destrukcji. Oto znakomite dzieło przygotowane przez grupę kobiet, spotykających się od pewnego czasu pod czułym i zawodowym okiem Dawida Żłobińskiego. Tym razem Dawid daje popis reżyserii, ale przecież nie tylko. Także okazał się świetnym pedagogiem, znawcą kobiet. Przeistoczył osoby już ułożone od dawna w swoich profesjach, stanowiskach, rolach społecznych, pewnie się w nich czujące, w aktorki. Właściwie będzie napisać – w aktorzyce. Ile trzeba pracy, aby do perfekcji opanować ruch sceniczny, osiągnąć klasę co do dykcji, nauczyć się współpracy z partnerkami na scenie. Ktoś tym kierował i to kierował mistrzowsko. To wszystko oczywiście nic by nie znaczyło, gdyby nie rewelacyjnie, z wykorzystaniem środków teatralnych – światło, muzyka, efekty dźwiękowe, drobne, acz niezwykle sugestywne rekwizyty – wypowiedzi artystek amateerek. Amateerek w najlepszym tego słowa znaczeniu. Grupy niezawodowe, jeśli wypowiadają się poprzez spektakle teatralne, zazwyczaj nie podejmują tematów błahych dla biorących udział w przedsięwzięciu. Tekst został dobrany idealnie, tak jakby same wykonawczynie go napisały. Podając ten tekst mówiły ze sceny od siebie i o sobie. Wołały, nawet poprzez śmiech, z głębi własnego doświadczenia, wołały i prosiły, wręcz błagały o uwagę, o choćby odrobinę zainteresowania, akceptacji. Usłyszeliśmy wreszcie poprzez prawdziwie zwierzęcy skowyt, gdzieś z głębi istoty człowieczeństwa, błaganie o miłość. Tak niewiele, a tak dużo, dramatycznie dużo.

Praprzyczyna wszelkiego zła też wiąże się z tym słowem, z miłością. Jeśli nie otrzymujemy jej od tak bliskiej osoby, jak tylko można to sobie wyobrazić, jeśli w zamian mamy jedynie wymagania i to w najlepszym przypadku, bo najczęściej chłodną obojętność, to później, w dorosłym życiu trudno odnaleźć w sobie to bezgraniczne, a zarazem szczęś-

liwe uczucie. Dokonujemy wyborów, które naznacza owo pierwotne, rodzinne doświadczenie. Żeby było jasne – nie chodzi tu o tak zwaną rodzinę patologiczną. Przynajmniej nie tylko o nią. Współczesny pęd do posiadania, do bycia kimś, do przodowania w stadzie poprzez stan konta, poprzez zewnętrzne atrybuty dobrobytu, skazuje często dzieci na brak miłości rodziców. A przecież gdy tego zabraknie, brakuje już wszystkiego.

Oczywiście aktorki wypowiadają się poprzez pryzmat kobiecy, poprzez najkoszmarniejsze doświadczenia stojące za pogardą dla słabszego, za niedostrzeganiem ich potrzeb. Widzimy pogardę płynącą z przeświadczenia utrwalonego wiekowymi podziałami ról społecznych. Ta specyfika cierpienia z racji płci, z racji życia w świecie zdominowanym przez tradycyjny podział ról i miejsc społecznych, była mi doskonale obca i słabo znana. Dopiero niedawno, kilka lat temu poznałem twórczość poetek Barbary Wrońskiej i Eli Musiał. Ta twórczość poruszyła mnie do głębi, oderwała zakrywające oczy klapki męskiej doskonałości. Spektakl *Misje piękna* znakomicie koresponduje z wierszami Basi i poematami Eli. Odbieram je jednak nie jak wypowiedzi tego, co uznajemy tradycyjnie za głos feministyczny. To prawdziwie przejmujące prawdy o człowieku, o jego tęsknotach i o cierpieniu. Także o bezlitosnym upływie czasu, który każdy z nas ma dany na swoją drogę. Na spektakl zapraszam nie tylko kobiety i mężczyzn, zapraszam najserdeczniej jak potrafię LUDZI. Zapraszam w imieniu Reżysera i opiekuna oraz jego zespołu, który – nie daruję sobie i wymienię: Jadwiga Betka, Iga Kiniorska, Dorota Krzemionka, Małgorzata Maciejczyk, Elena Maksymenko, Małgorzata Mastyna-Bursig, Nina Pushpakumara, Jolanta Płoska, Krystyna, Strzelczyk, Katarzyna Wrona, Agnieszka Zacharias, Maria Zawadzka. Oby grały go dalej, bo pełna entuzjazmu sala teatru Żeromskiego, najwyraźniej wskazuje na potrzebę kontynuacji.

Spektakl *Misje piękna*, 30.11.2023, <https://teatrzeromskiego.pl/artykuly/z-misjami-piekna/>.



Alicja Obara: Kielce – Widok na Wzgórze Zamkowe



Alicja Obara: Kielce – Nad stawem w parku miejskim



Alicja Obara: *Wilków*



Alicja Obara: *Tokarnia – Muzeum
Wsi Kieleckiej*

